

JOYCE CAROL
OATES



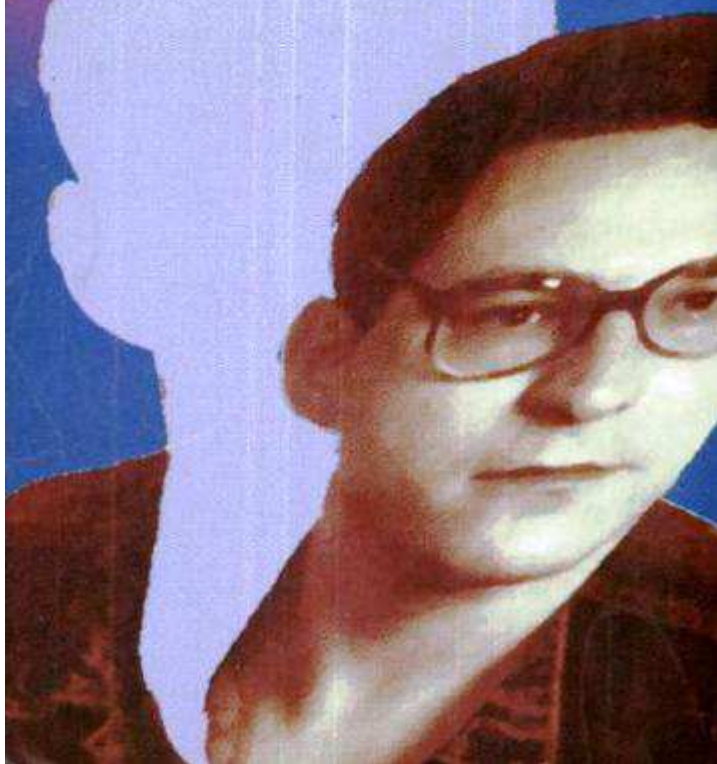
Dotyczy sprawy
Bobby'ego T.



Biblioteka Amerykańska

Joyce Carol Oates (ur. 1938) – jest jedną z najpopularniejszych współczesnych pisarek amerykańskich. Autorka wielu tomów prozy, poezji i eseistyki, laureatka najważniejszych amerykańskich nagród literackich (w tym prestiżowych: O'Henry'ego oraz National Book Award). Uznanie krytyki i czytelników zyskała głównie za opowiadania. Prezentowane w niniejszej książce pochodzą z tomu *The Goddess and the Men*.

236002



JOYCE CAROL
OATES

Dotyczy sprawy
Bobby'ego T.

Przełożyła
Hanna Pawlikowska - Gannon

Wydawnictwo Przedświt
Warszawa, 1992

Opowiadania pomieszczone w niniejszej książce pochodzą z tomu

The Goddess and Other Women

Copyright © by Joyce Carol Oates

Copyright © for the Polish edition

by Wydawnictwo Przedświt

Wydanie pierwsze,

Warszawa 1992

Redakcja:

Ewa Lipko

Projekt okładki i stron tytułowych:

Maciej Koński

Korekta:

Ewa Redlicka

ISBN 83-85081-32-1

Wydawnictwo Przedświt

00-478 Warszawa

Al. Ujazdowskie 16/49

tel. 21-67-64

Rzeczy zwyczajne dla gatunków
Nie zawsze są takimi dla jednostki.

— *John Donne*

Dziewczyna

I Sceneria

Reżyser, Roybay i chłopak, którego nie znałam, przejeżdżali ciężarówką. Roybay, bardzo przyjacielski, wychylił się przez okno. Wsiadłam i przez chwilę jeździliśmy bez celu. Reżyser mówił o swojej wizji filmu, z konieczności bardzo skondensowanej, bo urządzenia z wytwórni filmów oświatowych w mieście, które pożyczył mu przyjaciel, trzeba było oddać w niedzielę po południu. — To sprawa sztuki i kompromisu — powiedział. Był bardzo podniecony. Znałam go wcześniej, od kilku dni, nazywał się DePinto czy DeLino, tak jakoś dziwnie, ale zwykle nazywało się go Reżyser. Przeważnie występował w trzeciej osobie.

Moim najbliższym przyjacielem był Roybay, pogodny, wesoły, ważący 150 funtów. On był Motocyklistą. Użyli jego motocykla, żeby mieć jakiś autentyczny szczegół. Motocykl nie jeździł, był zepsuty. Ale ustawili go w piasku i wyglądał bardzo prawdziwie.

Chłopiec z pryszczatą twarzą był Policjantem.

Ja byłam Dziewczyną.

Reżyser powiedział: — O Jezu, kochana, ta twoja opaleniżna, te opalone nogi, te stopy! Boże, nawet twoje stopy, nawet palce są opalone, czarne! Jesteś wspaniała! — I patrzył na mnie, patrzył. Kiedy spotkaliśmy się przedtem, to tak nie patrzył. Jego głos był ochrypy, brwi postrzępione. Wszystko w nim było muzyką, głos, sposób poruszania, jego żywotność. — Spójrzcie na nią! Czy ona nie jest...? Czy to nie jest...?

— Doskonale — podpowiedział Roybay.

Chłopiec z przyszczatą twarzą wciśnięty był między Roybaya, który prowadził, a Reżysera; ja siedziałam na kolanach Reżysera, a moje nogi były jakby na kolanach chłopca. On spojrział na mnie i okazało się, że jest w moim wieku. Podchwyciłam jego spojrzenie, ale go nie podjęłam. Nigdy się nie dowiedziałam, jak się nazywał.

Później pytali mnie: Jak oni się nazywali? Nie wiesz? Nie możesz sobie przypomnieć? Nie możesz...?

Byli rozłoszczeni. Mówili: „Opisz ich”.

A przecież...

Reżyser. Motocyklista. Policjant. Dziewczyna.

Wydawało się, że było ich więcej, o wiele więcej. Jeśli nie liczyć Dziewczyny. Gdybyś spróbowała sobie przypomnieć. Więcej? Więcej niż dwóch? Och, myślę, że z dziesięciu albo dwudziestu, pięćdziesięciu, jakaś duża grupa tratująca piasek. Był też motocykl, zepsuty. Załadowali go na tył ciężarówki, razem z wyposażeniem filmowym i resztą. Gdybym chciała, mogłabym opisać autostradę do Santa Monica. Ale ich nie. Myślę, że było ich więcej niż trzech, ale nie wiem na pewno. Skąd przyjechali? Kim byli? Autostradę mogłabym opisać, bo ją znam, nie jako całość, ale jako zapamiętane fragmenty, tak jak się zna własne otoczenie.

Ja byłam Dziewczyną. Tego nie potrzeba opisywać. Każdy, kto mi się przyjrzy z bliska, zobaczy mnie i nie będzie potrzebował opisu. Wyglądałam inaczej. Kostium nie ma

znaczenia, jaskrawoczerwone i zielone kształty, koty i kocięta, i tak nie byłyby widoczne. Film był czarno-biały. Suknia miała krótką spódniczkę i górę zawiązywaną z tyłu, zawiniętą i zawiązaną jak stryczek, była z bawełny czy z czegoś, z wyraźnym czerwonym i zielonym wzorem. Ze stoiska Miss Chelsea u Van Nuysa. Nie miałam na sobie nic więcej, nic pod tym.

Ktoś prawdziwy, prawdziwy policjant, powiedział do mnie później: — „...potrzebujemy twojego współdziałania”.

Reżyser wyjaśnił, że potrzebne mu jest współdziałanie wszystkich. Kiedyś asystował komuś, kto robił film, albo widział, jak to się odbywa i mówił, jak ważna jest współpraca, nie miał taśmy na powtórki, a wszystkie urządzenia musiał zwrócić w ciągu osiemnastu godzin. Jego twarz była pociągła, rekinowata i urzekająca równocześnie, kapelusz z szerokim rondem nasadził na głowę. Nosił okulary słoneczne. Wszyscy mieliśmy słoneczne okulary. O trzeciej po południu plażę zalewało słońce. Moje okulary miały żółte szkła i białe plastikowe oprawki jak gogle. Nie było zbyt ciepło. Od oceanu wiał zimny wiatr.

Kiedy jechaliśmy w tamtą stronę, hipnotyzowały mnie znaki na autostradzie, wszystkie te nazwy miast i plaż, strzałki wskazujące zjazdy na prawo, zawsze na prawo, poza autostradę, poza mapę.

„Na którym odcinku plaży? Gdzie? Jak daleko w górę wybrzeża? Czy nie potrafisz określić, nie możesz sobie przypomnieć? Potrzebna nam twoja pomoc, czy nie możesz nam pomóc?”

Na filmie każdy kawałek plaży przypomina inny kawałek plaży. Oni nazywali to Plażą.

II Próba

Reżyser nas ustawiał, chodził z nami, wziął mnie za ramiona i obrócił, nadepnął na moją bosą stopę, drapał się w głowę pod kapeluszem w kolorze słomy, wydawał różne dźwięki, mamrotał do siebie bardzo podniecony: „tutaj, tak, w ten sposób”. Motocyklista-Roybay usiadł na motorze i czekał. Miał szeroką, słoneczną twarz i kędzierzawe rudoblonde włosy. Nawet brodę miał kędzierzawą. Nie było gorąco, ale on wyglądał, jakby mu było gorąco. Miał sześć stóp i trzy lub cztery cale, wyższy od mojego ojca, który ma czy miał dokładnie sześć stóp. Ja w ten sposób określam, czy mężczyzna jest wysoki: wyższy od mojego ojca, znaczy jest *wysoki*, niższy od ojca — *niewysoki*. Świat można by w ten sposób podzielić.

Nie, nie widziałam ojca przez jakiś czas. Ale świat ciągle jeszcze istnieje.

Reżyser narzekał na scenerię. Plaża była piękna, ale pusta.

— Trzeba sobie wyobrazić tłoczących się tutaj ludzi zamiast tych głazów i skał, zamiast tych przeklętych nędznych kwiatków, piaskowych wydm, eukaliptusów i tego całego świństwa, co aż kole w oczy — powiedział. Chciał, żeby to był miejski film. Chciał, żeby akcja toczyła się w autentycznym świecie. — Naprawdę chodziło mi o zatłoczoną Venice Beach w niedzielę, gdzie jednak znalazłoby się miejsce na motocykl; o to, żeby stłoczył się tam cały świat... różnorodny tłum ludzi, dusz, reprezentujących cały świat... i scalanie się tego świata w moim filmie. W Dziewczynie. Och, spójrzcie na nią — powiedział przyglądając mi się w rozmarzeniu. — Czy świat nie mógłby się scalić właśnie w niej? Mógłby. Ale to miejsce jest takie puste... tu jest dziko. Dzika, niewinna, naturalna sceneria. To jest zbyt piękne, to wygląda jak przezroczka do odczytu o turystyce.

Policjant zapytał, jak powiąże te wszystkie rzeczy razem. Czy nie mógłby...?

Reżyser zbył go machnięciem ręki. Trudno było się skoncentrować.

Policjant zachichotał i wyszeptał do mnie: — Jezu, ci faceci są niesamowici, nie? Gdzie ich poznałaś? Ja ich spotkałem dziś rano. Gdzie chodzisz do szkoły? Bo chodzisz do szkoły? Tu w okolicy?

Zlekceważyłam to pytanie, patrząc mu w oczy.

Oblał się rumieńcem. Pod tymi gęstymi włosami, okularami słonecznymi i policyjną czapką wyglądał na szesnaście lat. Na czapce był blaszany znaczek. Reżyser kupił ją w sklepie z kostiumami. Policjant miał tylko czapkę. Poza tym był w dżinsach i w trykotowej koszulce. Nie miał broni, tylko pałkę długości jakichś dwóch stóp i z półtora cala średnicy. Reżyser powiedział, że znalazł pałkę na śmietniku przed kilkoma miesiącami. Wszędzie ją ze sobą nosił. Ona właśnie wzbudziła w nim tę potrzebę filmu, powiedział, i stale ją zabierał Policjantowi i rysował nią linie na piasku.

Umysł Reżysera pracował bez przerwy. Rozpalony do białości. Jego ciało także nie przestawało się poruszać, kolana uginały się jakby w rytmie czegoś. Wyczuwałam w nim tę energię, nawet kiedy mnie nie dotykał. Tylko jak trzymał w rękach kamerę, to się uspokajał.

Po chwili odezwał się Roybay, jakby podenerwowany: — Co my robimy? Co ja mam robić? Ktoś może się tu pojawić, nie? Lepiej, żebyśmy się pospieszyli, co?

— Z tym nie można się spieszyć — powiedział Reżyser.

Z nich wszystkich znałam właściwie tylko Motocyklistę. Miał na imię *Roybay*. Albo *Robbie*. A może *Roy Bean*? ...czasami po prostu *Roy czy Ray*. Powiedział chyba, że pochodzi z Trinidad w Colorado. A może powiedział to ktoś inny tego samego wzrostu, kiedy indziej. Miał wysokie zatroskane czoło, opalone na różowawą czerwień. Z taką cerą

nie można się opalić na ciemno. Miał hełm i gogle, i skórzaną kurtkę, rękawy były trochę dla niego za krótkie. Tej nocy kiedy go poznałam, wyjaśniał, że warzywa wcale nie są tak bierne i potulne, jak się ludziom zdaje, bo potrzebują wiele siły, żeby się przebić przez glebę... a co dopiero winoroślą, kręczone wasy, macki, które mogą zadusić nawet duże zwierzęta albo uwięzić je w ruchomych wydmach... Był wegetarianinem, ale gardził łagodnością. Wierzył w siłę. Wstawał o 7 rano i przez dwie godziny podnosił ciężary, bardzo powoli, tak powoli jak ćwiczenia jogi. Miał starannie dobraną dietę z warzyw i soków warzywnych. Twierdził, że owoce są za kwaśne, za ostre. Tłumaczył, że wół ma niezwykle mocne mięśnie i że istoty mięsożerne powinny brać przykład z wołów.

Mógł też mieć na imię *Roy baby*, *Roy*, *baby*, jakby ktoś, wołając go, połączył te słowa razem.

Reżyser układał głazy na piasku. Wyszczерzone kły na plaży. Uprzątał odpadki, odrzucając je kolejno, aż znalazł dziecinną zabawkę, wóz strażacki, i stał tak z nim kręcąc małymi kółkami zamyślony, a potem przesunął jeden z kamieni i powiedział do mnie: — Podchodzisz do tego miejsca. Spróbuj.

Tamci patrzyli.

Reżyser powiedział, że jestem słodką dziewczyną. Powiedział, że teraz powinnam przećwiczyć bieg od tego kamienia do wody. Biegł obok mnie. Powiedział mi, kiedy się zatrzymać. Pocałował mnie w czoło i powiedział, że jestem bardzo słodka, to było częścią tragedii. Odrzucił na bok wóz strażacki. Zatarł ręce podekscytowany. Czułam jej zapach, tej jego ekscytacji.

— Jestem sierotą — powiedział nagle. — Z sierocińca metodystów w Seattle.

Motocyklista się roześmiał. Policjant uśmiechał się głupkowato, ciągle jeszcze stał w tym miejscu, gdzie postawił go Reżyser.

— Nie ma się w życiu za wiele szans — powiedział Reżyser — i dlatego nie chciałbym tego sknocić. Wścickłbym się, gdyby coś się nie udało... gdyby ktoś z was nawalił... Ale nie zrobicie tego, co? Nawet ty? — zapytał patrząc na mnie. Jak gdybym była jakimś wyjątkiem. Wyglądał trochę jak rekin, myślę, że to z powodu zęba, bocznego zęba, który był trochę dłuższy od innych. Patrząc na niego nie zauważało się tego zęba, prawie wcale, ale jakoś po chwili przychodził do głowy rekin.

Magiczna obecność. Wiedziałam. Wiedziałam, ale byłam poza, nie na filmie. Reżyser spacerował ze mną wzdłuż plaży, miał buty do kostek, ja szłam boso, mówił do mnie, klepał mnie po ramieniu, mówił... mówił... *Co powiedział? Nie pamiętasz?* Nie, był za duży hałas. Fale. Mewy. Ptaki. Słowa przyływały i odpływały, nie wszystkie docierały do mnie, starałam się rozluźnić słuchaniem muzyki, jaka się w nich kryła. Kiedyś brałam lekcje muzyki. Gry na pianinie u panny Dorsey, o trzy przecznice od domu mojej babki. Od dziesiątego do trzynastego roku życia. Potrafiłam zapamiętać. Potrafiłam liczyć takty, raz dwa trzy, raz dwa trzy, nawyk, który zostaje na całe życie. Kiedy Reżyser mówił mi, co mam robić, wsłuchiwałam się w rytm jego głosu. Zdawałam sobie sprawę z magicznej obecności, on nie był zwykłym mężczyzną, ale ja istniałam poza nim, trwałam poza nim w oczekiwaniu. Jeszcze nie byłam Dziewczyną. Dziewczyną byłam później.

To był film, kręcenie filmu. Wrzasnęłam. Kiedy się obudziłam po raz któryś, chwyciłam czyjąś rękę. Ścisnęłam ją. Potrzebny mi był kontakt. Nie chciałam zapaść się z powrotem. Powiedziałam: — *To było naprawdę, prawdziwy film, w kamerze była taśma.*

Twierdzisz, że ktoś to filmował? To? Że ktoś miał kamerę?

Reżyser trzymał ją w rękach. Musiał ją nastawić, patrzył przez nią, wydawał dziwne odgłosy, zajęło mu to dużo czasu.

Policjant, oblizując wargi, powiedział do mnie: — Słuchaj, myślałem, że kamery filmowe są naprawdę duże. Że pcha się je na kółkach. Że mają ruchome części jak dźwigi czy...? Skąd jesteś?

— Nie można pchać kółek po piasku — wyjaśniłam.

Reżyser spojrzał na nas znad kamery. — O czym wy tam rozmawiacie? Bądźcie cicho! Ty jeszcze nie jesteś w scenariuszu — zwrócił się do Policjanta — jesteś poza kamerą. Stań tam, po drugiej stronie wzgórza. Nie zaśmiecaj mi głowy.

Podszedł bliżej wody, stał tam, był bardzo podniecony. Patrzyłam na Roybaya, a on patrzył na mnie. Nasze oczy się nie spotkały, on patrzył na mnie jak na film. Jak na Dziewczynę. Siedząc okrakiem na zepsutym motorze z pordzewiałą kierownicą był, Motocyklistą. Nie pochodził z Trinidad w Colorado ani znikąd. Widziałam, jak czapka Policjanta znika za wzgórzem za wysokimi chwastami i wydhami piasku.

Reżyser wrócił. Powiedział do Motocyklisty: — Może to jest wiersz, zogniskowany w głowie Policjanta, ale ja go zogniskowałem inaczej, ja go sobie wyobraziłem w Dziewczynie. Tylko że... to nie gra. To jest próba dla Policjanta. Ja go nie znam. A ty? Nie mam pojęcia, kim on, do diabła, jest. To będzie eksperyment. On się rzuca na ratunek... widzi całą scenę i... to jest próba dla niego. Widownia też to zrozumie. Marzyłem o tym tak długo, o tym maleńkim ośmiominutowym poemacie — powiedział obejmując mnie ramieniem, podniecony. — Nie mogę przegapić mojej szansy... Nie tylko o to chodzi, że to wszystko jest w mojej głowie, ale o to, że ludzie się tym bardzo zainteresują, znam ludzi, którzy gotowi są dużo zapłacić, żeby to zobaczyć. Słuchaj, kochana, to jest poemat. Wszystkie części muszą współgrać. Nie może być nic niedojrzałego czy stawiającego opór. Wszystkie części poematu... dzieła sztuki... Powiedz, czy mnie rozumiesz?

Jakie napięcie! To był moment pełen napięcia. Patrzące razem ze mną ciemnozielone soczewki i soczewki żółte, odporne na rozbicie.

Odpowiedziałam, tak. Musiałam powiedzieć, tak. I była to niemal prawda, niektóre jego słowa trafiły do mnie, wczepiły się jak złamany paznokcieć w ubranie.

Reżyser powiedział miękko: — Bo co to jest... to jest... to jest wizja, nie można jej się oprzeć. Dlaczego się opierać? Stawiać opór? Opierać się czemukolwiek? Jeśli wizja pojawia się z głębi ziemi, musi być święta, albo jeśli przychodzi z góry, z nieba nawet, to tak samo, bo droga do góry jest taka sama jak droga w dół, niebiosa są zwierciadłem i vice versa. Jasne? Chciałem, żeby Dziewczyna opierała się Motocyklicie i chciałem, żeby Policjant posłużył się pałką jak mistrz zen laską, ale teraz, kiedy cała scena jest gotowa, widzę to inaczej. Będzie tak, jak musi być. Nie można kontrolować wizji. To jak schodzenie po schodach, idziesz ostrożny i wystraszony i nagle schody się załamują, ostatni stopień nie wytrzymuje, przewracasz się i już się nie boisz, mimo wszystko nie boisz się, jesteś uratowany. Nie rozumiecie mnie, wiem, ale odczujecie to, za chwilę to zrozumiecie. Nie opieraj się — powiedział do mnie. — Jeżeli nie uznajesz sposobu, w jaki wszystko musi się odbywać, przekształcasz siebie i wszystkich innych w upiory. Będziemy tu wszyscy razem. Jako jedność. Będziemy uświęceni. Nie miej wątpliwości. Teraz porozmawiam z Policjantem, Wybawcą... on jest Wybawcą... Zastanawiam się, czy zniesie ciężar próby?

III Wykonanie

Przestrzeń wokół mnie. Rozwiane włosy, niewidoczna strzałka w kierunku plaży, poza zasięgiem wzroku. Powietrze jest zimne. Jestem zdenerwowana, ale wszystko robię dobrze.

Reżyser mówi krzykliwym szeptem: — W porządku. W porządku. Nie, zwolnij, wolniej... zwolnij... Spójrz tutaj... w drugą stronę...

Teraz, kiedy kamera pracuje, to jest bardzo łatwe. Bardzo łatwe. Jestem Dziewczyną oglądającą film z Dziewczyną chodzącą po plaży, patrzącą na wodę. Teraz Dziewczyną patrzącą na Dziewczynę odwracającą się, na Dziewczynę w czarno-białym, do której zbliża się jakiś kształt widziany kątem oka. To oko to musi być kamera. Ciemna rzecz musi być kształtem z nogami, rękami, z głową w białym hełmie.

Teraz film przyspiesza.

Niespodzianka: jak lekki staje się człowiek na filmie. Pełen wdzięku. To zawieszenie ciężkości. Reżyser woła, wrzeszczy na mnie: *Biegnij, biegnij*. Ale ja nie mogę. Jestem zbyt lekka, to znów zbyt ciężka, ręka na moim ramieniu przygniata mnie. Wydaje mi się, że chichoczę. *Spiesz się, spiesz się*.

Granica jest prawdziwa skała.

Krzycz! woła Reżyser.

Ale ja nie mogę. Nie mogę złapać tchu. Dopadli mnie. Podnoszę się. Tylko... Tylko że straciłam zdolność pojmowania. Nie widzę. Reżyser jest bardzo blisko nas, tuż za nami. *Obróć ją, niech krzyczy, pospiesz się, rób to tak, właśnie tak, szybko, dalej...*

Film przyspiesza. Za szybko. Przestałam rozumieć, nic nie widzę. Coś ciągnie mnie, do tyłu, w dół, ryje we mnie, jak młot uderzający wszędzie. Czyżbym dostrzegała dziurki w nosie, oczodoły, otwory ust?

Coś ubija ciało jak mięso.

IV Ciąg dalszy

Paplałam coś, wczepiona w przegub czyjejs ręki. Nie lekarza, bo on się spieszył się ze swoim obchodem, ale pielęgniarki.

Pytałam: — Czy ich znaleźli? Policja? Czy to jest w gazetach? Czy film był wyświetlany? Czy był...?

Co? Co takiego? W bardzo ważnym momencie straciłam ją z oczu, tę dorosłą twarz, podobną do wszystkich innych. Wtedy przemieniła się w jakąś inną twarz. Sufit wydaje się otwierać za tą twarzą, wydziela błyszczące, jaskrawe światło jak na scenie, jak w studio. Ależ to chyba ktoś, kto mnie zna! Patrzy na mnie bez wstrętu. Ja go nie znam. Ale udaję. Pytam go, czy ich złapano, czy... On mówi, żeby teraz o tym nie myśleć. Mówi, żeby o tym nie myśleć. Mówi: — Policja i tak ich nie znajdzie... oni się wcale tobą nie przejmują... nie dręcz się...

A przecież, przecież...

Surowe zaczerwienione mięso, skrobane na surowo, włosy szarpane całymi garściami. Krwawiący, zapiaszczony skalp. Piaskowy pył w moich ustach. Galareta, transformacja. Ale ja chciałam wiedzieć. Chciałam. Sięgnęłam po jego przegub, ale nie mogłam dosięgnąć.

Możesz być realny, ale możesz też być bardziej niż realny: przyspieszony, lżejszy. Do tego potrzebna jest kamera. Reżyser pomógł im przyciągnąć mnie z powrotem, mówiąc: *Och, to było piękne... to piękne...* i w bruzdach koło ust miał lzy. Starłam się uwolnić, wyrwać ten kształt, przerzucić go z mojej głowy do jego głowy. Starłam się, skręcałam. Ale był za duży hałas. Tył mojej głowy sprawiał ból, był całkiem pusty. Za dużo się we mnie powbijało, nie potrafiłam ich odróżnić; było ich dwóch, a może dwustu czy dwa tysiące, nie mogłam tego wiedzieć.

Ale nie mogłam mówić sensownie. Mężczyzna starał się słuchać cierpliwie, a ja powiedziałam: „...skała, oni dwaj, ptasia jama, ciężarówka, zabawka, koło, strzałka, zjazd, wyjście...” Drugi mężczyzna, który też był w pokoju, próbował przerwać. Ciągłe pytał: „Kim oni byli? Ilu ich było? Pięciu, sześciu, kilkunastu, dwudziestu? Gdzie to się zdarzyło?”

Gdzie ich poznałaś? Kim jesteś?” ale ja mówiłam bez przerwy, paplałam, teraz zaczęłam wymieniać imiona świętych, które z jakiegoś powodu przyszły mi do głowy... imiona świętych jak paciorki różańca, chociaż ich nie znałam. Święci mają takie straszne imiona, że mogą odkształcić moją głowę: „...święty Camarillo, święty Oksnard, święty... święty Wentura... święta Inez... święta Goleta... święta Gawiota... święty Jalama... święta Kosmalia... święty święty święty...”

V Wizja

Deszczowy zimowy dzień. Przechodziłam przez Carpenter Street i mój wzrok zatrzymał się na kimś. Reżyser. Patrzyłam na niego i zaczęłam za nim biec. Odwrócił się, patrzył. Nie poznał mnie. Nie znał. Za nim była pralnia, jakieś dzieci bawiły się w proggu, krzyczały. Za dużo zamieszania. Reżyser szedł bokiem, bokiem patrząc na mnie, usiłując sobie przypomnieć. Nie miał teraz okularów słonecznych. Jego skóra wyglądała na zniszczoną.

Podbiegłam do niego. Powiedziałam: „Nie pamiętasz? Nie...?”

Roześmiałam się.

Wybaczyłam mu, wyglądał na chorego. Miał około dwudziestu ośmiu, trzydziestu lat. Nerwowy, czujny. Bruzdy po obu stronach ust.

Patrzył na mnie.

Poza tym, że padał deszcz i że miałam zaczerwienione oczy od paskudnego przeziębienia, znowu byłam ładna, zupełnie przysłam do siebie. Śmiałam się, ale zaczęłam sobie coś przypominać. Nie chciałam pamiętać. Więc się uśmiechnęłam do niego, a on próbował dopasować się do mojego wyglądu.

— Jestem tutaj obcy, dopiero przyjechałem... jestem z... jestem z wybrzeża, z Seattle, nie znamy się...

Nagle jakby coś zaskoczyło w jego głowie. Widać to było w oczach. Dalej szedł bokiem i sięgnęłam po przegub jego dłoni, kościsty przegub, a on mnie odtrącił. Miał wąskie wargi koloru kredy, kredowo-serowo-kwaśnego koloru. Jedna z dziurek od nosa była większa od drugiej i sprawiała wrażenie owrzodzonej. I ten jeden rekinowaty, zielonkawy ząb. Powiedział: „...na jeden dzień z Seattle i... ja ciebie nie znam... Nie pamiętam. Wszystko mi się pomieszało. Nie czuję się dobrze, mam mokre nogi, nie jestem z miasta.”

— A co się stało z filmem? — zapytałam.

Przyglądał mi się. Minął jakiś czas. Ktoś przeszedł obok niego po chodniku w deszczu, tak jak przechodnie na filmie, za plecami głównych aktorów. Nie są w centrum uwagi kamery, i ta osoba też nie była w centrum uwagi.

— Czy to był prawdziwy film? Czy w kamerze była taśma? — zapytałam. Zaczynałam się bać. Zaczynałam. Ale powstrzymałam to, ten smak w moich ustach. Uśmiechałam się, żeby mu pokazać, że nic się nie stało. — Słuchaj — powiedziałam — słuchaj, tam była taśma, prawda? To znaczy w kamerze? Znaczą kręciłeś prawdziwy film, prawda? Chodzi mi...

W końcu zaczął mnie dostrzegać. Bruzdy wokół jego ust przekształciły się w uśmiech. Teraz przypominało to kulminacyjną scenę, położył mi rękę na ramieniu i pocałował mnie w czoło, na deszczu. Powiedział: — Jasne, kochana. Jasne. Nigdy nie powinnaś wątpić. Czy to znaczy, że naprawdę miałaś wątpliwości? Przez te wszystkie miesiące? Nigdy nie powinnaś wątpić! Na tym wszystko polega. O to chodzi. To jest cel, ośrodek, przyczyna wszystkiego, o to tylko chodzi, tylko to jest ważne. Wiesz, co mam na myśli? Wizja?

Wiedziałam, co miał na myśli.

Byłam uratowana.

*D*otyczy sprawy Bobby'ego T.

28 czerwca 1952

Bobby T, mocował się z Frances Berardi i szarpnął ją gwałtownie, jakby próbując przewrócić. Ale drobne ciało Frances, broniąc się przed upadkiem, wykonało skręt. Krzyczała. Działo się to w parku Reardon, w pobliżu zabitej deskami budy — kiosku z napojami, który nie został otwarty tego lata, chociaż pomalowano go na paskudny ciemnozielony kolor i farba jeszcze pachniała świeżością — a trzy przyjaciółki Frances, dziewczęta w jej wieku, stały niedaleko na ścieżce i przyglądały się; inni ludzie w parku, usłyszawszy hałas, także zaczęli się przyglądać. Bobby T, niczego nie zauważył. Potrząsał Frances tak mocno, że jej głowa odskakiwała do przodu i do tyłu, a długie czarne włosy dotykały jego twarzy, kłując go w oczy.

Chyba to właśnie doprowadzało go do szaleństwa, te jej włosy, kłujące go w oczy.

Osunęła się na kolana. Bobby T, chwycił ją za ramię i jednym szarpnięciem postawił znów na nogi, aż wreszcie pchnął ją w kierunku przyjaciółek. Zderzyła się z jedną z nich. Dziewczęta były tak zaskoczone, że nie zdążyły wezwać

pomocy, zanim było po wszystkim i Bobby T, uciekał. Wtedy zaczęli nadchodzić inni ludzie zwabieni krzykami — mężczyzna, który siedział niedaleko na kocu z żoną, dzieckiem i tranzystorowym radiem, jakiś Murzyn, który łowił ryby w rzece, chłopcy na rowerach. Ale wtedy Bobby T, przebiegł już przez krzaki i zniknął.

Działo się to około 7 w bardzo gorący wieczór w miejscowości Seneca, w stanie New York.

9 sierpnia 1971

Trzydziestojednoletnia Frances Berardi, od prawie dwóch miesięcy żyjąca w separacji z mężem, stała za ladą w sklepie muzycznym swego ojca i myślała o Bobbym T. Cheatumie.

W sklepie panował duszny upał, a mimo to wstrząsały nią dreszcze. Z fascynacją i pogardą wpatrywała się w gęsią skórę pokrywającą jej gołe ramiona.

Pomagała w sklepie muzycznym Berardiego, od 1969 roku w nowym lokalu przy Drummond Avenue. Ojciec dawał lekcję gry na fisharmonii wdowie o nazwisku Florence Daley w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu na zapleczu sklepu. Dwanaście bezpłatnych lekcji towarzyszyło zakupowi fisharmonii; syn i synowa pani Daley kupili jej instrument w prezencie urodzinowym. Od czasu do czasu dochodziły to Frances przytłumione, bezdźwięczne piski fisharmonii, choć może to jej się tylko zdawało. Pomieszczenie miało być dźwiękoszczelne. Pochyliła głowę, słuchając. Tak, słyszała piski. Słyszała jakieś dźwięki.

Gdyby Bobby T, stanął w drzwiach, powiedziała mu: *Nie jestem już Frances Berardi, jestem Frances Laseck.*

Sklep ojca był niewielki, o połowę mniejszy od sąsiedniego sklepu z butami, może wielkości jednej trzeciej drugstores, znajdującego się na rogu. Ojciec zapchał go towarem,

pianina i fisharmonie stały stłoczone pod ścianami, a także pośrodku. Trudno się było poruszać. Znajdowały się tu także liczne lady z mniejszymi instrumentami muzycznymi, akordeonami, gitarami, bębnami, półki z nutami i płytami, choć ojciec Frances nawet nie próbował konkurować z olbrzymimi magazynami, które sprzedawały tak tanio popularne płyty. Nie mógłby z nimi konkurować, mawiał z oburzeniem, u nich płyty liczyło się „na kopy”, byle się szybko sprzedawały, i nikomu nie zależało na tym, jaki to rodzaj muzyki. Nie miał ochoty konkurować z nikim na takim poziomie, powiedział. A mimo wszystko sklep muzyczny Berardiego nadal funkcjonował, rok po roku. Frances lubiła pomagać ojcu, przede wszystkim dlatego, że sklep był tak znajomy, tak zamknięty jak pudełko oglądane od wewnątrz. Nie było tu żadnych niespodzianek. Любиła zapach czystego wypolerowanego drewna, pianina i fisharmonie, które ze swoimi czarno-białymi klawiaturami wyglądały tak urodziwie, milcząco, lśniąc i doskonale.

Jeżeli miała czekać na Bobby'ego T., tutaj było bezpieczniej niż w domu. Oczywiście Frances były jasne i błyszczące, a szyja zadziwiająco długa i cienka. Już od wielu dni sypiała nie najlepiej. Zdawała sobie sprawę, że pod suknią rysują się kości obojczyka, że wygląda w niej chuda i nastroszona jak ptak, ale mimo wszystko nosiła tę suknię. Gdyby Bobby T. przyszedł ją zobaczyć po tylu latach, mógłby nawet poczuć litość na widok jej chudości. Po dziecku nigdy już nie przybrała na wadze. Po kłopotach z mężem nigdy już nie przybrała na wadze.

Frances popatrzyła na zegarek: czwarta trzydzieści. Bardzo długie, gorące, spokojne popołudnie. Spojrzała na zegar, wiszący za nią: czwarta trzydzieści. Ludzie przechodzili po chodniku, nie wchodzili jednak do sklepu, czasami nawet nie spoglądali na wystawę. Teraz ktoś zwolnił, zatrzymał się, to kobieta w średnim wieku, w domowym stroju, przyglądała

się niewielkiej fisharmonii za 898 dolarów i nutom rozłożonym na aksamitnej materii, „Najlepsze melodie Gershwina”, „Two on the Aisle”, „Piosenki południowego Pacyfiku”. Kobieta nazywała się pani Fuhr, Frances знаła jej córkę Maude ze szkoły średniej. Miała nadzieję, że pani Fuhr nie wejdzie do sklepu.

Tylko półtorej godziny, pomyślała Frances. I będzie można zamknąć sklep.

2 lipca 1952

Ciągle na nowo pytali Frances, co się wydarzyło. Miała twarz rozpaloną i spuchniętą od płaczu. Jeżeli będzie płakała wystarczająco intensywnie, to może dadzą jej spokój. Dlaczego nie zostawia jej w spokoju? Krzesło z oparciem z wikliny poskrzypywało pod rozłożystymi kształtami jej matki, która siedziała zawstydzona i milcząca. Ojciec nie potrafił wytrzymać na miejscu, wstawał z krzesła i chodził naokoło, wprawiając wszystkich w zdenerwowanie. Powiedz im, Frannie. Powiedz im jeszcze raz. Mów jasno, powiedz to jeszcze raz, proszę cię, powtarzał.

Byli w komisariacie policji w centrum miasta, w jednym z pomieszczeń na zapleczu. Komisariat! Frances wiedziała, że Bobby T, jest zamknięty gdzieś w pobliżu.

— Powtórz, proszę, to, co nam powiedziałaś. I co wtedy? Kiedy cię przewrócił, to co wtedy? — nie przestawał pytać mężczyzna.

Frances raz jeszcze przeszła przez to wszystko.

Jej ręka powyżej łokcia była posiniaczona, paskudne pomarańczowo-fioletowe siniaki. — Proszę na to spojrzeć, mówił ojciec, pokazując mężczyźnie rękę Frances. Tak, policjant to widział. Jej kolana były brzydko podrapane. Policjant starał się nie patrzeć na kolana Frances. Zresztą zadrapania ukryte były pod bandażami i plastrami, które matka zmieniała kilka razy dziennie.

— Mogła dostać zakażenia, paskudnego zakażenia — mruzczał ojciec.

— To prawda — odrzekł policjant. Był to duży mężczyzna z błyszczącą łysiną, w wieku jej ojca. Nie miał munduru tak jak pozostali policjanci, którzy się wszystkiemu przysłuchiwali. Kiedy mówił, Frances przyglądała się posępnym bruzdom dokoła jego ust. Od czasu do czasu pocierał chusteczką te spotniałe bruzdy, ponieważ było bardzo gorąco, mimo że pracował wentylator. Było tak gorąco, około dziewięćdziesięciu stopni, już od przeszło tygodnia. Wszyscy w Seneca mieli dosyć tej pogody.

— Bobby T. Cheatum był zawsze przemądrzałym cwaniaczkiem — stwierdził policjant — ale nigdy nie przypuszczałem, że posunie się tak daleko.

— Trzymajcie go tylko w zamknięciu — powiedział głośno ojciec Frances. — Jeżeli ucieknie...

— Nie ucieknie.

— Nie? Skąd ta pewność? Z takiego więzienia? Ja znam to miasto. Wiem, co grozi moim dzieciom i dzieciom moich sąsiadów, chłopcom i dziewczynkom, bez różnicy. Słuchaj pan, lepiej niech się pan postara, żeby z tego była sprawa, w sądzie, z sędzią i tak dalej — zająknął się — bo jest parę rzeczy, których to miasto powinno się nauczyć.

— To prawda, panie Berardi. Tak się składa, że się z panem zgadzam — powiedział policjant, wycierając twarz.

Frances zabrakło łez. Zastanawiała się, czy doszli już do końca przesłuchania. Od czterech dni trzymana była w domu, ojciec zamknął sklep i też siedział w domu, czasami szlochał wściekle w sypialni, czasami gdzieś wychodził w pośpiechu, mijał wtedy Frances nawet na nią nie patrząc. Jak gdyby jej nienawidził. Frances płakała aż do całkowitego wyczerpania. W przyływie wściekłości pomyślała, że Bobby T. jest cholernym głupim czarnuchem, choć uważa się za

sprytniejszego od innych czarnuchów, i że powie mu to, kiedy go następny raz zobaczy.

19 listopada 1956

— Nazywam się Herbert Ryder i jestem z Pomocy Prawnej. Byłem tu kiedyś z twoją siostrą Bonnie. Pamiętasz mnie, Bobby?

Bobby T, siedział, trzymając ręce nieruchomo na olbrzymich kolanach, kołysał rozdzielonymi kolanami to w jedną, to w drugą stronę. Twarz mu błyszczała tym szczególnym blaskiem suchego potu, zwłaszcza na obrzeżach szerokiego nosa. Oczy miał żółtawe. Czasami zaciskał wargi, czasami je rozluźniał. Nie patrzył na Herberta Rydera.

— Bobby, chciałbym zadać ci kilka pytań. Czy mnie słuchasz, Bobby?

Znajdowali się w pokoju przeznaczonym na odwiedziny, w rodzaju alkowy przylegającej do werandy, gdzie w niektóre dni uczono pewnych rzemiosł. Była środa wieczór, jedyny dzień, kiedy Ryder mógł przyjść do szpitala. W alkwie było zimno. W recepcji w hallu siedziała tylko pielęgniarka, która pisała na maszynie w szybkim, spazmatycznym rytmie i słuchała muzyki z małego tranzystorowego radia.

— Jak tylko zostaniesz znów zbadany i wyjdiesz stąd, skierujemy twoją sprawę na wokandę. Nie mam wątpliwości, że oskarżenie nie będzie podtrzymane. Bobby, czy ty słuchasz?

Bobby nie odpowiedział.

— Dlaczego nie słuchasz? Nie masz do mnie zaufania? Twoja siostra Bonnie zwróciła się do mnie o pomoc, nie pamiętasz, przez nią mnie poznałeś. Wiesz, kim jestem. Chcesz stąd wyjść, prawda?

Bobby wzruszył ramionami. — Do diabła — wymamrotał.

- Słucham?
- Do diabła z tym — powiedział chropawym głosem.
- Co masz na myśli? Nie chcesz stąd wyjść?

Bobby wpatrywał się w podłogę. Włosy miał tłuste i bardzo skręcone. Gęste drobne loczki nadawały jego twarzy myślący wyraz napięcia. Naprawdę był bardzo rozluźniony, swobodny, niemal nieświadomy. Siedział zatopiony w sobie, ciężkie gołe przedramiona spoczywały na udach, wielkie dłonie na kolanach. Choć w alkwie panował przeciąg, jemu było ciepło, olbrzymie pory w skórze nosa błyszcząły.

— Wszystko się wyjaśni. Nie mam wątpliwości, że oskarżenie nie zostanie podtrzymane. Ale musisz wyzdrowieć. To znaczy, musisz dostać zaświadczenie, że jesteś zdrowy. Gdybyś tylko się postarał...

Nagle wydawało się, że Bobby zaczął słuchać.

— Kiedy będziesz badany, żebyś tylko spróbował... starał się... Gdybyś tylko postarał się zachowywać normalnie.

Pielęgniarka w hallu znowu zaczęła pisać, wyłączyła muzykę. Bobby T, drgnął, dotychczas słuchał muzyki, nie Rydera.

— Czy chcesz zgnić tutaj? — spytał zniecierpliwiony Ryder.

Bobby T, nawet nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć.

6 lipca 1952

Wskakiwał i zeskakiwał z pryczy w więzieniu w centrum Seneki, krzycząc. Podbiegał i odbiegał od krat, rzucał się na nie, nie mogąc w nie uwierzyć. Zaciągnęli go tutaj i zamknęli. Jego! Bobby'ego T. Cheatuma!

Kiedy tylko się wydostanie...

Uderzał spotniałą twarzą o żelazne kraty. Gałki oczne śwędziały od upału, w ten sposób mógł je podrapać. Dotykać

nimi do krat, jeszcze mocniej, a potem uderzać czołem o kraty — dostawał szału na myśl, że jest w zamknięciu, a wszyscy inni są na wolności. I pewnie śmieją się z niego. Kiwają nad nim głowami. Matka przepowiedziała to wszystko, śmiejąc się tym swoim zmęczonym, gorzkim śmiechem. *Bobby T., wkrótce zaczną się moje i twoje kłopoty, wszystko przez tę twoją bezczelność.* Nie chciała przyjść go odwiedzić. Przysłała mu tylko przez siostrę zapewnienie: *Jestem przy tobie całym sercem. Niech Bóg cię zawsze błogosławi.*

Ciągle słyszał krzyki Frances Berardi. Dlaczego ta mała suka narobiła tyle hałasu? A kiedy rozejrzał się dokoła, to oczywiście Roosevelt już uciekł, a dziewczyny zaczęły wzywać pomocy. Skąd się w ogóle wzięły te dziewczyny? Wałęsały się po ścieżce, cofnęły się i znów podeszły bliżej, szybko, prosto z tej straszliwej fali gorąca, powietrza jakby prosto z gorącego pieca, przed którym nie ma się gdzie ukryć. Przez cały dzień pracował w Allied Storage, ładując i rozładowując furgonetki, i wyczekiwał na wieczór, kiedy pójdzie do parku Reardan, żeby zobaczyć, kogo tam spotka.

Teraz mógł zamknąć oczy i widział ich wszystkich, na betonowym obmurowaniu, opowiadających dowcipy o tym, jak to Bobby'ego T, zawleczono do więzienia.

Uderzył głową w kraty, żeby się przekonać, co się stanie. Nagle spodobało mu się twardo-miękkie dotknięcie żelaza, jego zimna płaskość, opór, jaki stawiało jego rozpalonej twarzy. Było w tych kratkach coś, co wzbudzało szacunek.

...Pamiętał te małe włoskie dziewczyny z zuchwałymi twarzami z czasów kiedy chodził do szkoły, jak z nim żartowały i nie miały nawet nic przeciwko temu, żeby siedzieć koło niego w autobusie. Całkiem dobrze się z nimi dogadywał. Wszyscy go lubili. Dzieciaki z dolnego miasta trzymały się razem, jeździły autobusem trzy czy cztery mile do szkoły Lawrence'a

Belknapa. Frances Berardi nie jeździła tym autobusem — była młodsza od Bobby'ego T, i jego przyjaciół — nie był pewny, ile miała lat, ale była młoda. Mała biała suka, z tym swoim wrzaskiem...

Miał przecięte usta od wewnątrz i pluł krwią, ale próżne było oczekiwanie na lekarza.

Przyciskał twarz, policzek, szczękę do krat. Powoli przyszła mu do głowy pewna myśl. Widział, jak rodziła się w jego głowie maleńka jak ukłucie szpilki, a potem rosła. Patrzył, jak rosła, aż stała się za duża, żeby się zmieścić wewnątrz głowy.

— Wypuście mnie! — wrzasnął.

Zdziwił go dźwięk własnego głosu. To był dźwięk, jaki słyszał w czasie walki z Frances — nie jego głos, ale inny, który torował sobie drogę na zewnątrz jego ciała. Teraz, kiedy się już wyzwolił, krzyknął znowu:

— Słyszycie? Słyszycie mnie, ludzie? Wypuście mnie, wy...

Zamilkł, ciężko dysząc. Serce biło mu teraz tak, jakby się od niego uwolniło, radosne i dzikie. *Tak, tak, Bobby T.*, myślał, a myśl ta była jak krzyk i coś wydawało się pękać w jego głowie. Wziął z pryczy materac i rzucił go o ścianę, mamrocząc pod nosem. Obrócił się i zobaczył ramę pryczy, złapał ją, nie była ciężka, i to sprawiło mu zawód, ale w każdym razie było to coś, co dało się schwycić, prawdziwy przeciwnik. Nie tak jak ta mała Frances Berardi, która okazała się tak lekka, że mógłby jej skrócić kark w sekundę, mimo tych jej wszystkich cwaniackich przechwałek...

Jej twarz zastygła w jego głowie. Przypomniawszy sobie to nagłe szaleństwo, jakie wtedy go ogarnęło, twarz Frances i to, jak obróciła się do niego i uderzyła go, na oczach wszystkich... Zaczął tłuc pryczą w ścianę. Jeszcze raz. I jeszcze. Uderzał pryczą w ścianę i w kraty krzycząc, żeby go wypuścili, tak długo, że już nie mógł przestać, nie chciał przestać...

— Wypuście mnie, ja was pozabijam, całą przekłętą bandę...

9 lipca 1952

Dziewiąta trzydzieści rano. Wiedział to, bo zobaczył zegar. Przez całą noc oczy Bobby'ego T, obracały się w głowie jak szalone, pragnąc się uwolnić. Był przywiązany do łóżka skórzanymi pasami. Na złość pielęgniarce specjalnie zmoczył łóżko — niech sprząta. Niech czyści. Była to wiedźma z rękami jak szpony, i bała się go; gdyby nie musiała, toby do niego nie podeszła. Próbował na nią zwymiotować, ale wszystko się jakoś w nim zatrzymało, nie chciało wyjść. Musiał poczuć smak rzygowin, wracających przez gardło. To go rozjuszyło.

Zastrzyk w lewy pośladek i znalazł się poza łóżkiem, w czymś ubraniu, w ubraniu, którego nie rozpoznawał. Teraz miał bardzo ciężką głowę, chociaż wiedział, że jest dopiero dziewiąta trzydzieści rano i że ma przed sobą długi dzień. Wyprowadzili go do karetki, pomogli wsiąść i zamknęli za nim drzwi, kolejne skórzane pasy przytwierdzały jego ręce do boków, a przy drzwiach siedział sanitariusz, żeby go pilnować. Biały szczeniak lat około dwudziestu, który patrzył na Bobby'ego T., tak jakby się spodziewał, że Bobby T, zaraz się na niego rzuci.

A więc naprawdę myśleli, że on jest szalony.

Musiał się roześmiać, takie to było zabawne. Biały chłopak, siedzący na małym stołku przy tylnych drzwiach, spojrział na niego, ale nic nie powiedział.

A więc był umyślowo niezdolny do uczestniczenia w procesie — tak powiedzieli — czyli nabrał ich, wszystkich...

Umyślowo niezdolny do uczestniczenia w procesie. Nabierał ich wszystkich.

28 czerwca 1952

Frances Berardi z kilkoma przyjaciółkami, dziewczynkami w swoim wieku, przechodziła przez park Reardon. Po kolacji wszyscy wyszli z domów. Przez chwilę rozmawiały ze znajomymi chłopcami, i Frances pociągnęła kilka dymów z papierosa od jednego z nich — niewielkiego chłopca o twarzy jak fretka, który się nazywał Joe Pausano. Palila z przymrużonymi oczami z dorosłą nonszalancją, jakby starannie oceniając smak papierosa i dochodząc do wniosku, że nie jest taki zły. Oboje z Joem nie byli starsi od innych, ale zachowywali się, jak by byli, i nagle on zaczął się z nią przekomarzać na pewien temat, przypominając, co o niej napisano na pobliskim wiadukcie, a ona mu powiedziała, żeby po, szedł do diabła.

Odeszła z przyjaciółkami, maszerując sztywno, ze złością.

— Nie lubię chłopaków, którzy mówią świństwa — powiedziała. — Nie muszę wysłuchiwać takich śmieci z niczyich ust.

Wygłosiła to z miną kobiety, znającej życie. Poszła wraz z przyjaciółkami w dół nad rzekę, gdzie ludzie łowili ryby — głównie Murzyni, chłopcy i starsi mężczyźni, a nawet kilka otyłych czarnych kobiet, które siedziały na odwróconych skrzynkach i wzdychały, zmęczone upałem. Nie było tu nikogo, kto by interesował Frances. Szła wraz z przyjaciółkami wzdłuż obetonowanego brzegu, wkopując do wody opakowania po napojach i cukierkach. Był bardzo gorący, duszny wieczór.

Frances miała na sobie džinsy, obcięte bardzo wysoko na udach i dżersejową bluzkę, w różowe i białe paski z białym rozciągliwym golfem, która z trudem przechodziła jej przez głowę; kupiła ją w ostatnią sobotę w sklepie w Górnym Mieście. Wiedziała, że dobrze wygląda w tej bluzce. Miała dwaście lat, ale była dojrzała jak na swój wiek, gęste kosmyki

czarnych i błyszczących włosów opadały jej na czoło, dotykając krańców grubych brwi. Była niewysoka, wysportowana, miała bystre spojrzenie i krótką górną wargę, zwykle śmiała się i żartowała głośno. Frannie można zawsze usłyszeć z daleką, narzekała jedna z jej siostr; czy to w szkole, czy w sklepie, czy tu w parku, zawsze Frannie Berardi zachowywała się głośno. Otaczały ją przyjaciółki, zazdrosne i onieśmielone.

Nie było co robić nad rzeką, zawróciły więc w kierunku Market Street. Nie było tu już Joego Pausano i jego przyjaciół. Frances żałowała, że tak odeszła, ale miała nadzieję, że Joe pójdzie za nią. Mogłaby teraz jechać na ramie jego roweru, podniecona, z rozpaloną twarzą... „Do diabła z nim”, wymamrotała. Frances i jej przyjaciółki szły powoli, powłócząc nogami. Wszystkie miały na nogach mokasyny ze sztucznej skóry, jasnobrązowe, ozdobione małymi kolorowymi paciorkami, kupione w tym samym sklepie w Górnym Mieście. Zawsze powłoczyły nogami w kurzu. Wszystkie miały jednakowe śniado-jasne twarze i ciemne oczy, poruszające się bezustannie. Ich uwaga zwróciła się jednocześnie w tym samym kierunku, ktoś przed nimi użył klaksonu, ale nie był to ktoś, kogo znały, a potem wszystkie zwróciły się tam, skąd dochodziła muzyka z czyjegoś radia, ale było to tylko małżeństwo z dzieckiem, leżące w pobliżu na kocu, kuzynka Frances z mężem, a potem znów wszystkie zwróciły się w stronę dwóch czarnych chłopców. Frances знаła jednego z nich, Bobby'ego T., dużego chłopaka w dżinsach z paskiem ze sprzączką i w trykotowej białej koszulce wpuszczonej w spodnie.

— Patrzcie tylko, kto się tu kręci — zawołała do niego Frances, cedząc słowa.

Chłopak odwrócił się w jej stronę z uśmiechem zaskoczenia.

— Widzę jedną sprytną kotkę — powiedział podnosząc rękę, by popatrzeć na nią przez palce, przez wizjer z palca wskazującego i kciuka.

Frances roześmiała się. — Nie masz nic lepszego do roboty, tylko się tu kręcić, co? Myślałam, że masz samochód. Jak to się stało, że się tu kręcisz?

— Oglądam widoki — odpowiedział Bobby T.

Frances spojrzała Bobby'emu T, prosto w oczy. Miał dziewiętnaście lat i chodził do jednej klasy z jej bratem Salvatore. Ale zachowywał się, jakby był młodszy i zawsze był bardzo zabawny. Był przystojnym czarnym chłopcem.

— Masz na myśli jakiś specjalny widok? — zapytała. Twarz jej była rozpalona, zachowywała się bezczelnie. Jej przyjaciółki chichotały, kiedy Frances podeszła do niego z rękami na biodrach, zupełnie jak ktoś na filmie.

— Może przejedziemy się do miasta. Masz ochotę?. — zapytał Bobby T.

— Nie dzisiaj. — Frances zauważyła, że był boso i miał bardzo brudne stopy. Zachichotała na myśl o wielkości jego stóp. — Zresztą słyszałam, że twój samochód jest zepsuty. Tak słyszałam.

— Dlaczego nie dzisiaj? Masz jakieś specjalne plany?

Frances wzruszyła ramionami. Była bardzo podniecona, niemal kręciło jej się w głowie. Jakby ktoś popychał ją od tyłu, jakby pchał ją w stronę Bobby'ego T. *Śmiało, nie bój się. Staw mu czoło.*

— Psiakrew, ojciec by mnie zabił — powiedziała Frances.

— A kto mu o tym powie?

— Słyszałam, że twój samochód się popsuł, a poza tym mam lepsze zajęcia.

— Twój ojciec nigdy się o tym nie dowie, nigdy się przecież nie dowiedział o tamtym razie, co?

Frances miała nadzieję, że przyjaciółki tego nie słyszały. Przez jej twarz przeleciało coś jakby rumieniec i puknęła

palcem wskazującym w środek torsu Bobby'ego T.

— Ktoś tu bardzo dużo mówi — stwierdziła, przeciągając głoski.

Bobby T, tylko się uśmiechnął.

To doprowadziło Frances do furii. Coś w niej wściekle pulsowało. Musiała stanąć na piętach i odchylić głowę, żeby spojrzeć prosto w twarz Bobby'ego T. Nie zamierzała przed nim skapitulować.

— Mam ciekawsze zajęcia niż nudzenie się z tobą — oświadczyła.

— Dlaczego jesteś taka grymaśna? Tego nigdy nie słyszałem o Frannie Berardi.

Omam się nie roześmiała. Ale nagle, kierowana jakimś niewytłumaczalnym podnieceniem, czymś, na co odważyła się w swojej wyobraźni tyle razy — myślą o spoliczkowaniu Joego Palisano w obecności wszystkich — Frances cofnęła się i uderzyła Bobby'ego T, w twarz, wymierzając mu mocny policzek otwartą dłonią...

23 kwietnia 1960

— Więc uderzyłam go w twarz. Wyglupiałam się. A on złapał mnie za przegub dłoni i zaczął mną potrząsać... a ja próbowałam go kopnąć... i...

Frances zawahała się, patrząc na ojca Luciano, jakby spodziewała się, że to potwierdzi, że pamięta. Ale on nie mógł pamiętać. Nie mógł widzieć tego letniego wieczora, parku, szerokiej ścieżki, zabitego deskami kiosku, Bobby'ego T, i jej...

— Frances, czy to wszystko nie zdarzyło się bardzo dawno temu? Przed wielu laty? — zapytał.

— Tak. Zanim przeprowadziliśmy się do Górnego Miasta. Wszyscy — powiedziała wolno Frances. — Jak gdyby same dzieci postanowiły się przenieść, wie ksiądz, dzieci, które się przyjaźniły, teraz mieszkają tam przeważnie sami

Murzyni. Nad rzeką. Eddie zawozi mnie tam czasami, patrzę na nasz dawny dom, i wszystko teraz jest kolorowe, wielka rodzina... Dolne Miasto składało się kiedyś wyłącznie z Włochów i kolorowych, teraz są tylko kolorowi... To zabawne, jak się zmieniło.

Ojciec Luciano uśmiechnął się z przymusem. Wyraz jego twarzy był dziwny, nie taki, jak powinien być. Czyżby nie słuchał? Frances wysunęła się do przodu na krześle. Musiała sprawić, żeby ją zrozumiał. Musiała wytłumaczyć coś niecierpiącego zwłoki, musiała prosić o jego przebaczenie i rozgrzeszenie, musiała to wyznać i uporządkować, tak żeby mogła o tym zapomnieć, wyjść za mąż i wydostać się poza tę część życia.

— Tak, to było bardzo dawno temu — jękała się — a ja byłam taką gówniarą, niedobrze mi się robi, kiedy sobie to przypominam. Tak bardzo się popisywałam... W soboty chodziliśmy na wrotki i spotykaliśmy się z chłopakami z Górnego Miasta i jeździliśmy na rowerach... Wstyd mi siebie kiedy sobie przypomnę — powiedziała. Wyjęła z torebki chusteczkę i wytarła czoło. — A Bobby T., Bobby T. Cheatum był chłopakiem z sąsiedztwa, trochę od nas starszym. Chodził do szkoły z moim bratem, ale rzucił naukę. Wszyscy bawiliśmy się razem, wie ksiądz, biali i kolorowi, w parku i w szkole, i wszędzie, a Bobby T, był zawsze miłym chłopakiem, raczej śmiałym, chodził na przykład przez most kolejowy, kiedy w każdej chwili mógł nadjechać pociąg, a wie ksiądz, jak ten most się chwieje...

Dlaczego mówiła to wszystko? Ojciec Luciano nie miał najmniejszego pojęcia, o czym ona w ogóle mówi. Prawdopodobnie nawet nigdy nie był w Dolnym Mieście. On sam pracował od niedawna w Senece, a jego parafia znajdowała się daleko od wzgórza. Pochodził z Buffalo, czterdzieści mil stąd. Frances była niezdecydowana. Chciała, żeby zrozumiał, chciała przypomnieć mu te lata na zwirowanych placach

zabaw, w parku, i w szkole Lawrence'a Belknapa, chciała jeszcze raz mu przypomnieć wszystkie dzieci z sąsiedztwa, dziś już dorosłe, wiele już pożenionych, wielu jeszcze w marynarce lub w armii, niektórzy w collegu, inni gdzieś przepadli, dwoje zginęło w wypadkach samochodowych, a kilkoro prześladował szalony pech, jak Bobby'ego T., który przez te wszystkie lata zamknięty był w stanowym szpitalu.

— Czy chciałabyś już teraz zacząć swoją spowiedź? — zapytał ojciec Luciano.

— Nie, jeszcze nie, proszę poczekać... chciałabym coś wytłumaczyć — mówiła wolno, w pomieszaniu. W przedsionku czekał Eddie i mogła go sobie wyobrazić, jak pali papierosa i marszczy brwi. To trwało zbyt długo. Wiedziała, co teraz nastąpi, krótki wykład o kontroli urodzin, podpisanie oświadczenia i przysięga, że nie będzie stosowała żadnych sztucznych metod zapobiegania ciąży, a dzieci wychowa w wierze katolickiej. Tak. Była na to przygotowana. Ale najpierw musiała wyjaśnić coś ze swego dzieciństwa, dojrzewania, kiedy to miała dwanaście lat i kupiła tę biało-różową bluzkę, którą tak lubiła, kiedy to podeszła do Bobby'ego T. Cheatuma owego wieczoru w parku...

— Powiedziałaś, że chłopak jest w szpitalu — wtrącił ojciec Luciano, kiedy Frances przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. — Czy nie uważasz, że znajduje się tam w dobrych rękach? Poza zasięgiem niebezpieczeństwa i sam nie jest niebezpieczny dla innych... Jestem przekonany, że mają tam wspaniałą personel, który może mu pomóc. Gdyby był na wolności, zdany na siebie, stanowiłby zagrożenie dla siebie i dla innych.

— Ale ja byłam takim szczeniakiem, zawsze za dużo gadałam.

— Uważam, że sąd okazał prawdziwą mądrość. Nie mam co do tego wątpliwości. Czy ktokolwiek jeszcze mówi o tym

zdarzeniu, Frances? Czy poza tobą ktoś jeszcze o tym pamięta?

— O nie, nie — powiedziała natychmiast Frances. — Nie w mojej rodzinie. Przestaliśmy o tym mówić od razu. A Eddie mieszkał poza Seneką, pochodzi ze wsi, gdzie jego rodzice mają farmę... Dzieci z sąsiedztwa teraz się rozproszyły, czasami tylko spotykam niektóre dziewczyny na zakupach. Wszyscy przenieśliśmy się do Górnego Miasta. A rodzina Bobby'ego T., no cóż, ja ich nie znałam... słyszałam, że jego ojciec zmarł przed kilkoma laty... ale prawdopodobnie ludzie nie pamiętają...

Ojciec Luciano poprawił się na krześle. Przez jego ramię Frances widziała trawnik od frontu i żelazną furtkę ozdobioną złotymi krzyżami, kolejne krzyże, ciągnące się jeden za drugim wzdłuż chodnika. Spojrzała na swoje dłonie, na zmiętą mokrą papierową chusteczkę. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy wyjęła ją z torebki.

— Gdyby był na wolności, zdany na siebie — powiedział miękko ojciec Luciano, stanowiłby zagrożenie dla siebie i dla innych. Czy nie tak?

— Myślę, że gdybym mogła go odwiedzić... może mogłabym mu to wytłumaczyć... Ale to doprowadziłoby mojego ojca do szaleństwa, nie mogę nawet wspomnieć o tym. Kiedyś przyszedł do mnie jakiś adwokat, z Pomocy Prawnej. Tak się to chyba nazywało. Próbował doprowadzić do procesu Bobby'ego T., czy coś. Zadawał mi pytania, ale ojciec był przy tym, musiałam więc powtarzać dawne odpowiedzi... I... Och, sama nie wiem. To także było już dawno, trzy albo cztery lata temu. Myślę, że teraz ludzie już nie pamiętają.

— Jestem pewien, że nie pamiętają — powiedział ojciec Luciano.

9 sierpnia 1971

Frances podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Frannie? Co tam słyhać?
- Co masz na myśli? — zapytała poirytowana. — Lekcja o czwartej odbyła się z tą panią na fisharmonii, spokojnie tu jak w piekle i tak samo gorąco. Dlaczego on ma otwarte do szóstej, nie mogę zrozumieć.
- Jesteś pewna, że nikt nie wszedł?
- Jeśli masz na myśli Bobby'ego T., to nigdzie go nie wi- dać, a co więcej w zasięgu wzroku nie ma żadnego Murzyna i żaden nawet nie oglądał wystawy przez cały dzień. To tyle. A jak tam w domu?
- Frannie, wspomniałam tylko, że ten kolorowy chłopiec został dzisiaj wypuszczony, wiesz, tylko tak to powiedziałam do Edith Colombo, a ona na to, że powinniśmy zawiadomić policję. Nie mam zamiaru napytać nam kłopotów, Frannie, ale bądź rozsądna, po prostu może lepiej byłoby to zrobić dla ostrzeżenia...
- Nie.
- W każdym razie powinnaś poinformować Eddiego. Na pewno wolałby o tym wiedzieć. Prawdopodobnie martwi się teraz o ciebie.
- Frances zrobiła desperacko śmieszoną minę na myśl, że matka może być tak głupia. Że jej własna matka może przypuszczać, że ona w ogóle cokolwiek Eddiego obchodzi.
- Jak tam Sue Ann? — spytała Frances bezbarwnym głosem.
- Bawi się na dworze z dzieckiem sąsiadów... Czy jesteś pewna, że nikt się tam nie kręci? Na chodniku koło sklepu?
- Ojciec Frances wszedł z pomieszczenia na zapleczu i przyglądał się jej. Wyszeptala w jego stronę „mama”, skinął głową, z twarzy jego zniknął wyraz zainteresowania. Podszedł do okna i wyglądał na ulicę. Samochody poruszały się powoli. Po kilku minutach Frances powiedziała: — Mamo, muszę kończyć, idzie klient.

Wpatrywała się w plecy ojca, w jego wilgotną białą koszulę i zastanawiała się, o czym myśli. Nie o Bobbym T. Na pewno nie. Przez te wszystkie lata nie poświęcił nawet pięciu minut myśleniu o nim, o tym czarnym draniu, szaleńcu, który pobił jego córkę, a potem uciekał tak szybko, że trzeba było aż trzech policjantów, by go przyprowadzić... Frances wyjęła puderniczkę i obejrzała swoją twarz. Zawsze zdumiewało ją, że wygląda tak rezolutnie. Rezolutnie. To było wszystko, co można było powiedzieć o jej twarzy, ale to wystarczyło. Krótka górna warga, długi cienki nos, czarne bystre oczy i włosy, które nie kręciły się nawet w takim upale. Tak, była rezolutna. Mała i rezolutna. Co to ktoś jej kiedyś powiedział? Sam Bobby T.? — *Najlepsze rzeczy są w małych opakowaniach.*

Stała kiedyś pod markizą Rexall Drugs przy Main Street, czekając aż przestanie padać, a wzdłuż chodnika przejeżdżał w swym rozklekotanym gruchocie Bobby T, z tym swoim przyjacielem o takim śmiesznym imieniu — nie mogła go sobie teraz przypomnieć — i Bobby zapytał, czy nie chciałaby, żeby podwiózł ją do domu. Przecież mieszkali blisko siebie. Frances wahała się tylko przez sekundę, a potem powiedziała: dobrze. I wskoczyła na tylne siedzenie. Zawsze była bardzo odważna. Zjechali prosto z wielkiego wzgórza do Dolnego Miasta. Bobby T, trochę się popisowywał, waląc w kierownicę jak w bęben, ale starał się być dla niej miły. A jednak ten Bobby T, zawsze dawał do poznania, że jego myśli ocierają się o sprawy, o których nie powinien myśleć. Tego dnia powiedział, przekomarzając się z nią, że *najlepsze rzeczy są w małych opakowaniach.*

Przyjaciół Bobby'ego T. — miał na imię Roosevelt — nie potrafił dopasować się do sposobu, w jaki żartowali ze sobą Frances i Bobby T. Jakaż była odważna! Wiedziała, że ojciec zabiłby ją, gdyby ją zobaczył w samochodzie z jakimikolwiek

chłopakami, a co dopiero z kolorowymi. Ale mimo wszystko wskoczyła do samochodu.

Kiedy jednak dojeżdżali w pobliże jej domu, zaczęła się zastanawiać, czy to był dobry pomysł. Ktoś na ulicy może ją zobaczyć i powie ojcu. Trąciła więc Bobby'ego T, w ramię i powiedziała: — Hej, może ja lepiej tutaj wysiądę.

— W takim deszczu? Żeby zniszczyć ten twój wspaniały strój?

Parsknęła śmiechem; była ubrana w szorty i poplamioną bluzkę.

Ale Bobby T, pozwolił jej wysiąść blisko sklepu warzywnego, gdzie mogła poczekać, aż przestanie padać. Najwyraźniej nikt jej nie widział. Nikt nie powiedział ojcu. A teraz, po tylu latach chciała powiedzieć ojcu o tej przejażdżce. O tym, jak razem chichotali...

— Przez cały dzień myślałam o Bobbym T. — powiedziała miękko.

Ojciec stał do niej plecami, przygarbiony, spocony. Utył i wyłysiał, kiedyś był przystojnym mężczyzną, nawet jeszcze wtedy, kiedy włosy zaczęły mu wychodzić, teraz przytłoczyły go zmartwienia i nerwy. Frances trochę się go bała. Obawiała się jego poirytowanej miny, nachmurzonego wzroku, który przez całe lata skierowany był w jej stronę, ponieważ nie potrafiła grać na fortepianie, ponieważ jej małżeństwo od samego początku było niedobre; bała się głównie dlatego, że sama miała zwykle zuchwałą, niecierpliwą, niepoważną minę.

— Co powiedziałaś? — zapytał ojciec, odwracając się gwałtownie.

Jego twarz ostrzegała. *Lepiej się zamknij, Fran. Zamknij tę rezolutną buźkę.*

— Nic — odparła.

— To już lepiej — powiedział ojciec.

9 sierpnia 1971

Odnaleźli starszą siostrę Bobby'ego T., Bonnie, która była mężatką i mieszkała w Buffalo. Na początku powiedziała nie, nie może go wziąć, sama się go boi, a jej mąż też stale ma kłopoty... Co Bobby T, będzie robił w domu? Czy nie będzie niebezpieczny?

Opiekunka społeczna powiedziała: — Bobby przez dziesięć lat pracował w szpitalnej pralni. Będzie mógł dostać dobrą pracę w pralni. Musi się tylko z powrotem przystosować do społeczeństwa. Przez jakiś czas będzie mu potrzebny przyjazny dom, żeby mógł zacząć od początku.

— Jak długo ma to trwać, żeby mógł zacząć od początku? — spytała podejrzliwie Bonnie.

Była grubą kobietą po czterdziestce, o poważnej twarzy, miała zwyczaj przecząco potrząsać głową, kiedy nad czymś myślała, jakby nic nie wydawało jej się dobre. W końcu zgodziła się wziąć do siebie Bobby'ego T.

A więc przywieźli do niej Bobby'ego T, w pewne poniedziałkowe popołudnie. Okazał się wysokim, szczupłym, czarnym mężczyzną, lekko przygarbionym, nieśmiałym i jakby przepraszającym. Miał niewielką walizeczkę. I pięć dolarów wypisowego.

— No cóż, Bobby T. — zaczęła niezręcznie. — Tyle lat...

Uściśli sobie ręce jak na filmie. Bonnie nie bardzo wiedziała, jak się zachować, pamiętała, że brat był wyższy i masywniejszy, może ten mężczyzna był kimś innym.

— Halo — powiedział.

Głos jak szept, tak chropawy! Głosu także nie poznawała.

Opróżniła dla niego miejsce na sofie, żeby usiadł, walizkę postawił koło swoich stóp. A więc to był ten szalony, odizolowany brat, Bobby Templar, o którym nikt w rodzinie nie lubił mówić. ...Miał dziwny sposób przekrzywania głowy.

Nie spoglądał jej w oczy, nie bezpośrednio. Wysoki, chudy, kościsty, bardzo przypominający ptaka swoją nerwowością, ciemna skóra błyszczała jakby złana potem, a ubranie wydzielalo woń strachu. Bonnie przyglądała mu się i serce jej miękło. To była pomyłka, ale nie mogła się już z niej wyplatać.

— Upłynęło dużo czasu, odkąd żeśmy się widzieli — powiedziała wolno. — Dobrze cię tam traktowali?

— Tak — powiedział Bobby.

— Cały ten kłopot, wiesz, sąd i tak dalej, chodzi mi o proces, to wszystko się wyjaśniło, co?

— Oskarżenie zostało oddalone — powiedział miękko Bobby T.

— O tak, oddalone oskarżenie — powtórzyła z powagą jego siostra, kiwając głową. To był istotny fakt. To była dobra wiadomość.

Nie bardzo wiedziała, co ma robić, czy zacząć gotować kolację, kiedy on tak siedzi, więc po chwili zasugerowała, żeby poszli na róg do sklepu kupić jakieś brakujące produkty. — To pięć minut stąd — wyjaśniła.

Bobby podniósł się z powagą i wyszedł za nią — miała mieszkanie na pierwszym piętrze, w dobrym miejscu. Zauważyła kątem oka, że idzie jakby skulony, jakby wysuwał naprzód czoło. Nie wyglądał na wariata, nie tak jak niektórzy ludzie na ulicy, ale nie wyglądał też zupełnie normalnie, szedł tak sztywno jak staruszek, nie mężczyzna — ile on miał teraz? — trzydziestoośmioletni. Cały czas patrzył na jezdnię, na autobusy i ciężarówki...

Na skrzyżowaniu zamarł i wydawało się, że nie jest zdolny się poruszyć...

— To po drugiej stronie ulicy, ten sklep na wprost — mówiła Bonnie, sama mocno wystraszona. *O Jezuu, myślała, przywieźli mi go całkiem szalonego i odjechali.* — Słuchaj, Bobby T., to nic strasznego przejść przez ulicę, nikt ci nic nie zrobi...

Co z nim było nie w porządku? Stał na krawężniku, obla-
ny potem i nie mógł zejść na jezdnię. Patrzył przed siebie,
oczy miał zupełnie puste. Stał pochylony, z ramionami sku-
lonymi jak do walki. Bonnie zaczęła się pocić, stojąc obok
niego. Nie wiedziała, czy powinna dotknąć jego ramienia, czy
jakoś go zachęcić. Wyglądał jak sparaliżowany. Obok nich
przechodzili ludzie, niektórzy mu się przyglądali; czy był
pozbawiony wstydu, żeby się tak zachowywać na ulicy?

— Bobby T., to żaden problem przejść na drugą stronę.

Nie patrzył na nią, ale wydawało się, że słucha. Po dłuż-
szej chwili zrobił krok, zszedł z krawężnika do rynsztoka.
Bonnie wciągnęła powietrze, powoli, ostrożnie.

— Widzisz, że to żaden problem. To naprawdę łatwe —
powiedziała.

Zrobił następny krok, piekielnie wolno, w tym tempie
przejście przez ulicę zajmie im z godzinę, ale w każdym razie
to już jakiś początek.

Wzięła go pod rękę i poprowadziła.

— W porządku, Bobby T. Widzisz, jakie to łatwe? Jakie
łatwe?

Posuwał się cholernie wolno i była cała rozpalona ze
wstydu, ale mimo wszystko to był jej brat. Jej młodszy brat.
W każdym razie, dzisiaj był początek.

Opaska na oczy

Wyjazd z miasta

Opaska znajdowała się w schowku tablicy rozdzielczej. Otworzył go, żeby wyjąć mapę północnej części hrabstwa i wtedy zobaczyła tę jasnoróżową opaskę. Opaska wyglądała jak szmatka do kurzu. Matka miała takie właśnie ściereczki do kurzu z prześcieradeł, które były już za stare, żeby używać ich do ślania łóżek. Te szmatki pachniały świeżością, bo były ciągle prane, tak jak bielizna. Opaska na oczy pachniała inaczej, pachniała samochodem i schowkiem w tablicy rozdzielczej.

Wyjeżdżali z miasta. Do niej należało zajmowanie się mapą.

— Jesteś nawigatorem, ty wydajesz rozkazy — powiedział.

Samochód jakoś dziwnie rozszerzał się z tyłu, z przodu wydawał się wąski i jakby łobuzersko przechylał się pod wpływem wiatru na autostradzie. Był „to nowy samochód. Przednią szybę miał zielonkawą. Wszystko było więc nieprzyjemnie zielone, zwłaszcza trawa, a niebo zdawało się ciemnozielono-niebieskie. Rzuciła ukradkowe spojrzenia na

mapę i wiedziała, jak wily się poszczególne linie, jak rozcho-
dziły się i znowu schodziły, linie czarne i czerwone. Gruba
podwójna linia to była droga, po której jechali. Przecinała
hrabstwo, dzieląc je na połowy, a kiedy wracała z powrotem
do miasta, dzieliła je także równo na pół. Nie ulegało wąpli-
wości, że ktoś musiał to wszystko zaplanować, dorośli męż-
czyźni wszystko to zaplanowali. Siedzieli przy stołach kre-
ślarskich i wszystko narysowali, wszystkie te czarne i czer-
wone linie, dzielące hrabstwo i stan, i naród na pewne sen-
sowne części.

— Czy dalej jadę prosto? Prosto przed siebie?

— Tak.

— Jak daleko?

— Daleko.

— Ile czasu nam to zajmie?

— Nie wiem.

— Spróbuj zgadnąć. Ile czasu zajęło nam ostatnim ra-
zem?

— Ostatnim razem...

— Ostatnim razem pojechaliśmy nad jezioro. Pamiętasz?

Próbowała się skupić. Czula jego słoneczny, zabarwiony
na zielono uśmiech i wiedziała, że oczekuje się od niej spry-
tu, popisywania się, bo wujek często zadawał jej takie pyta-
nia, kiedy byli gdzieś razem, w restauracji czy w parku i mo-
gli ich słyszeć obcy ludzie. Chciał, żeby się popisowała, bo
była jego faworytą, lubił jej braci, ale nigdy niczego po nich
nie oczekiwał, była świadoma konieczności przypodobania
się mu. Może ćwiczyli teraz pytania, które zada jej później.

— Godzinę...?

— Godzinę. Wspaniale. Dokładnie tak.

Trzymała mapę przed sobą. Mapa była nowa i nie zniszc-
zona na zgięciach jak mapa ojca. Mapa ojca leżała z tyłu
samochodu, przy tylnym oknie albo wepchnięta była do
schowka w tablicy rozdzielczej i zawsze źle złożona.

Samochód ojca pracował zupełnie inaczej i trzymał się niepewnie, kiedy się jechało szybko. Każdego roku wuj kupował nowy samochód, każdego roku w innym kolorze, czasami przednia szyba była zagięta i odbijała światło ze szczególną mocą, jakby wiedziała o czymś, czego ona nie wiedziała; czasami ciężki korpus samochodu, pozostającego głównie w bezruchu, ciężar tego chromu, metalu i szkła dawał jej do zrozumienia, że samochód nie wie nic, że nawet jego inteligentne wibracje nic nie znaczą, że nie ma w nich żadnej myśli.

— Myślę o lunchu.

— Czy będę mogła zjeść loda?

— Ale ja myślę o hot dogu i frytkach. O musztardzie i przyprawach. Czyj to ulubiony lunch?

— Mój.

— Czy zatrzymamy się u Howarda Johnsona na hot doga? I na loda w wafłu?

— Tak.

Pomyślała o smaku lodów. Poruszyła językiem w ustach, w milczeniu, jakby próbując pobudzić myśl o lodach, ale z jakiegoś powodu nie mogła myśleć o niczym, nawet o restauracji, którą tak lubiła. Światło raziło ją w oczy. Mapa obiecywała przygodę, ale jej ostre brzegi świadczyły o tym, że nie będą mogli pojechać za daleko; mężczyźni, którzy zaplanowali mapę, bardzo rozsądnie poobcinali ją, zmieścili hrabstwo w papierowym kwadracie. Raz jeszcze niespodziewanie uświadomiła sobie, że dorośli mężczyźni zaplanowali to dla swoich tajemnych powodów, siedząc przy kreślarskich stołach, tak jak siadywał przy kreślarskim stole jej ojciec, i rysując linie. Myślom tym towarzyszyła lekka fala mdłości, jakby na zielono zabarwione światło słoneczne przyprawiało ją o zawrót głowy.

— Czy dzisiaj wieczorem jest coś specjalnego?

Miał na myśli telewizję. Uwielbiała telewizję.

— Kapitan Sweeney. I Cyrk.

— Lubisz kapitana Sweeneya?

— O tak.

— A dlaczego?

Nie potrafiła myśleć. — Nie wiem...

Schowalaby się chętnie za mapę, ale mapa była za duża, żeby ją rozpostrzeć pomiędzy wujem a nią. Zresztą on i tak odłożyłby mapę na bok, i patrzyłby na nią.

— Jest śmieszny... mówi tak głośno i wścieka się na dzieci... ale... potem... przyznaje, kiedy nie miał racji... nie wiem... po prostu lubię go.

Wuj uśmiechnął się do niej. Po chwili powiedział: — Ale tacy duzi mężczyźni nie powinni się wściekać na dzieci.

Skinęła potakująco głową.

— Kiedy mama się na ciebie wścieka, to co innego. Twoja mama jest bardzo zmęczona, ma bardzo ciężkie życie... jeżeli czasem przez nią płaczesz, to tylko dlatego, że ona ma tyle roboty... Przy takich chłopcach jak twój bracia jest mnóstwo roboty. Mama wcale nie chce się wściekać i krzyżeć na ciebie.

Dziś rano matka uderzyła ją w twarz. Nie powiedziała o tym wujowi.

— Twoja mama...

Przed kilkoma dniami słyszała, jak ojciec i matka rozmawiali w kuchni. Ojciec śmiał się z czegoś, a potem powiedział: — To twój brat. Twoje zmartwienie. — Matka powiedziała ostro: — Dlaczego spychasz wszystko na mnie? — A ojciec na to: — Trzymaj go tylko z daleka, kiedy ja jestem w domu.

Ale wuj tego nie słyszał. Teraz był jak kapitan, sterujący statkiem, ona była nawigatorem odpowiedzialnym za mapy. Kiedy patrzyła na jego twarz z profilu, nie odczuwała owego oślepiającego światła, czuła to tylko wtedy, kiedy się do niej uśmiechał. Powiedział: — Twoja matka jest wspaniałą kobietą. Kiedyś to zrozumiesz.

Ona jednak była uparta i milcząca. Za chwilę wuj będzie chciał, żeby wymieniła imiona osób, które kocha, zaczynając od tych, których kocha najbardziej. Z uporem wpatrywała się w mapę. Nie chciała nic mówić.

No tak, teraz zaczął: — Przede wszystkim kochasz swoją mamę, prawda, Betsy?

Zaschło jej w ustach. Język urósł, wysuszony. Poruszyła nim, jakby szykując się do jedzenia lodów.

Wreszcie wuj zrezygnował. — Czy mam włączyć radio? — zapytał.

— O tak.

Przekręcił błyszczący srebrny guzik. Z głębi samochodu odezwał się męski głos. Udawała, że słucha, ponieważ należało słuchać wszystkiego, co tylko zostało nastawione — radia, telewizji — żeby móc śledzić tok swoich myśli. Czasami siedziała, oglądając nawet kapitana Sweeneya, i chociaż oczy jej utkwione były w ekranie telewizyjnym, w myślach jechała samochodem, swoim własnym samochodem. Przeskakiwał poza kraniec mapy. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że ktoś mógł ją zapytać, co się dzieje na ekranie, a ona by nie wiedziała. Wuj, który wpadał czasami, kiedy ojca nie było w domu, siadał koło niej i pytał: — Co się dzieje? Co straciłem? — a ona wpatrywała się dalej w ekran, zastanawiając się, co powiedzieć. Matka nigdy nie pytała, co się dzieje na ekranie. Ojciec, przechodząc z pokoju, do pokoju czasami wołał: — Co tam, dziecko? Jesteś dziwnie cicho? — ale to nie było pytanie wymagające odpowiedzi.

— Ile lat ma pani Pack?

Pani Pack była starą kobietą, która mieszkała w pobliżu nich, po drugiej stronie ulicy.

— Nie wiem.

— Zgadnij. Ile lat ma pani Pack?

Zaczęła chichotać. Pani Pack była obiektem żartów w domu.

— Nie wiem.

— Pani Pack powiedziała do mnie któregoś dnia „Chciałabym mieć małą dziewczynkę taką jak Betsy”.

— Nie.

— A tak.

Kręciła głową z boku na bok, to było takie śmieszne. Mapa zsunęła się z jej kolan, ale była za duża, żeby spaść na podłogę.

Wuj nie przestawał mówić. Jego głos mieszał się z głosem mężczyzny z radia. Przed nimi było zoo, albo jezioro, po którym pływały łabędzie, przed nimi był hot dog w prawdziwej restauracji, gdzie będzie siedziała przy stoliku, nie przy barze, a wuj zamówi u kelnerki, jakby oboje byli dorośli, a po wyjściu kupią sobie lody. Ona będzie gryzła swoje lody, będzie jadła szybko, a kiedy skończy, wuj odda jej swoje, bo lubi obserwować, jak ona je. Teraz zaczynała sobie przypominać. Odczuła głód i przełknęła ślinę.

— Jak daleko jeszcze?

Spojrzała na mapę.

— Sto mil...

— Co takiego, sto mil!

— Tysiąc mil!

Zaczęła chichotać. Mapa wyślizgnęła jej się z rąk.

— Jesteś głupiutką małą dziewczynką, prawda?

— Nie jestem.

— Co by się stało, gdyby nawigator na statku w ten sposób czytał mapę? Co by się stało?

— Zatonęliby.

— Czy by się potopili?

— Wszyscy poszliby na dno.

Wyobraziła sobie samochód, z wujem i z nią oraz z głosem spikera, idący na dno. Zanurzaliby się powoli i nic nie mogłoby ich uratować. Dzisiaj pojedą nad jezioro, ale zaparkują na brzegu, a może pojedą do zoo albo do kina... nie mogła sobie przypomnieć. Na jednym jeziorze były łabędzie i gęsi, i kaczki. Na innym były tylko kaczki. Karmili z wujem

wszystkie ptaki, kupili nawet w kiosku pudełko krakersów, specjalnie dla ptaków. Gdyby poszli do zoo, jedliby w restauracji na wolnym powietrzu, jedliby lody czerwonymi plastikowymi łyżeczkami. W zoo wszędzie biegały dzieci. Krzyczały, płakały, śmiały się, popychały. Ona sama nie mogła przestać chichotać.

— Jesteś głuptas. No powiedz, czy nie jesteś głuptasem jak na sześćioletnią dziewczynkę?

— Mam siedem lat.

— Pięć lat i taki głuptas, taka duża dziewczynka, dlaczego jesteś takim głuptasem?

Uśmiechnął się do niej tym swoim oślepiającym uśmiechem. Oderwała wzrok od jego twarzy i ust i spojrzała na jego ręce na kierownicy. Łatwiej było patrzeć na nie. W jego kłykciach było coś, co ją zainteresowało. Kości pod skórą poruszały się jakby samoistnie, jakby popychane własną myślą. Czasami czuła poruszenie tych kłykci, nawet kiedy ich nie widziała. Dłonie jej ojca były duże, porośnięte ciemnymi włosami. Jego kłykcie poruszały się inaczej. Wszystko robił w pośpiechu. Wuj nigdy się nie spieszył, dla niej zwalniał... pomyślała o widowisku telewizyjnym, w którym mężczyzna w helikopterze opuścił się w dół, żeby uratować jakichś ludzi na lodowcu. Taki był wuj.

Kiedy szła w szkole po torebkę ze śniadaniem, przytuliła się do palt, opierając się o ścianę. Nie płakała. Opierała się o ścianę i stała tak z zamkniętymi oczami, dopóki ktoś jej nie znalazł. Nie chichotała zbyt w szkole. Nauczycielka uważała, że to było głupie, nauczycielka się nie uśmiechała, kiedy mówiła, że to głupie. Więc nie chichotała. Ale teraz czuła w sobie chichoty, pulsowały w niej jak bąbelki w wodzie sodowej.

— Mogę wypić też jakiś napój?

— Jaki?

— Winogronowy.

— Może tak, a może nie.

Usta jej napełniły się śliną. Teraz mogła myśleć o jeziorze i łódkach, o kiosku z napojami, zimnych butelkach z oranżadą, orzeszkach, krakersach dla kaczek, a potem o restauracji i kelnerce, o lodach, i o matce, która po powrocie do domu zapyta: — Coście dzisiaj robili z wujkiem Dickiem?

— Nie, chcę napój pomarańczowy.

— Może. Jeżeli mają taki.

— Pewnie że mają napój pomarańczowy — zaśmiała się.

— Czasami w soboty nie mają.

Była sobota.

— Wobec tego chcę napój na wyciągu z korzeni.

— Zobaczymy.

— Nie, chcę napój wiśniowy!

— Może.

— Chcę truskawkowy!

Mapa osunęła się na podłogę. Zepchnęła ją z kolan. Kopnęła ją na podłogę.

— Nie drzyj naszej mapy.

Kopnęła mapę powtórnie.

— Betsy, złóż mapę i schowaj. Nie możesz jej drzeć. Jak wrócimy do domu?

Myślała o jeziorze, o parku, o polu na wsi, myślała o zaparkowanym samochodzie, myślała o zabawie z opaską, o tym, jak wuj zawiązuje opaskę ciasno dokoła jej głowy. Opaska dziwnie uciskała jej oczy. Kiedy miała na sobie opaskę, wyczuwała istnienie oczu, dwóch okrągłych przedmiotów w głowie, przez resztę czasu nie czuła ich. Chodzili razem po polach, wśród zielska, czuła na nogach ciepło słońca pomieszane z ukłuciami chwastów, szła ostrożnie, bo była „tym”, była niewidoma i wuj trzymał ją za rękę, żeby nie zsunęła się z krawędzi... Nie mogła zdjąć opaski. Czuła jak ciasno przepaska ścisnęła jej głowę, a potem myślała o restauracji. U

Howarda Johnsona była specjalna mata, która tak naprawdę była mapą Stanów Zjednoczonych. Były na niej wszystkie restauracje Howarda Johnsona. Lubiała przeprowadzać palcem linię od jednej pomarańczowej kropki do drugiej, łącząc je i wyobrażając je sobie. Mata była prostokątna jak większość map. Myślała o tym. Myślała też o tym, kiedy przepaska wreszcie zostanie zdjęta przez wujka bardzo ostrożnie, supeł zsunie się z jej głowy, dotykając włosów. Potem wuj będzie ją czesał.

Na ostatnią Gwiazdkę wuj podarował jej dom dla lalki. Dach się zdejmowało i można było zajrzeć do każdego pokoju. Był prawie wielkości normalnego domu. Marzyła o tym, żeby stać się tak małą, by się tam wślizgnąć i schować na górze w pokoju dzieciennym. To było jej marzenie. Dawno temu wuj podarował jej rowerek na trzech kółkach, a potem normalny rower. Dawał jej lalki i ubrania dla nich. Kiedy jedli lody w samochodzie, mówił: — Gra z opaską na oczy to wielka tajemnica. Nikt nie powinien o tym wiedzieć, tylko my. — Myślała o swoich trzech braciach. Oni też chcieliby grać i na pewno by ją odepchnęli. Zawsze ją odpychali.

— Nikt nie może o tym wiedzieć, tylko my — powiedział wuj.

Miał jasną, trochę różowawą skórę, wydawało się, że pod nią poruszają się myśli, kłębią się, nigdy się nie zatrzymują. Ojciec był zupełnie inny. Czasami widziała go śpiącego, jego twarz też była uśpiona, twarz wujka nigdy nie spała. Widziała, jak jego myśli ślizgają się pod skórą i rosło w niej coś ostrego, miała ochotę chichotać, krzyżeć, przypominało jej to własne, ostre myśli nadchodzące nocą...

— To nasza tajemnica. Nikt nie może o tym wiedzieć — powiedział.

Skinęła potakująco głową.

— Gdyby ktoś się pytał, gdyby ktoś chciał się czegoś dowiedzieć...

Skinęła głową, zanim zdążył dokończyć zdanie. Gryzła kęsy lodów, chociaż bardzo ją od lego bolały zęby.

II Jazda do domu

Hałas w trawie i nagły krzyk, bardzo blisko. Ktoś krzyknął „hej”. To było tak blisko, że w pierwszej chwili myślała, że to krzyknął ktoś, kogo знаła, może nawet ojciec, jego ochryple „hej” zawsze ją wystraszało.

Stała bez ruchu. Wszystko było ciemne. Słyszała głos wuja, mówił coś szybko, plątał się: — Dlaczego, o co chodzi, kim jesteście, co...

Zdarła z głowy opaskę.

Podeszli do nich kobieta i mężczyzna, mężczyzna teraz coś wykrzykiwał. Był niski, miał na sobie żółtą koszulę i bardzo się złościł. Kobieta ciągnęła go za rękę, miała siwe włosy i szarą pomarszczoną twarz jak pani Pack. Wuj cofnął się. Miał płaszcz od deszczu dziwnie owinięty dokoła siebie. Zaczął płakać.

Mężczyzna w żółtej koszuli patrzył na nią.

Kobieta, ciągnąc go za rękę, powiedziała: — Chodź, proszę cię, chodź...

Wuj płakał. Jedną ręką przytrzymał wapiące płaszcz, a drugą usiłował zasłonić twarz. Próbował coś wytłumaczyć, ale nie miało to sensu. Potrząsał głową. Był bardzo słoneczny czerwcowy dzień. Miała dziewięć lat. Odsunęła się od wuja i dwojga obcych ludzi i z zainteresowaniem patrzyła na słońce, zastanawiając się, czy zatrzyma się ono w środku nieba, czy wszystko inne też się zatrzyma i czy zostaną tu na zawsze. Sama ściągnęła opaskę. Dotychczas nigdy nie wolno jej było tego zrobić.

— Tony, chodź, proszę cię, nie mieszaj się, chodź...

Po chwili mężczyzna odwrócił się i odszedł. Kobieta popieszyła za nim. Wuj poszedł za nimi kilka kroków, ciągle coś wyjaśniając piskliwym głosem. Na końcu pola zatrzymał

się. Mężczyzna i kobieta odeszli w dół, w kierunku samochodów. Wuj się zatrzymał i stał tam samotnie, coś za nimi wołając. Spojrzała na słońce, by sprawdzić, czy się poruszyło, ale nic się nie poruszyło. A jeśli zostaną tak na zawsze, ona pośrodku pola chwastów i maleńkich żółtych kwiatków, i brzęczenia przyjaznych pszczół, a wuj płaczący na skraju pola?

Upłynęło kilka minut. W końcu wuj podszedł do niej. Wziął od niej opaskę, rozwiązał supeł, palce mu drżały. Opaska znów stała się szmatką. Przyciskał ją do policzka. Stał tak przez chwilę, drżąc, ze szmatką przyciśniętą do twarzy.

— Ja nie chciałem... przykro mi...

Nie mówił jednak do niej. Myślała, że mówi do tamtego mężczyzny, ale mężczyzna przecież odszedł.

Wuj wziął ją za rękę i poszli do samochodu. Na parkingu stały jeszcze dwa inne auta. Wokół olbrzymiej beczki wypełnionej śmieciami bzycały muchy i pszczoły.

— Dlaczego on się wściekł? — zapytała.

Wuj nic nie powiedział.

— Dlaczego on krzyczał?

Poczuła, że wuj drży. Cofnęła swoją rękę z jego dłoni. Rozejrzała się wkoło w poszukiwaniu mężczyzny, jak gdyby ten obcy człowiek był ważniejszy od wuja, jak gdyby mogła podbiec do niego i wsiąść do jego samochodu... Dlaczego wuj płakał? Czuła się zażenowana. Jasna, delikatna twarz wuja, mokra od łez, z wykrzywionymi ustami była jej nienawistna. *Nienawidzę cię*, pomyślała z tryumfem. Siedziała w samochodzie i patrzyła na niego, jak stał samotny, płaczący, oparty o błotnik, zupełnie samotny. Pomyślała więc, *kocham cię*... Ale ciągle rozglądała się dokoła w poszukiwaniu mężczyzny. Wuj szlochał i jego ramiona poruszały się z każdym szlochem. Jego siwiejące blond włosy rozdzieliły się i widać było, jak spod nich prześwituje skóra czaszki. Węzeł bardzo ładnego krawata rozluźnił się.

Kiedy wuj wsiadł do samochodu, wytarł twarz, bardzo mocno, ściereczką, widziała, że zbyt mocno potarł oczy. Rzęsy wyglądały jak połamane. Natychmiast zamknęła oczy. Myślała o restauracji, do której pojadą, o ciemnym chłodnym boksie i o papierowej mapie na stoliku...

Wuj uruchomił silnik. Ciągle nie otwierała oczu. Myślała o restauracji i o tym, jak wuj będzie przekazywał zamówienie kelnerce, wymawiając bardzo dokładnie każde słowo. Teraz samochód jechał. Wuj prowadził powoli, niepewnie, wóz podskakiwał na wyboistej drodze. W pobliżu jakaś rodzina urządziła sobie piknik. Przyglądała się im, zastanawiając się, kim są i co jedzą.

— Dlaczego on się tak wściekł? — zapytała znowu.

Bała się spojrzeć na wuja, ale w końcu się odważyła. Jego twarz była mocno zaróżowiona. Zdawało się, że w ciągu kilku minut płaczu po workowatej skórze pod oczami przepłynęły strumyki.

Poczuła się wystraszona.

Na szosie wuj zaczął jechać szybko. Samochód pod nimi nabierał szybkości. Wyszepiała: — Dlaczego jedziemy tędy...? Czy jedziemy prosto do domu?

To także ją przestraszyło. Wuj nic nie powiedział. Oddychał ciężko, spazmatycznie. Prowadził jak ktoś na ekranie telewizyjnym. Tak jakby ktoś za nim jechał, może policja. Ale nie mogła dostrzec nikogo.

Wuj ciągle płakał. To miało jakiś związek z polem, z mężczyzną i kobietą, z opaską na oczy. Sama ją ściągnęła. Nigdy przedtem tego nie zrobiła. Teraz wuj płakał i z trudem chwycił oddech. Patrzyła na niego spode łba, nie chcąc zobaczyć tego, czego nie powinna. Jego twarz była bardzo czerwona. Mięśnie poruszały się jakby samoczynnie.

— Czy zrobiłam coś złego? — zapytała. Zastanawiała się, czy nie powinna się rozplakać. — Czy nie jedziemy do Howarda Johnsona?

Wuj wydał jakiś przytłumiony dźwięk. Spojrzała na niego z ukosa, mrużąc oczy jakby patrzyła pod słońce. Coś wypływało z jego ust. Krztusił się i zaczął wymiotować, na kierownicę, na siebie. Jego twarz była czerwona i oślizgła. Samochód zaczął przyspieszać, jakby wstydząc się za niego, za tego mężczyznę wymiotującego na siebie jak niemowlę.

Odsunęła się od niego. Samochód wyskoczył na autostradę. Palce wuja, ślizgając się na kierownicy, czyniły szaleńcze wysiłki, by utrzymać samochód na drodze. Teraz mijali olbrzymią ciężarówkę. Teraz byli już przed ciężarówką. Teraz, z lekkim poślizgiem dopędzali kabriolet z opuszczonym dachem. Teraz zbliżali się zbyt blisko do zderzaka samochodu, krzyknęła, wuj przekręcił kierownicę, frunęli w lewo i minęli samochód o milimetry. Coś się działo bardzo głęboko w piersi wuja. Słyszała ten dziwny ciemny pomruk usiłujący się wydostać na powierzchnię. Wyczuwała go w wibracjach samochodu. Przed nimi było skrzyżowanie i światło zmieniało się z żółtego na czerwone, ale samochód wuja wyskoczył na tę oszalałającą przestrzeń pomiędzy drogami, ktoś zaczął nerwowo naciskać klakson... ale wuj uciekał do przodu, drżąc, pochylony teraz nad kierownicą, jakby trzymając się jej, dłonie i łokcie przyciskał do niej kurczowo. Widziała, jak za nimi dwa samochody omal się nie zderzyły, rzucone pędem powietrza za uciekającym samochodem wuja. — Zatrzymaj — krzyknęła. — Nic nie powiem o opasce. — Ale wuj nie słyszał jej, spod dreszczy wstrząsających jego klatką piersiową i brzuchem wydobywał się teraz jęk, a samochód ciągle nabierał szybkości w światłach autostrady, samochód nowutki, kupiony w tym miesiącu, umyty dopiero tego ranka na tę sobotnią przejażdżkę. Widziała walącą w ich kierunku całą procesję znaków, białych znaków z czarnymi literami, ale nie miała czasu ich przeczytać, samochód wskoczył na pas trawy między jezdniami, ześlizgnął się z powrotem na

drogę, podskakując i zarzucając wściekle, i teraz kolejna olbrzymia ciężarówka wydawała się uparcie tarasować im drogę, sama wypełniona nowiutkimi samochodami. — Nic nie powiem. Nic nie powiem o mężczyźnie — krzyczała. Ale wuj trzymał się za piersi, szarpał przód koszuli. Znow zaczął się krztusić. Jego twarz była jasnoczerwona. Przedni zderzak jego samochodu dotknął tyłu ciężarówki, samochód wpadł w poślizg, i następnie w tajemniczy sposób został znow przyciągnięty przez ciężarówkę, jakby chciał się przez nią przeorać. Ciężarówka także wpadła w poślizg. Zjechała natychmiast na lewy pas, żeby zostawić przejazd dla samochodu wuja. Ale przed nimi były inne samochody. Nigdy nie dojadą do domu. Słyszała, jak wuj zaskomlał z przerażenia, jakby on także zdał sobie sprawę, że nigdy nie dojadą do domu, skierował samochód na prawy pas najbliższy krawędzi, zahamował i podskakując, ślizgając się i kręcąc zjechał w zatokę autostrady. Krzyknęła. Została rzucona na przednią szybę. Jazda dobiegła końca.

Wuj leżał na kierownicy. Jego twarz była dziwna, wykrzywiona, czerwona i bardzo mokra.

Matka wyprowadziła ją ze szpitala na parking. Na nogach i na rękach miała pięć niewielkich bandaży. Jakiś mężczyzna dał jej truskawkowy lizak, ale wyrzuciła go, kiedy doszły do samochodu.

Matka otworzyła jej drzwiczki. Trzeba było je mocno szarpnąć, wydawały skrzypiący dźwięk.

— Nie mam pojęcia, gdzie jest ojciec... dlaczego mi nie powiedział, dokąd idzie... nie wiem, co robić...

Patrzyła na Betsy. W szpitalu pytała pielęgniarki: — Co ja mam robić? Jak się załatwia pogrzeb? Co ja mam robić? — Betsy czuła się zażenowana. Twarz matki była dzika i czerwona, od krańców nosa do kąćków ust przebiegały linie wyrażające zdziwienie.

— A gdybyś ty zginęła...?

Próbowała objąć Betsy, płacząc. Ale Betsy odepchnęła ją.

— Czy on nie żyje? — krzyknęła.

Matka spojrzała na nią.

— Nie żyje? Prawda?

— Twój wujek...?

Twarz matki wyglądała dziwnie. Betsy wyczuwała zapach strachu. Przez chwilę patrzyły na siebie, potem Betsy wślizgnęła się do samochodu. Matka zatrzasnęła drzwiczki.

— Cieszę się, że on nie żyje — powiedziała Betsy w otwarte okno.

Matka spojrzała na nią.

— Cieszę się, że nie żyje, robił mi takie rzeczy. Kazał mi zamykać oczy, zawiązywał mi opaskę i nie pozwalał mi jej zdjąć. Jeden mężczyzna chciał go zaaresztować. Policja go ścigała. Cieszę się, że nie żyje, nie chcę go już nigdy więcej widzieć, nie cierpię go.

Matka odwróciła się. Otworzyła torebkę, wyjęła paczkę papierosów i zapaliła jednego. Betsy oddychała ciężko. Obserwowała matkę, ponieważ obserwując ją mogła zgadnąć różne rzeczy. Były na parkingu, dookoła znajdowali się inni ludzie. Matka Betsy zapaliła papierosa i powoli odchodziła. Trochę się potykała. Zatrzymała się na skraju parkingu. Betsy czekała.

Wreszcie matka wróciła i wsiadła do samochodu. Powoli ruszyła w kierunku domu. Jechały prawym pasem. — Tak, cieszę się, że nie żyje — powiedziała piskliwie Betsy. Czknęła. Matka siedziała sztywno, nie patrzyła na nią. Żeby zwrócić jej uwagę, Betsy zaczęła zdejmować bandaż z kolana.

— Betsy — zareagowała natychmiast matka.

Betsy zostawiła bandaż w spokoju.

Matka miała ciemnoniebieską sukienkę z białym kołnierzykiem, który był lekko przybrudzony. Jej oczy wyglądały

dziwnie — były szkliste. Betsy przyglądała się twarzy matki z profilu i nagle ujrzała w niej twarz wuja, jego profil, zamknęła oczy zaciskając mocno powieki, by się pozbyć tego obrazu... kiedy je otworzyła, znów widziała tylko matkę.

— Umarł w strasznych cierpieniach... — powiedziała wychekując matka.

Znajdowały się na ulicy w pobliżu domu.

— Nie cieszysz się, że umarł — powiedziała matka. Odchrząknęła. — Jak możesz mówić coś tak strasznego? Nigdy już go nie zobaczysz... a... a był dla ciebie taki dobry. Nie ściagała go żadna policja.

— Tak. Samochód policyjny z syreną.

— Nie było żadnej policji. Nikt nic nie mówił o policji.

— Samochód policyjny...

Matka Betsy powiedziała ze złością: — Nie wymyślaj żadnych kłamstw o policji, ani o niczym takim, żadnego z tych idiotyzmów, które opowiadałaś, lepiej żebyś nigdy więcej tego nie mówiła. Znacznie lepiej.

Betsy poczuła wewnętrzne ukłucie, co zapowiadało, że dostanie napadu śmiechu, a gdyby to się przydarzyło, matka mogłaby ją uderzyć, matka nie lubiła chichotania. Nie przekomarzała się z nią na ten temat tak jak wuj. Matka nie lubiła także, kiedy Betsy płakała, kiedy czasami płakała i nie mogła przestać. Więc postanowiła odpędzić to wewnętrzne swędzenie.

— Te wszystkie kłamstwa... Lepiej, żebyś ich więcej nie powtarzała...

Zaparkowała samochód na podjeździe. Podeszła, żeby otworzyć Betsy drzwiczki, Betsy czuła się zbyt lekka, by chodzić, jakby swędzenie przedostało się do jej krwiobiegu. Matka wzięła ją w ramiona, jakby Betsy była małą dziewczynką.

— Zmyślasz takie kłamstwa, skąd ci w ogóle takie rzeczy przychodzą do głowy? — powiedziała z przerażeniem matka.

Betsy patrzyła na matkę. Coś w oczach matki uległo zniszczeniu, krawędzie jej oczu, rzęsy. Były pozaginane. Matka wzięła ją za ramiona i potrząsnęła nią lekko, przerażona.

— Jest ci przykro, że on nie żyje! — powiedziała matka.

Matka oddychała ciężko. Otaczał ją zapach paniki i potu. Betsy miała nadzieję, że matka nie zacznie wymiotować, że nie umrze, że nie osunie się czerwona na twarzy w jej ramiona.

— Przykro ci, prawda, że ci przykro? Nic innego?

Spanikowane palce matki wbijały się w Betsy. — Proszę cię, proszę — mówiła matka, patrząc na nią. W końcu Betsy zaczęła potakująco kiwać głową, aż paniczne przerażenie opuściło ciało matki.

Córka

Pewnego sierpniowego dnia kobieta z córką jechały autobusem Greyhound z miasta Derby do Rapids, położonego w obfitującej w mleczne bydło zachodniej części kraju. Było późne popołudnie, siedziały w autobusie od szóstej, z dwoma tylko postojami dla odpoczynku. Anna opierała się sennie o siedzenie, wyglądając bez większego zainteresowania przez zielonkawą szybę na przytłumione kolory pól. Była przystojną kobietą około trzydziestki, z krótkimi kosmykami blond włosów, o opalonej twarzy, która w bezruchu sprawiała wrażenie sprytnej. Ale teraz nie myślała o niczym, może o napoczętej tabliczce czekolady w torebce. Nie mogła jednak jej skończyć, bo ciotka będzie czekała na nie z kolacją, nie chciała więc psuć sobie apetytu. Westchnęła i spojrzała z powrotem na nieliczne domy i pasma nisko położonych pól poznaczone kropkami krów. Krajobraz za oknem powracał jak fragmenty przeszłości. Pastwiska — niewielkie wzgórza o zmieniających się zboczach, jakby okręcające się dokoła własnej osi, by uniknąć płytkich strumyków — z krowami, czasami z końmi, czasem towarzyszące im domy i stodoły — przepływały za oknem, jakby poddając się jej ocenie: kraina

dzieciństwa, przeszłości, oczekująca bez najmniejszej zmiany na jej powrót. Ale nie odczuwała prawie nic. Grube palce dłoni, o nie pomalowanych, krótko obciętych paznokciach trzymała leniwie splecione na podołku, nieruchome, w rodzaju odrętwienia, które wydawało się ogarniać ją tak często. Nagle przyszło jej do głowy, że mogłaby tak bez końca jechać autobusem. Kochała wszystko, co było jej znane — swoją córkę i mieszkanie w mieście, mężczyznę, którego miała poślubić, i swojego męża, chociaż nie widziała go od pewnego czasu, i jedzenie, które ciotka dla niej przygotowuje, i nowe pantofle, które miała na nogach, choć były tak nieodpowiednie do jazdy autobusem (białe pantofle na bardzo wysokich szpilkach ze złotymi klamrami), a jednak mogłaby się tego wszystkiego wyrzec, zapomnieć i jechać dalej. Byłaby zbyt rozleniwiona, by wysiąść z autobusu. Była zbyt leniwa, by mieć oczy otwarte, pole za zielonkawym szkłem oglądane spoza opuszczonych ciężkich białych rzes stawało się tym, czym powinno być wspomnienie, czymś pozbawionym mocy i znaczenia.

Jej córka Thalia udawała, że czyta. Trzymała na kolanach starą książkę z biblioteki z poplamionymi i pozaginаныmi rogami stron. Nerwowo obracała róg stronicy w tę i z powrotem, aż cała kartka została jej w ręku i nie wiedziała, co z nią zrobić. Wsunęła ją wreszcie pomiędzy strony na końcu książki. Zmusiła się do czytania.

„ — A cóż to za nowa cecha charakteru? — wykrzyknęła ze zdumieniem pani Linton. — Traktowałam cię straszliwie, i teraz będziesz się mścił! A w jaki sposób to zrobisz, niewdzięczniku? Jak źle cię traktowałam?

— Nie szukam zemsty — odpowiedział Heatcliff z mniejszą gwałtownością...”

Na siedzeniu z przodu zaczęło płakać jakieś dziecko i Thalia podniosła głowę znad książki. Miała szczupłą, wąską twarz, oczy osadzone dość szeroko zdawały się z niepokojem

przyczepiać do przedmiotów, jakby nie widziała dobrze. Była szatynką, miała włosy obcięte krótko jak matka, tylko jej włosy były proste, a włosy Anny układały się w fale, toteż Thalia często wyglądała na mniej niż czternaście lat. Kiedy myślała o swoim wieku, czy w ogóle o sobie, myślała także o swoim ojczymie, jakby byli współnikami w czymś, i teraz nagle uświadomiła sobie, że znów go zobaczą; była to świadomość przerażająca, nie do wiary. Matka nazywała go Jake. Kiedy chciała, mówiła o nim tak, jakby był w sąsiednim pokoju, a nie oddalony o mile, o lata. Thalia nie mogła nazywać go Jake i nie miała dla niego żadnego innego imienia, absolutnie żadnego, toteż nigdy nie mogła pierwsza zacząć o nim mówić, musiała poczekać, aż matka o nim wspomni. Czasami mijały całe tygodnie, w ciągu których Anna w ogóle o nim nie mówiła i Thalia zaczynała myśleć, że matka o nim zapomniała. Ale nie, był zawsze obecny, mógł być nawet bezpiecznie zamknięty w szafie, ten mężczyzna, którego Thalia pamięta siedzącego samotnie na frontowym ganku starego domu na wsi, czekającego na kolację, czekającego na Annę; siedział tak i nic nie robił, zamyślony, milczący i nieszczęśliwy, wysoki ciemnowłosy mężczyzna, który wydawał jej się wtedy bardzo duży, patrzyła na jego ręce, szorstkie i brudne od pracy, na strumyki potu na jego plecach, podobne do bliźniaczych skrzydeł, pojawiających się, kiedy wreszcie wstawał, by wejść do domu. Thalia wpatrywała się w oparcie fotela przed sobą — część plastikowego obicia została oddarta i zaczynała się strzępić. Wyciągnęła rękę, żeby to nareperować, ścisnąć oba brzegi razem. Ale rozmyśliła się. Próbowała czytać:

„A cóż to za nowa cecha charakteru? — wykrzyknęła ze zdumieniem pani Linton...”

— Która, do diabła, godzina? — zapytała Anna potrząsając głową. — Zasnęłam i rozbolala mnie szyja. — Podniosła z podłogi torebkę i wyciągnęła paczkę papierosów. — Kochanie,

zapytaj tego pana naprzeciwko, która godzina — powiedziała Anna. — Boże, jak ja nienawidzę tych autobusów. Jeżeli chciałam gdziekolwiek wyjechać z tej dziury, musiałam jechać autobusem. Chyba powinnam pozwolić Lewisowi, żeby nas odwiózł. Ale może lepiej, żebyśmy najpierw przyjechały same, żebym opowiedziała im o nim i o naszych planach, chociaż zupełnie mnie nie obchodzi, co oni o tym myślą... Thalia, zapytaj tego pana, która godzina. Tego, co tam siedzi.

— Nie chcę — wyszeptła Thalia, zmieszana. — Jest chyba piąta albo wpół do szóstej.

— Powiedziałam, że masz go zapytać, więc zrób to. Dlaczego jesteś zawsze taka nieśmiała?

Siedzący po przeciwnej stronie przejścia mężczyzna w średnim wieku czytał gazetę. Głowę lekko przechylił do tyłu, ubrany był w tweedowe ubranie za ciepłe na sierpień. Thalia przyglądała mu się onieśmielona i miała właśnie powiedzieć „Przepraszam pana”, kiedy matka wychyliła się niecierpliwie i zapytała „Panie, która godzina?”. Mężczyzna spojrział na nią mrugając oczami, a potem na zegarek. — Piąta trzydzieści — powiedział. — Dziękuję — Anna oparła się znów o fotel. Thalia bawiła się drugim rogiem stronicy. — Tak, ciągle jeździłam tymi autobusami — powiedziała Anna. Zapaliła papierosa i Thalia dostrzegła ślady szminki na ustniku między palcami Anny. — W tę i z powrotem. Moja przyjaciółka po wyjściu za mąż mieszkała cztery mile dalej. Ja wtedy też byłam mężatką, byłam wtedy żoną twojego ojca, i obydwie miałyśmy dzieci tego samego lata, ja miałam wtedy piętnaście lat, Boże, pomyśleć tylko, piętnaście lat. Jak to dawno temu...

Twarz Thalii zaczęła płonąć, jakby usłyszała coś niedozwolonego. Wpatrywała się w zadrukowane strony, ale nie mogła czytać. W tym momencie nienawidziła swojej matki, oczywiście, że jej nienawidziła. W szkole nikt nie potrafił

wymówić imienia „Thalia”, wszyscy myśleli, że była cudzoziemką, tylko dlatego, że matka zobaczyła to imię w jakimś piśmie i zdecydowała, że brzmi przyjemnie. Jeden jedyny raz Anna poczuła się dotknięta, kiedy Thalia powiedziała, że nie cierpi swojego imienia, ale oczywiście było jej potem przykro i to nie była prawda, nie całkiem, tak samo jak nie całkiem naprawdę nienawidziła swojej matki... Chciałaby teraz zapytać ją o ojczyzna, skoro mają go wkrótce zobaczyć, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Anna siedziała uśmiechnięta, zatopiona w jakichś przyjemnych wspomnieniach, może myślała o tym, że znów zobaczy Jake'a. Thalia nagle poczuła wobec niej onieśmienie.

Kierowca zaanonsował: „Rapids Center, półgodzinny postój”, płaskim, znudzonym głosem, jakby miał niezbyt dobrą opinię o Rapids. Thalia pochyliła się do przodu na siedzeniu, patrząc na wąską ulicę przed sobą, na staroświeckie sklepy z oszukańczymi trzypiętrowymi frontonami, pełnymi zagieć, wypukłości, ozdobnych wybrzuszeń. Nie pamiętała, że miasteczko było takie stare. W mieście budynki były wyższe, nowsze. Samochody były tam zaparkowane inaczej niż tu, tutaj zderzaki zachodziły na chodnik, a na jezdni zostawały zaledwie dwa pasy ruchu. W mieście ludzie nie przechodzili przez jezdnię w każdym miejscu tak jak tutaj — Thalia zobaczyła kobietę z dwojgiem dzieci i z czarnym psem przebiegającą tuż przed autobusem i znikającą bezpiecznie na chodniku nawet bez rozejrzenia się wokół. Wszyscy wyglądali troszkę inaczej, tak jak Anna zawsze różniła się trochę od kobiet z miasta, jak powolny, potulny kot, promieniejący zdrowiem, zadowolony z byle czego, podczas gdy inne kobiety miały delikatne porcelanowe twarze, pomalowane paznokcie i nerwowe gesty.

— Odnowili stację autobusową — powiedziała Anna. Stary budynek pokryty został cienką warstwą białej farby, a kiedyś najwyraźniej służył jako stacja benzynowa. Thalia teraz

to zauważyła, chociaż nigdy przedtem tego nie dostrzegła.

— Oto oni, ciocia Ruth i Ernest, pamiętasz ich?

Autobus zatrzymał się. Anna popędzała Thalię do przejścia między siedzeniami, zawsze chciała pierwsza wysiąść z autobusu, być pierwszą w kolejce, zostać obsłużoną w pierwszej kolejności. Thalia próbowała zdjąć z półki swoją walizkę i Anna wyciągnęła rękę, żeby jej pomóc. — A teraz, kochanie — powiedziała — teraz idź do przodu. Idź przed tych pasażerów z tamtego siedzenia, no dalej.

Anna i ciotka witały się hałaśliwie. Ciotka mówiła z węgierskim akcentem, który Thalia zapamiętała i który mogła zauważyć od czasu do czasu w głosie matki, wierzyła desperacko, że coś takiego nie kryje się w jej własnym. Kuzyn Anny, Ernest, tłusty mężczyzna około pięćdziesiątki, podniósł walizki, chrząkając. Anna poszturchiwała ramię Thalii i powtarzała: — Patrzcie, kogo przywiozłam. Zobaczcie, jaka jest duża. — Pomarszczona, raczej niezadowolona twarz ciotki odwróciła się w stronę Thalii, jakby przejmując ją na własność. Thalia powstrzymała oddech i pozwoliła się uściskać. — Jest wyższa od ciebie, Anno — powiedziała ciotka. — To wszystko? Nie ma innych niespodzianek, co? — Anna i Ernest roześmiali się, ciotka skinęła głową, robiąc mądrą minę; Thalia nie rozumiała, o co chodzi. Idąc za nimi do samochodu, słuchała ich głosów i myślała, że wszystko odbywa się tak, jak się spodziewała, nie pasowała do nich, i cała wizyta będzie właśnie taka.

Teraz śmiali się z czegoś, Anna klepała Ernesta po brzuchu, Thalia zwolniła, żeby zostać w tyle, nie potrafiła się z nimi złączyć, poddać się rytmowi ich rozmowy. Tak naprawdę nie potrafiła się poddać niczyjemu językowi. Tak jak ojczym — teraz nagle pomyślała o nim — na jakimś pikniku strażaków przed laty odmówił, kiedy przyjaciele prosili, żeby zagrał w piłkę, po prostu nie mógł tego zrobić, nie pasował

do ogólnej wesołości, pozbawiony był wdzięku, który Anna posiadała w takiej obfitości. — Anno, wyglądasz dobrze, naprawdę dobrze — powiedziała ciotka, kiedy samochód wycofywał się na ulicę. Zmrużyła stare oczy, żeby przyjrzeć się Annie, dość bezceremonialnie. Anna śmiejąc się udawała, że chowa twarz. — A teraz o Jake'u — zaczęła przebiegle stara kobieta — wiesz, że przyjechał do nas, kiedy dostał twój list, chciał się dowiedzieć, czy do nas też pisałaś. Na to ja powiedziałam, a gdzie indziej miałyby się zatrzymać, jeśli nie u nas? Ten człowiek nas nienawidzi, prawda, Ernie? On teraz nie widuje Jake'a tak często, Jake trzyma się na uboczu. Ale dostał awans, ma teraz lepszą pracę, jest za kontuarem, przyjmuje zamówienia, odbiera telefony...

— Ciągłe w tartaku? — spytała Anna.

— Tak, ale teraz na froncie, w biurze — wyjaśniła ciotka.

— Ale ciągle w tartaku — powtórzyła Anna krzywiąc się — cały ten kurz we włosach, w skórze...

— Nie, teraz jest lepiej, bo nie wkłada drewna pod piły — powiedziała ciotka.

Wszyscy mówili głośno, Thalia się skrzywiła. Patrzyła na ulicę, która po wyjeździe z miasta zmieniała się w żwirową drogę. Słyszała teraz, że wymieniają imię Jake'a, ale to nic nie znaczyło. Było bezosobowe. Mogli równie dobrze szukać go po omacku, próbować go szturchać, zranić, podczas gdy ich głosy stawały się coraz głośniejsze, a od czasu do czasu jakaś uwaga Ernesta rozśmieszała ich wszystkich.

— Nie, nie, nie słyszałam o żadnej kobiecie — mówiła ciotka, kręcąc energicznie głową. — Nie dla niego kobiety, mówię ci, że nie, nie słyszałam o żadnej. Nie.

Anna wyraziła niedowierzanie, wydawała się podekscytowana. — Nie, nie — upierała się ciotka. Rozmowa toczyła się

dalej. Recital ślubów i dzieci. Anna przy każdym wydawała okrzyk. Krótka lista zmarłych.

— Powinnam pójść na grób George'a — powiedziała Anna, ale niezbyt stanowczo — i położyć tam jakieś kwiaty... W jakim stanie jest grób?

— Nie wiem, zawsze zapominam spojrzeć — powiedziała ciotka.

Thalia patrzyła na tył jej głowy — nieporządną węzeł szaroburych włosów — i pomyślała, że tej starej kobiety również nienawidzi. George był jej ojcem. Thalia nie mogła go pamiętać, bo miała sześć czy siedem lat, kiedy umarł, a Anna już wcześniej zostawiła go dla Jake'a. Ilekroć usiłowała go sobie przypomnieć, jedyną osobą, jaka przychodziła jej na myśl, był stary człowiek, który mieszkał dalej przy drodze, i Anna zawsze się śmiała, jakby próby Thalii, by przypomnieć sobie tego nic nie znaczącego zmarłego, straconego mężczyznę, były niezrozumiałe.

— Więc napisałam do niego, że pięć lat to zupełnie dosyć i że biorę winę na siebie — powiedziała Anna pochylając się do przodu, by ułatwić sobie rozmowę z nimi — i że musimy to przerwać raz na zawsze. To właśnie było w liście do niego. Jakiś czas temu napisał do mnie parę razy, ale zapomniałam mu odpisać. Nie jestem na niego wściekła. Jakże tu, do diabła, krążą plotki, że złamał mi szczękę czy coś takiego? Kto rozpuszcza takie wieści? Nigdy mnie nie dotknął, ani ja go nie dotknęłam. Nic z tych rzeczy. Jest najlepszym facetem tu w okolicy, trudno znaleźć lepszego. Wiem o tym. Ale mąż i żona mieszkający w różnych miejscach — to nie ma sensu i dlatego chcę to skończyć.

Ciotka spojrzała na Annę.

— A więc chcesz dostać rozwód?

— Tak, chcę rozwód — powiedziała Anna. To słowo wydawało się ich przerażać, było tak obce i oficjalne, przez chwilę nikt się nie odezwał.

— Jak to się robi? Przez sędziego? — zapytała ciotka.

— Mam adwokata — powiedziała Anna. — Przyjeżdża jutro. Najpierw chcę sama porozmawiać z Jake'em, a potem możemy porozmawiać wszyscy razem. I wszystko wyjaśnić.

— Ile to kosztuje? — zapytała podejrzliwie ciotka. — Adwokat przyjeżdża tu tylko dla ciebie? Czym? Autobusem? W jaki sposób się dowiedziałas, jak to trzeba załatwić?

— Przyjeżdża także mój przyjaciel — powiedziała Anna, uśmiechając się powoli — on za to płaci. On wie wszystko. Nie martwcie się.

— Aha, przyjaciel — powiedziała ciotka. A po chwili milczenia dorzuciła: — Chcesz, żebym dla niego też gotowała? Jak długo on zostanie?

Anna ze złością odgarnęła włosy z twarzy. — Nie, nie chcę, żebyś dla niego gotowała — powiedziała. Oparła się o siedzenie, oddychając ciężko, i Thalia zauważyła, że załamania na jej spódnicy ułożyły się w nowy wzór, kiedy założyła nogę na nogę. Dojeżdżali niemal do starej farmy, zanim ciotka odważyła się na nowo podjąć konwersację.

Anna czuła się dobrze i bezpiecznie w domu ciotki, tak jak w dzieciństwie, kiedy rodzice przysłali ją tutaj do pracy w mleczarni. Rodzice Anny mieli jedenaścioro dzieci i Anna była najmłodsza. Jednak żadne wspomnienia nie odrywały jej od posiłku, na który składał się bogaty gulasz, dokładnie taka potrawa, jakiej się spodziewała, domowy chleb i ciasto z wiśniami. Wydawało się tylko, że Thalia nie ma apetytu, ale Anna nigdy nie potrafiła zrozumieć swojej córki i miała skłonność z pewnym zniecierpliwieniem przechodzić nad nią do porządku dziennego. Myślała, że ona sama w tym wieku była już kobietą, nie miała prawdziwego dzieciństwa, zawsze była dorosła, przez lata przebrana za dziecko, ale zawsze

dorośla. Pracowała jak dorośla, spokojnie przysłuchiwała się rozmowom dorosłych i akceptowała wszystko. Nigdy najmniejszy nawet zakątek jej umysłu nie opierał się przed światłem wiedzy, jakiegokolwiek wiedzy, żadna prawda nie wydawała jej się zbyt ponura. Stopniowo wszystkie sprawy — pijaństwo ojca, cieleca wprost słabość jej pierwszego męża, rak, który zabił matkę, susza, prześladowająca wszystkich w końcu lata, gorycz zimy, mrówki w cukrze, bóle zębów, długi letarg porodu, ostateczność grobu, która wszystkich w końcu dotyczy — nabierały tej samej faktury, zamazane, niewyraźne jak woda w wodzie, tak że Anna nigdy nie potępiła niczego, co należało do „kolei życia”. Nauczyła się tego jako dziecko, ale Thalia nie nauczyła się niczego. W czasie kolacji Thalia rysowała zarys kwiatu na ceracie, którą nakryty był stół, nie podnosząc głowy, jakby uważała się za zbyt dobrą dla tych ludzi. W kuchni nie paliło się żadne światło, tylko przez tylne okno wchodziły długie, leniwe promienie słońca, dotykały ścian — drewnianej boazerii i szarej pasiastej tapety powyżej listwy aż do sufitu — oświetlały twarze, nadając im wyraz subtelności i ciepła, nawet spoconej pызatej twarzy Ernesta i dziwnie napiętej, ładnej twarzyczce Thalii, twarzy kogoś, kogo Anna kochała, ale kogo naprawdę nie znała.

Po kolacji Anna szczotkowała włosy w pokoju, który miała dzielić z Thalią podczas pobytu w Rapids.

— Czy on teraz przychodzi? — pytała Thalia. — Dokąd idziesz?

— Chcę, żeby mnie zabrał do Sonny'ego, zawsze lubiłam to miejsce — powiedziała Anna.

W tym momencie zaskoczyła ją twarz Thalii w lustrze. Thalia wpatrywała się w ścianę, w nicość, twarz jej wykrzywiały nieprzyjemny uśmiech. Przez chwilę Annie zdawało się, że uśmiech ten dotyczy czegoś, co powiedziała.

— Co ci jest? — zapytała Anna odwracając się. Skierowała w stronę córki szczotkę do włosów. — Dlaczego masz taką minę?

Thalia trzymała na kolanach książkę, teraz podniosła ją na wysokość klatki piersiowej, jakby przestraszona. — Ja... ja myślałam o nim — powiedziała.

— I co? Co takiego myślałaś? — spytała Anna.

— Po prostu to, że nie pamiętam, jak on wygląda — wyszeptowała Thalia. — Nie chcę go widzieć, nie wychodzę.

Anna wzruszyła ramionami i odwróciła się.

— Po pięciu latach nawet się z nim nie przywitasz? Zdało mi się, że go lubiłaś. Co się z tobą dzisiaj dzieje?

Thalia wolno przewracała kartki książki.

— Obiecałaś, że mi powiesz, dlaczego stąd wyjechałaś — powiedziała. — Kiedy będę dostatecznie duża. Zostawiłaś mnie z nim na pięć miesięcy, miałam wtedy dziesięć lat i codziennie robiłam znaczki na kalendarzu, potem wróciłaś, powiedziałaś, że obydwie wyjeżdżamy i że później wyjaśnisz mi, dlaczego. Nigdy mi nie powiedziałaś.

Anna nie bardzo słuchała. Podobały jej się własne włosy, błyszczące w przyćmionym świetle pokoju — zacienione tło tajemniczycy szaf i wysoki sufit zdawały się popychać Annę w kierunku lustra, pory jej pięknej, zdrowej skóry były oświetlone, stanowcza linia podbródka wyraźnie zarysowana, jej oczy — Jake mawiał, że są jak oczy kota — wyglądały tajemniczo za jasnym lasem rzęs.

— Obiecałaś, że mi powiesz — upierała się po dziecinnie-mu Thalia.

Anna wstała. Wzięła do ręki torebkę. Czyżby słyszała samochód na podjeździe? Zabierała się do wyjścia, ale Thalia podbiegła do niej.

— Mamo — powiedziała. To słowo między nimi brzmiało niezręcznie, Thalia nigdy go nie używała.

- Obiecałaś, że mi powiesz, dlaczego go zostawiłaś.
- Anna niecierpliwie machnęła ręką, odrzucając ją.
- Powiem ci, kiedy zostawię następnego — powiedziała.
- Czytaj swoją książkę.

Thalia leżała na łóżku. W pokoju paliło się pojedyncze światło, mała lampka na komodzie, według słów Anny wygrana przez ciotkę na jakiejś kościelnej loterii przed laty. Główną część lampki stanowiło drzewo, pomalowane na jaskrawy brąz, pod którym siedziała para dzieci-kochanków o jasnoróżowych policzkach. Abażur był ogniście pomarańczowy, ząbkowany na dole. Thalia przyglądała się lampce, starając się na niej skoncentrować swą nienawiść. Kiedy łzy napływały jej do oczu, tarła oczy bezlitośnie. Myślała o sobie w tym pokoju, w chwili gdy matka wychodziła w pośpiechu, jej kroki zmierzały prosto do bocznego wyjścia, a więc prosto do Jake'a. Thalia chciała z nią wyjść, miała już za nią pobiec, ale nie ruszyła się od drzwi, zastygła w bezruchu, słuchając odgłosów odjeżdżającego samochodu. Czy on naprawdę tam czekał, czy to naprawdę był mężczyzna, z którym kiedyś mieszkały? Thalia poczuła zawrót głowy, przytłoczona przez zagadkę życia, tajemnicę miłości i związku tak gwałtownie straconego, odrzuconego... Pan Harber, który miał poślubić Annę, zupełnie nie przypominał Jake'a. Inni mężczyźni, których Anna przyprowadzała do mieszkania, zupełnie nie przypominali Jake'a. Thalia czerpała jego obraz z domu i pól, które otaczały wówczas ich życie — ze starego domu, znie-nawidzonego przez Annę, z jego myszami, mrówkami, beczkami na deszczówkę i cysterną w wilgotnej piwnicy, która w lecie wysychała, i ze strychem wypełnionym starzyzną, upalnym od czerwca do września, z opuszczoną szopą i podwórzem, z przygnębiającym polem, spalonym słońcem, które ciągnęło się aż do niewielkiego lasku, gdzie Thalia chodziła

się bawić. Wydawał jej się postacią zagubioną w całym tym pomieszeniu, przytłoczoną nie tyle ogromem ziemi, którą odziedziczył i której nie mógł sprzedać, czy pracą w tartaku, ciężką i źle płatną, ale raczej nieubłaganym oddalaniem się tych, których kochał, przede wszystkim Anny, ponieważ zawsze ją kochał, kochał ją nawet wtedy, kiedy już nie było żadnego po temu powodu. Thalia pomyślała, że to było właśnie owo wcielenie Anny, którego nienawdziła, ta ciemna strona, która nieustannie zdradzała ją i innych; Anna, uśmiechająca się w ten powolny czarujący sposób, ze spokojem w oczach, z nieruchomymi rękami, z całym ciałem w bezruchu, z tym jasnym kocim ciałem pozbawionym nerwów i niepokoju, które nie życzyło nikomu krzywdy ani bólu, toteż nigdy nie przyjmowało na siebie odpowiedzialności za krzywdę i ból, jaki cierpieli ludzie wokół.

Obudziła się nagle. Było ciemno i w pokoju była Anna.

— Thalia, kochanie, czy śpisz? — powiedziała. — Wstań, chodź. On chce zabrać nas na lody. Do kiosku ze słodyczami, który minęliśmy w drodze do domu, całkiem nowego. Czy śpisz? Chodź, przecież lubisz lody.

Thalia nie chciała iść, serce jej zaczęło bić boleśnie, ale Anna nie zwracała na nią uwagi.

— Twoje włosy są w porządku. Zresztą, kto by ci się przyglądał? — roześmiała się Anna. Pchnęła Thalię przed sobą. Thalia pomyślała, że zadowolenie Anny oznacza, iż Jake będzie nieszczęśliwy, zawsze tak było.

Siedział w samochodzie z otwartymi drzwiami i czekał. — Cześć, Thalia — powiedział. Anna popychała ją z tyłu. — Cześć — powiedziała Thalia nieśmiało. Ciotka Anny zapaliła światło przed domem, więc Thalia mogła widzieć jego twarz. Miał ciemne krótkie włosy, stanowczy podbródek tak jak Anna i podobnie jak Anna twarz, która nic o sobie nie mówiła, tylko że u Jake'a płynęło to z rezerwy, a u Anny była to sprawa prostoty.

— Jaka jest wysoka! Wyższa ode mnie — powiedziała z dumą Anna.

Twarz Thalii płonęła. Wsiadła do samochodu, siedziała pomiędzy Jake'em a matką. Serce jej waliło. Anna coś mówiła, kiedy Jake wyjeżdżał tyłem na drogę. Thalia patrzyła na jego ręce na kierownicy, kościste, twarde, brutalne ręce z kępkami ciemnych włosów na każdym palcu. Odniosła wrażenie, że Jake również nie słucha Anny. Dawniej Anna czasami mówiła do niego, podniecona, podczas posiłków, jakby nie miała powodu milczeć w jego obecności, a on nie odpowiadał. Kiedy wypił za dużo, nie mówił bez przerwy jak inni mężczyźni, wydawał się zamykać w swoim milczeniu, jakby było fizyczną barierą, która go chroni. Właśnie za to milczenie Thalia go kochała. Tak, miała poczucie winy w jego obecności, winy i wstydu z powodu tego, że jej matka go zdradziła, i z powodu własnego w tym udziału. Bo czyż nie chciała wyjechać z matką? Kiedy Anna wróciła tamtego dnia, całe tygodnie nienawiści do niej zniknęły od razu, magia słów i pieśczęt Anny całkowicie oczarowała Thalię, oczywiście, że chciała wyjechać. W czasie przerw w monologu matki Thalia przysłuchiwała się milczeniu ojczyma, milczeniu, które jak wielka ciemna dziura wchłaniało całą jej siłę. Thalia pomyślała, że kocha go bardziej niż matkę. Teraz to wie. Kocha go bardziej niż kogokolwiek, chce, żeby był szczęśliwy. Chce wynagrodzić to, co Anna mu zrobiła... „Wiesz, Lewis nie chce, żebym pracowała, ale ja nie zamierzam przestać” — mówiła Anna. „Lubię być swoim własnym szefem, a nie siedzieć w domu cały dzień. Thalia, co ci jest?” Thalia ukryła twarz i nagle zaczęła szlochać. Przytłaczał ją wstyd. Anna objęła ją ramieniem, szepcząc: — No już dobrze, dobrze, zmęczona jesteś tą jazdą autobusem...

Thalia potarła oczy pięściami, żeby przestać płakać, z rozpaczą myślała, że ojczym jest nią zniecierpliwiony. Po chwili Jake powiedział, odchrząknąwszy uprzednio, jakby był

nieprzyzwyczajony do mówienia: — Ona się robi bardzo ładną dziewczyną, Anno.

— Tak, przecież ci mówiłam — podjęła Anna. Głaskała Thalię po włosach. — Ale jeszcze taka młoda, taka słaba.

W ciszy, jaka nastąpiła po tych słowach, myśleli właśnie o tym, o słabości, o nikczemności bycia słabym, delikatnym, wrażliwym na zdradę, raczej kochającym niż wiecznie kochanym.

Tej nocy Thalia powoli usiadła na łóżku, przysłuchując się oddechowi matki. Spały w dużym podwójnym łóżku; wypchane pierzem poduszki lekko pachniały pleśnią. Światło księżycy wypełniało pokój, jego zimny ponury blask podziałał kojąco na Thalię, od wielu godzin umysł jej pracował bezustannie, a serce biło jakby w oczekiwaniu jakiegoś kryzysu. Spokojnie wstała z łóżka. Początkowo nie miała pojęcia, co zamierza zrobić i kiedy się ubierała, jej umysł był zupełnie pusty, wypełniony byle czym, cieniami mebli w pokoju, odgłosem insektów z zewnątrz czy spokojnym oddechem Anny. Ale kiedy ostrożnie otworzyła drzwi, oczy jej się zwęziły, ciało napięło się od słuchania, wiedziała, dokąd idzie.

Później miała pamiętać to swoje wyjście z domu i bieg przez mokrą trawę do drogi jak scenę z powieści czy filmu, coś, co zdarzyło się komuś innemu. Kiedy znalazła się na drodze, opanował ją strach, słyszała głosy, była przekonana, że zabłądziła. Zbliżał się jakiś samochód, przerażona ukryła się w rowie. Nic. Biegła wzdłuż drogi, aż jej klatka piersiowa zaczęła się unosić i opadać w bolesnym oddechu, kiedy zwolniła, potykała się o niewielkie kamienie, które wydawały jej się jedynie cieniami. Niebo pełne chmur, wysokie, i mleczne, z jednej strony oświetlone księżycem, a z drugiej pogrążone w mroku, ginącym dalej w głębokiej czerni. Dojście do domu Jake'a zajęło jej nie więcej niż dziesięć minut,

i kiedy zbliżała się do werandy, uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała tego domu w taki sposób, mieszkała tu przez lata, traktowała ten dom jako rzecz oczywistą, ale nigdy nie widziała go tak, jak musiała go często odbierać Anna, był ciemny i opuszczony tak samo jak budynki starej farmy w głębi.

W minutę lub dwie po tym, jak zapukała, Jake otworzył jej drzwi, widocznie jeszcze nie spał. Patrzył na nią, a potem poza nią, opierając się o futrynę, a ona od razu powiedziała:

— Nie jadę z nią. Nie jadę z nimi. Nienawidzę ich obojga. Zostanę tutaj. Chcę zostać tutaj.

Jake przyglądał się jej tak jakby jej nie rozpoznawał.

— Co ty tu robisz? — zapytał.

Thalia powiedziała nerwowo: — Nie, nie jadę z nimi. Zostaję tutaj. Nie jadę.

Jake powoli zamknął drzwi. Zapalił niewielkie górne światło i poruszając się niezręcznie jak we śnie, gdzieś ją prowadził. Na sofę. — Usiądź tutaj — powiedział słabym głosem. — Ona nie wie, że tu jesteś, prawda? — Było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie, ale Thalia odpowiedziała złym piskliwym głosem.

— Ona śpi, ona zawsze śpi. Drzemie każdego popołudnia, nic nie jest w stanie jej obudzić. Ja nie mogę spać w nocy, jej nic nie przeszkadza.

Jake z powrotem podszedł do drzwi i wyglądał na zewnątrz.

— Na co patrzysz? — zapytała Thalia. — Jestem sama. Przyszłam tu sama. Zostawiłam ją śpiącą...

Jake nie odwrócił się w jej stronę, patrzyła na niego, jakby usiłując odgadnąć wyraz jego twarzy, jego myśli. Miał na sobie poplamione spodnie od kombinezonu, był bez koszuli i boso.

— Jak się tu dostałaś? — zapytał. W końcu spojrzął na nią przez ramię. Jego twarz nie wyrażała absolutnie nic.

— Wcale się nie boję — powiedziała Thalia. — Mogę wszędzie pójść sama. Mogę wszystko zrobić.

— Ale dlaczego przyszedł tutaj? — zapytał Jake.

— Mogę tu mieszkać tak jak przedtem — powiedziała Thalia. — Wszystko będzie tak samo, poza nią...

— Dlaczego chcesz tu zostać? — zapytał Jake. — On ma mnóstwo pieniędzy, prawda?

— Nienawidzę jego i jej, nienawidzę ich obojga. Chciałabym, żeby oboje umarli — powiedziała zjadliwie Thalia. — Chciałabym, żeby ich samochód się rozbił, kiedy pojadą na przejażdżkę...

Poczuła, że usta jej wykrzywiły się w coś tak brzydkiego, że nawet Jake opuścił głowę. Zaczął spacerować nerwowo, a teraz zatrzymał się i macał się po kieszeniach. Wyszedł do drugiego pokoju i wrócił z paczką papierosów. Thalia mówiła bez tchu:

— To jest taki duży dom. Potrzebny jest ktoś do sprzątnia, do gotowania, do uporządkowania podwórza. Mogłabym chodzić do szkoły w mieście, tak jak dawniej. Zresztą oni mnie nie chcą, jeżeli pojadą w tę długą podróż... nie mam gdzie pójść, tylko tutaj...

Jake zapalił papierosa. Usiadł ciężko na oparciu sofy. Teraz Thalia zauważyła, jak zagracony był pokój, dywan stracił kolory pod warstwą kurzu, zasłony zwisały ciężko, w kominie pełno było śmieci, na starym stole z jadalni poniewierały się gazety. Kilka z nich spadło na podłogę. Na ścianie w pobliżu drzwi widać było wyblakły prostokąt, gdzie przez lata wisiąło zdjęcie; Thalia pamiętała je, była to stara fotografia dziadków Jake'a w dniu ich ślubu.

— Dlaczego nic nie mówisz, o co chodzi? — wyszeptwała.

Coś się przydarzy, pomyślała, zrobi jej się niedobrze, straci nad sobą panowanie. Miała ochotę pobiec z powrotem do pokoju, gdzie spała matka i złapać ją za gardło...

— Nienawidzę ich, chciałabym, żeby obydwójce umarli i ja też — powiedziała z goryczą. — Nie mam dokąd pójść. Kiedy ona go zostawi, co będzie, jeżeli zostawi i mnie? Jeżeli będę musiała zostać z nim?

— Nigdy cię nie zostawiła — wtrącił ostro Jake.

— Raz to zrobiła, wiesz, że to zrobiła! — wykrzyknęła Thalia. — Zostawiła mnie tutaj z tobą, a potem wróciła. A następny po nim może nie będzie mnie chciał, to co mam wtedy zrobić?

— Co to za historyjka o następnym? — zapytał Jake, uśmiechając się pogardliwie. — Czy ma już jakiegoś na myśli?

— Ja nie chcę być z nimi — powiedziała Thalia. — Gdybym tylko była starsza, gdybym miała osiemnaście lat, wtedy mogłabym tu przyjechać i zamieszkać gdzieś, tak żeby cię widywać. Mogłabym to wtedy zrobić. Nie mógłbyś mi przeszkodzić. Tak bym zrobiła i przychodziłabym tutaj, żeby cię zobaczyć i posprzątać, i ugotować, i moglibyśmy być razem.

Ale to wszystko zabrzmiało jakoś fałszywie, słuchała siebie ze zdumieniem. Jake strząsnął popiół na podłogę.

— Mogłabym tu przychodzić i być z tobą — wyszeptała Thalia. — Kocham cię. — Ale kiedy tylko to powiedziała, nagle przestała być pewna, co miała na myśli, a nawet do kogo to mówiła.

— Co to znaczy, że mnie kochasz? — zapytał zimno Jake. Thalia patrzyła na niego. — Nie jestem twoim ojcem. Nie muszę w ogóle mieć z tobą do czynienia.

— Ale ja cię kocham — upierała się Thalia.

— Co do diabła — zniescierpliwiał się Jake. — Co to znaczy? O co tu chodzi?

— Powiedziałam, że chciałabym tu zostać — Thalia płakała gorzko — nie możesz mi w tym przeszkodzić, jesteś moim ojczymem, musisz mnie przyjąć, jeżeli chcę tu zamieszkać. Jeżeli będę przychodzić i spać na ganku, musisz mnie przyjąć.

— Akurat — powiedział Jake.

Thalia wstała. Podeszła do stołu i bezmyślnym gestem zepchnęła gazety.

— Powiedziałam, że musisz mnie przyjąć! Jeżeli tego nie zrobisz, to i tak od niej ucieknę i wrócę tutaj, przyjadę autostopem, żadne z was nie może mi w tym przeszkodzić! Nie obchodzi mnie, co się stanie! Nienawidzę ich obojga, nienawidzę wszystkich, dzieci w szkole i ludzi w sklepach, jej ciotki i jej kuzyna, i siebie, przede wszystkim siebie. Jediną osobą, którą kocham, jesteś ty, całe lata czekałam, żeby cię znowu zobaczyć, myślałam o tobie, a teraz ty nic nie mówisz. Chcę mieszkać tu znowu jak przedtem i zrobię to, będę dla ciebie gotować i wszystko posprzątam, zawsze pomagałam jej odkurzać te wszystkie rzeczy, i niczym się nie będę martwić, jeśli nie będzie wody, nie będę się przejmować, i nie będziemy musieli wyczekiwać na nią wieczorami. Było mi niedobrze, kiedy patrzyłam, jak czekałeś na nią, siedząc w kuchni, wiedziałam o wszystkim, widziałam to. Wtedy chciałam, żeby umarła.

— Ja też — powiedział Jake.

Thalia nagle poczuła się wyczerpana. Patrzyła na niego, nie spotkała jego wzroku i ogarnęło ją niespodziewane przerażenie na myśl, że nie zna go naprawdę, znała kogoś, kochała kogoś, ale może to nie był ten mężczyzna.

— Ona ci nie pozwoli tu zostać — powiedział wolno Jake.

— Co takiego? — wykrzyknęła Thalia.

Pocierał ręką twarz gestem pełnym znużenia. Zdumienie i podejrzliwość w jego oczach jak zwykle zdawały się pytać, dlaczego to się przydarzyło właśnie jemu, dlaczego był sam, co z nim było nie w porządku, czyżby było w nim coś zabawnego, co mogli dostrzec wszyscy naokoło.

— A więc mogę zostać? — pytała Thalia.

— Nie obchodzi mnie, co zrobisz — powiedział.

Thalia patrzyła na niego. Czula za sobą twardość stołu, opierała się o stół mocno, jakby w poszukiwaniu siły.

— A więc mogę zostać? — wyszeptala. Jake wzruszył ramionami. — Zostań — powiedział. Spotkał jej spojrzenie i zdawało się, że lekko się wzdrygnął. Siedział na oparciu sofy, ramiona opuścił bezwładnie, tak że jego klatka piersiowa robiła wrażenie wąskiej i lekko zapadniętej. Wyglądał starzej niż na trzydzieści pięć lat. Wyglądał trochę tak jak mężczyzna, który zawsze przychodził Thalii na myśl, ilekroć usiłowała sobie przypomnieć swojego prawdziwego ojca...

— Chodź tutaj, usiądź — powiedział. — Wyglądasz na zmęczoną, chorą czy coś. Lepiej odpocznij. Może coś ci jest.

— Nie, wszystko w porządku, wszystko w porządku — powiedziała Thalia słabym głosem.

Zasnęła na sofie, podczas gdy Jake siedział, paląc papierosa. Parę godzin później zjawiała się Anna.

— Czy to tu ona przysłała? Jest tutaj? — krzyczała, jeszcze zanim Jake otworzył drzwi. — Dobrze, dobrze — mówiła Anna, pchając się za nim. Wskazała na Thalię, która leżała na sofie, ale już teraz z otwartymi oczami, i mrugała głupawo.

— No proszę. Wstyd, wstyd. Wyślizgnęła się z łóżka i poleciała za nim, a ja o niczym nie wiedziałam! Razem z Ernie, który czeka w samochodzie, szukaliśmy trupa przy drodze przez cały czas! A teraz wynoś się stąd! Idź do samochodu!

Anna miała na sobie żółtą sukienkę, niedbale pozapinaną; w butach na płaskim obcasie wyglądała na muskularną i napiętą, jakby gotowa była w każdej chwili rzucić się na któreś z nich. Podeszła do Thalii i poderwała ją z kanapy, ale Thalia odsunęła się z dziwnie pogardliwym uśmiechem i powiedziała: — Teraz wszystko się zmieniło. Nie potrzebuję iść z tobą.

— Co to znaczy? Co się zmieniło? — powiedziała Anna. Patrzyła to na Thalię, to na Jake'a. - Co się tutaj stało?

— On powiedział, że mogę z nim zostać — oświadczyła Thalia.

— Powiedziałeś tak? — wykrzyknęła Anna. Uderzyła pięścią w pierś Jake'a. — Tak jej powiedziałaś, co?

— No pewnie, a dlaczego nie? — zapytał Jake.

Anna oddychała ciężko. Stała pomiędzy nimi, wściekła, przygryzała dolną wargę. Po chwili odezwała się, już trochę spokojniej:

— Thalia, idź posiedź z Erniem. My musimy porozmawiać.

— Nie muszę — powiedziała Thalia, wycierając nos wierzchołkiem dłoni. — Ja tu teraz mieszkam. On tak powiedział.

Annę zaskoczył wyraz twarzy dziewczynki, która była blada i przerażona, jak twarz ofiary na zdjęciu w gazecie czy piśmie, twarz jakiejś anonimowej istoty niemal z innego świata.

— O co tu chodzi? Nie mogę tego zrozumieć — wymamrotała Anna. — Thalio, proszę cię, wyjdź na zewnątrz, żebyśmy mogli porozmawiać. Twój ojczym i ja musimy porozmawiać.

— Nie odejdę stąd — wyszeptwała Thalia. Jeśli mnie zmusisz, wrócę tu.

— Nie o to chodzi — powiedziała Anna. — Po prostu chcemy porozmawiać. Musimy to wyjaśnić.

— Nie muszę iść, prawda? — Thalia zwróciła się do Jake'a.

— Mnie to absolutnie nic nie obchodzi — oznajmił Jake.

— Słuchaj, proszę cię, powiedz jej, żeby wyszła i poczekała na zewnątrz — powiedziała Anna.

— Dlaczego miałbym to zrobić? — zapytał Jake.

— Proszę cię, ty jej powiedz, ona chce to usłyszeć od ciebie.

— W porządku. Wyjdź przed dom — powiedział Jake.

Thalia powoli usiadła. — Czy wyjdiesz i powiesz mi, kiedy mogę wrócić? — zapytała.

— Oczywiście — powiedział Jake.

— Obiecujesz? — nalegała Thalia.

— Oczywiście — powiedział.

Thalia wyszła. Słyszeli trzaśnięcie drzwiczek samochodu.

— A teraz, co to za sztuczek próbujesz? — spytała Anna.

— Ona przyszła tu z własnej woli, nie miałem z tym nic wspólnego — wyjaśniał Jake. — Nie pytaj mnie.

— Ale co to znaczy, że ty jej powiedziałeś, że może tu zostać! Co to znaczy?

— Powiedziała, że nie ma się gdzie podziać. I że cię nienawidzi. Więc nie widzę, co w tym złego.

— Nienawidzi mnie? — powiedziała Anna. — Nie... moja córka... nie wierzę w to... nie, nie to... nie moja córka — Anna chodziła po pokoju, rozglądając się wkoło jakby w poszukiwaniu pomocy, siły. Co się stało? W jaki sposób straciła kontrolę? Po raz pierwszy w życiu przeraziła ją zacięta, blada twarz Thalii, ten grymas jak na twarzy umierającej nieznanjomej. Myślała o Thalii jak o umarłej, i teraz nie bardzo potrafiła myśleć o niej jak o żywej.

— Czego ty próbujesz? Nie pozwolę jej odejść. Sprawuję nad nią opiekę, przyznaną prawnie. Ty nie jesteś jej ojcem! Co u diabła, co to znaczy, że ty jej pozwalasz tu zostać! Jakby to wyglądało? Boże, co za gmatwanina. Nigdy nie przypuszczałam... Kiedy jedliśmy lody, była taka spokojna, przez całe życie była taka spokojna, nigdy nie przypuszczałam... Ale tak czy owak, ona nie może tu zostać. Chyba jesteś szalony. Nie miałeś prawa jej tego powiedzieć.

— Kiedy będzie wystarczająco dorosła, żeby od ciebie odejść, wtedy tu wróci. Obiecała mi to — powiedział Jake.

— Obiecała ci? Że tutaj wróci? Dlaczego? Jeżeli ktoś ma tu wrócić, to ja — powiedziała zjadliwie Anna. — Mała jędza! Czy przespałeś się z nią? To o to chodzi, co? Ty rozpustniku, patrz jak wyglądasz, bez koszuli! Masz brudne nogi! Czy to nie świństwo? A więc tak ci obiecała, co? Wróci, żeby co ci zrobić? Nigdy nie wiedziałam, nigdy sobie nie zdawałam sprawy, ona ze mną o niczym nie rozmawia... A więc jest w tobie zakochana!

— Musi być w kimś zakochana.

— Tak, tak — mówiła Anna kiwając głową — oczywiście... Wszyscy tacy jesteśmy, nawet ja. Nawet ty. A może ja do ciebie wrócę, to co wtedy? Jesteś lepszy od niego, nie ukrywam tego, tylko to cholerne miasto i te trociny na tobie, nawet w uszach, i to że urodziłeś się tutaj tak samo jak ja... Nie znajdę już takiego jak ty, ale byliśmy razem przez sześć lat, do wszystkich diabłów. A teraz ona, coś takiego! Mój Boże! I ty myślisz, że możesz mi ją zabrać! Ona cię kocha, w jakiś sposób się w tobie zakochała, może nawet sama o tym nie wie, ale ja to wiem... A ty myślisz, że możesz ją dostać! Myślisz, że nie będę wiedziała, jak z tobą walczyć. A co ty do niej czujesz?

— Nie wiem — odpowiedział Jake.

— Czy ty w ogóle ją pamiętasz? — serce Anny biło gwałtownie. Jej twarz i ciało były mokre od potu. — Ty, mogłabym cię zabić! — wymamrotała. Podeszła do bocznego okna i wyrzała na zewnątrz. Nadchodził świt, lekko zamglone bezbarwne niebo, ptaki nieruchomo zawieszony na drzewach.

— Powiedziała, że nie ma dokąd pójść — odezwał się Jake. — Wiem, jakie to może być uczucie. A ten dom jest taki duży, gdyby był tu ze mną ktoś, żeby można było z kimś rozmawiać...

— To znajdź sobie inną kobietę! Rusz się i weź którąś, wszystkie cię lubią! Anna miała ochotę podbiec do niego i wbić mu paznokcie w twarz. Poczowała swędzenie w palcach. — Każda kobieta chętnie by cię przyjęła, dlaczego zmarnowałeś te wszystkie lata? To już pięć lat, co? Czekasz na mnie? Niech cię cholera weźmie za to czekanie! A to, że jesteś sam, to nie moja wina, ani nie jej wina, nie będzie dla ciebie rujnowała swojego życia!

— Nie możesz jej w tym przeszkodzić — powiedział Jake.
— Tak czy inaczej...

— Idź do diabła! — wrzasnęła Anna. Patrzyli na siebie. Anna dysząc ciężko wytarła twarz rękawem. — Ale ty jesteś drań — powiedziała. — I ten dom, zawsze taki upalny, ta cholerna okolica zawsze taka upalna — pociągnęła kołnierz sukienki i ze złością odgarnęła włosy z twarzy. — Dokładnie tak, jak to zapamiętałam. Wszyścusiensko. — I jakby tracąc cierpliwość, szarpnęła kołnierz sukni, tak że odpiął się pierwszy guzik. — Ty draniu z brudnymi nogami — wyszeptowała. — Dokładnie tak jak wtedy, kiedy przyszedłeś do mnie, gdzie to było? Przy skrzynce pocztowej. Podjechałeś samochodem, uważałeś się za wielkiego cwaniaka, a wyraz twarzy miałeś tak świński jak same świństwo. Jak ty na mnie patrzyłeś! A potem szłam do domu i do łóżka, w którym on spał, te wszystkie noce, i pachniałam tobą, powiedziałam ci, że jeśli robię to z tobą, to kiedy się ze mną ożenisz, będę to robiła z innymi. Dlaczego byłeś zdziwiony, kiedy tak się stało? Co za cholerny upalny stary dom, strych gorący przez całe lato! — Anna zaczęła się uśmiechać. Jake obserwował ją, ale nie odwzajemnił uśmiechu. Zrzuciła buty z takim rozmachem, że jeden po drugim uderzyły o ścianę. — Śmierdzi tu kurzem. Co za rozkoszne brudne miejsce! Jaka rozkoszna brudna sofa! A jak wygląda twoje łóżko? Całe brudne i zapocone? — Podeszła do niego. Kiedy była boso, musiała przechylić głowę do tyłu, żeby na niego spojrzeć. Uderzyła go

pięścią w klatkę piersiową. — Nie wyjdiesz, nie zobaczysz jej więcej — szepnęła. Odgarnęła jego włosy z wilgotnego czoła. Odsunął się lekko, a ona mocno uderzyła go w twarz. Jake spoglądał na nią w dół. Oparł się jej uśmiechowi.

— Na co czekasz? — zapytała. — Co, u diabła, jest z tobą nie w porządku? Chodź, chodź do mnie, wiesz, jaka jestem miła, chodź do mnie, przecież nie chcesz mieć do czynienia z tą małą dziewczynką, więc lepiej chodź do mnie. Chcę ciebie, chyba to wiesz, musisz to wiedzieć...

Uśmiechała się do niego ze złością i rozpięła przód sukni. — W porządku, oczywiście - powiedział Jake. Dotknął jej ramienia, a ona znowu odrzuciła głowę w tył niecierpliwym ruchem... — Chodź do mnie, przecież wiesz, jak bardzo tego chcesz — mówiła i zaczynała tracić kontrolę nad słowami, nad swoim głosem, tak że nie bardzo zdawała sobie sprawę, co mówiła, nie musiała wcale o tym myśleć. Była pomieszana, zachwycona, a spojrzawszy na niego nagle zdała sobie sprawę, że wszystko jest dobrze, że nie potrafiłaby powiedzieć, czy mieszka w tym domu, czy tylko po coś przyszła, czy była żoną kogoś innego, jakiegoś mężczyzny o dwadzieścia lat od niej starszego, nic nie miało znaczenia, nic nie pamiętała.

Thalia leżała na tylnym siedzeniu samochodu. Czekala, upływały kolejne minuty czekania, aż nagle zrezygnowała, jakby się od czegoś wyzwoliła, stała się wolna, bezradna, zmarznięta. Ernest, jak zawsze w słomkowym kapeluszu, czekał przez jakiś czas na przednim siedzeniu pogwizdując przez zęby. Potem wyszedł z samochodu, zaczął spacerować wzdłuż drogi, kopiąc kamienie. Thalia leżała i wpatrywała się w brudne oparcia przednich siedzeń. Jakiś dziany pokrowiec, podarty i poplamiony...

Kiedy usłyszała, że ktoś się zbliża, usiadła natychmiast. Ale to była Anna. Szła przez wysoką trawę podwórza w kierunku samochodu. Była boso, w jednej ręce trzymała buty. Thalia widziała, jak silne mięśnie jej nóg napinają się i rozluźniają w czasie marszu, potwierdzają swoje istnienie i nikną spokojnie w gładkiej linii nóg. Matka i córka patrzyły na siebie przez chwilę przez otwarte okno, po czym Anna otworzyła drzwiczki i weszła do środka. Usiadła na przednim siedzeniu, jakby była sama w samochodzie. Nie zwracała uwagi na Thalię, nie spojrzała na Ernesta, który właśnie przeskakiwał rów w drodze do samochodu. Poruszyła rękami, jakby spodziewała się, że sprawią jej ból. Przejechała dłońmi po czole, mocno, i zebrała włosy z szyi, Thalia wstrzymała oddech, widząc skórę na jej szyi podrapaną i podrażnioną, jakby pazurami, przeciętą zębami. Nie było krwi, ale małe białe strzępki skóry wystawały z gładkiej powierzchni, a od nich rozchodziły się długie zaczerwienione ślady jak leniwe mrówki, wkopujące się pod powierzchnię. Ernest uruchomił silnik. — Już tak gorąco — powiedziała sennie Anna. Oparła się o siedzenie, włosy opadły jej na szyję. Mogła równie dobrze mówić do siebie. — Oni przyjeżdżają później, to dobrze, to znaczy, że mam dużo czasu... A potem możemy jechać. Jakże nienawidzę tego miejsca, zawsze taki upał...

Thalia nie spojrzała na dom, kiedy odjeżdżali. Nie patrzyła na nic na zewnątrz. Patrzyła na tył głowy matki, na te strzępiaste, potargane jasne włosy i tuż pod nimi dostrzegała zaczerwienione ślady, które tworzyły tak tajemniczą i cudowną ranę.

W magazynie

— Dlaczego twoja matka robi to z włosami? Myśli, że tak jest ładnie, czy co?

— Niby co robi z włosami?

— Zakręca je czy coś, przecież jest taką brzydką starą babą! Gdybym ja tak wyglądała, wsadziłabym głowę w piec!

Obydwie dziewczynki stoją o zmierzchu na chodniku. Wyższa z nich, kiedy coś mówi, zakreśla ręką szerokie gesty w powietrzu, druga stoi w milczeniu z zaciśniętymi ustami. Ma drobną, śniadą, cierpliwą twarz, grube puszyste pukle ciemnych włosów opadają jej na czoło. Uczesanie wyżej dziewczynki pozbawione jest jakiegokolwiek stylu, włosy potargane, niezbyt czyste, ściągnięte do tyłu i przypięte czarnymi spinkami, których kolor nie pasuje do ich barwy ciemnoblonde. Dziewczynka ma o czym mówić. Teraz mówi o Nancy, która mieszka kilka domów dalej. Nancy ma osiemnaście lat i pracuje w sklepie w mieście, wydaje jej się, że jest lepsza od wszystkich.

— Mogłabym jej coś niecoś pokazać, wystarczyłoby mi zaparka i te jej farbowane włosy. Jej matka stale zrzędzi i jest brzydka jak wszystkie matki. Po prostu stara jędza, która równie dobrze mogłaby nie żyć.

Jest jesień. Po kolacji dzieci bawią się na ulicy, biegając albo między domami, albo dalej, aż do nie zabudowanej przestrzeni, która jest odgradzona, ponieważ w pobliżu przebiega autostrada.

— Nie chcesz jeszcze wracać do domu, co? — nalega wyższa dziewczynka. — Dlaczego ty zawsze chcesz wracać do domu, myślisz, że twój dom jest taki super? Że twoja cholerna matka jest taka ekstra? Możemy się przejść aż do magazynu i zobaczyć, czy nie ma nikogo. No, żeby jakoś zająć czas.

— Lepiej pójde już do domu.

— Matka cię przecież nie woła. Co to za przyjemność siedzieć w tym cholernym domu?

Jestem niewielką, ciemną dziewczyną, a moja przyjaciółka Ronnie śmieje się ze mnie, jak zawsze. Ronnie mieszka dwa domy dalej. Jej matka ma pięcioro dzieci, ale nie ma męża, który umarł czy uciekł. Ronnie jest jednym ze środkowych dzieci, ma trzynaście lat. Jest duża jak na swój wiek. Ja mam lat dwanaście, jestem chuda, potulna i pełna niedowierzania, kiedy ona przeskakuje na inny temat: jak to chłopak Nancy pewnego wieczoru stłukł ją i poparzył cygarem.

— Nie wierzysz mi? Myślisz, że kłamię? — nalega Ronnie.

— Nigdy o tym nie słyszałam.

— To co z tego? Nikt ci nic nie powie. Powiedziałaabyś glinom albo co.

— Nie, nie powiedziałabym.

— Jakiś gliniarz przychodzi do twojego starego, no nie?

— To jest po prostu ktoś... jakiś stary przyjaciel. Ja nie wiem, kto to jest — wyjaśniam, ale już jest za późno. Mój skomlący głos jest właśnie tym, czego potrzebuje Ronnie, jakby zachęta do zabicia klina, na podobieństwo dziury, przez którą może wytknąć duży palec ze swoich zniszczonych „indiańskich” mokasynów. Szczypie mnie w rękę, a ja słabo

protestuję: — Nie rób tego. To boli.

— O, co ty powiesz?

I szczypie mnie jeszcze raz.

— Powiedziałam, nie rób tego.

Śmieje się i zapomina o szczypaniu. Jest dużą silną dziewczyną. Ma grube nogi. Jej twarz jest okrągła, a zęby trochę pokrzywione, toteż wygląda, jakby się stale uśmiechała. W szkole siedzi na końcu i jest niezdolna; kiedy się śmieje, zakrywa ręką żółtawe zęby. Pewnego dnia powiedziała do naszej nauczycielki — naszą nauczycielką jest pani Gunderson — „przed wejściem stał mężczyzna, który robił okropne rzeczy. Odpiął spodnie i w ogóle”. Pani Gunderson zawsze była nerwowa. Poprosiła, żeby Ronnie wyszła z nią na korytarz, wszyscy próbowali podsłuchiwać, a za chwilę pani wywołała na korytarz i mnie. Ronnie zapytała: — Czy to nie był pan Whalen przed wejściem? Prawda, Saro, że to był on?

— Kiedy? — spytałam.

— Wiesz kiedy, bo byłaś tam — powiedziała Ronnie. Była bardzo podekscytowana, i jej twarz miała przyjemny zarumieniony kolor. — Wiesz, co zrobił.

— Niczego nie widziałam.

Pani Gunderson nosiła brzydkie czarne buty i tak grube pończochy, że nie widać było przez nie skóry. Ronnie miała na sobie mokasyny na płaskim obcasie, była bez skarpetek, nogi miała blade i grube, porośnięte delikatnymi jasnymi włoskami.

— Pan Whalen stał dokładnie tam i Sara go widziała, ale jest zbyt wystraszona, żeby o tym powiedzieć. Ona jest cholernym nędnym tchórzem — oświadczyła Ronnie.

Pan Whalen był nauczycielem w piątej klasie. Nikt go nie lubił, ale musiałam powiedzieć: — Nie było tam żadnego mężczyzny. — Więc pani Gunderson pozwoliła nam odejść.

Ronnie wyszeptła: — Ty przekłeta, obrzydliwa lizusko!

Tego dnia w południe wytarzała swoją twarz w piachu koło huštawek, pozwoliła mi się podnieść dopiero, kiedy zaczęłam płakać.

— Och, przestań ryczeć, ty wielki dzieciaku! — powiedziała. Pieszczotliwie pogłaskała mnie po głowie. Zawsze to robiła swojemu młodszemu bratu, swojemu ulubieńcowi. — Nie miałam zamiaru ci dokuczać, ale sama jesteś sobie winna. Rozumiesz? Masz robić tak, jak ci powiem. Jeżeli jesteścieśmy przyjaciółkami, powinnaś mnie słuchać. Prawda?

— Tak.

Teraz mówi coraz szybciej. Wiem, że jej matki nie ma w domu i że dlatego ona nie chce jeszcze wracać — jej matka jest zawsze gdzieś poza domem. Nikt nie ośmiela się zapytać Ronnie o matkę. W naszym domu moja matka czeka, a może nie czeka, ale robi coś na górze albo słucha radia. Część kolacji jest odstawiona. Ojciec pracuje na nocnej zmianie. Kiedy wraca do domu, śpi na dole na kanapie, a jak ja schodzę na dół idąc do szkoły, leży tam wyciągnięty i chrapie. Kiedy ojciec i matka są razem, to dwa prądy powietrza, jak niewidzialne chmury, otaczają każde z nich, ale nigdy na siebie nie zachodzą. Te chmury dzielą ich nawet kiedy są razem, wydają się rozmawiać z dwóch brzegów głębokiego rowu.

— Dobra, to chodźmy w stronę magazynu.

— Dlaczego chcesz tam iść?

— Dla draki.

— Ja mam dużo lekcji do odrabiania...

— Czy chcesz mnie doprowadzić do wściekłości?

Poznałam Ronnie w dniu, w którym wprowadzili się do swojego domu, było to około dwóch miesięcy temu. Ronnie spacerowała w górę i w dół ulicy, rozglądając się, i od razu mnie zauważyła. Siedziałam na naszej werandzie i czytałam. Miała na sobie poplamione białe szorty sięgające do kolan

i powypychaną koszulkę należącą do jej brata. Przechadzała się, trzymając ręce w kieszeniach. Powiedziała do mnie tego pierwszego dnia: — Hej, co robisz? Jesteś zajęta, czy mogę do ciebie przyjść?

A teraz jest moją najlepszą przyjaciółką i robię wszystko, co mi powie, no, prawie wszystko. Nie przestaje mówić. Kiedy mówi, lubi dotykać ludzi, klepać ich po ramieniu, albo trącać łokciem.

— Chodź, nie masz nic do roboty w domu — powiedziała, tak żałośnie, tak przymilnie, że się zgodziłam. Idziemy wzdłuż domów. Nikt już nie siedzi przed domem wieczorami, ponieważ jest na to za zimno. Mam na sobie kurtkę i niebieskie džinsy, a Ronnie jest w tym samym płaszczu, w którym chodzi do szkoły; kiedyś był to płaszcz jej matki. Zrobiony jest z błyszczącego materiału w czarne i świecące zielone plamy i w maleńkie białe parasoleczki, ponieważ jest to płaszcz od deszczu. Po drodze Ronnie wskazuje na domy, które mijamy, mówi mi, kto w nich mieszka.

— Tutaj mieszka stary gruby drań, używa zlewu zamiast chodzić do łazienki — mówi głośno i wyraźnie, tonem nauczycielki. — Nazywa się Chanock, Chanick czy jakieś takie główniane nazwisko.

— Skąd wiesz o nim?

— Ty głupia, ja wiem mnóstwo rzeczy. Myślisz, że kłamie?

— Nie.

Idziemy leniwym krokiem. Przechodzimy przez ulicę kierując się do drugstore'u Dona. Przed sklepem stoi kilku chłopaków, opartych o rowery. Kiedy nas widzą, mówią: — O, idzie ta gruba stara krowa Layzer — i wszyscy wybuchają śmiechem. Ronnie pokazuje język i mówi to, co zawsze: jedno krótkie dosadne brzydkie słowo, które sprawia, że śmieją się jeszcze głośniej. Kiedy to robi, mam ochotę śmiać się albo

uciec, czuję się, jakby ziemia rozstała się przede mną, jakby otwierała się wielka ziejąca dziura w chodniku. Chłopcy nie zwracają na mnie uwagi, podśmiewają się z Ronnie, dopóki ich nie minimy.

Tutaj ulica jest ciemniejsza. Domy są starsze, stoją dalej od chodnika, małe trawniczki od frontu przypominają pagórki grobów. W tych domach są „lokatorzy”. Jeśli spotykamy któregoś z nich, Ronnie nazywa go „cholernym zbrodźcem”. Jeden z domów stoi pusty i zewsząd zbiegają się dzieciaki, żeby wybijać szyby i trochę się pokreć w pobliżu, mimo że już raz przepędziła je policja. — W następnym domu mieszka facet, który robi różne świństwa z psem. Widziałam go kiedyś w alejce — mówi Ronnie, prychając.

Muszę stawiać wielkie kroki, żeby jej dorównać. Zmierzamy do magazynu, który jest zabity deskami, ale wszyscy chodzą tam się bawić. Wieczorami boję się chodzić do magazynu, bo czasami śpią tam włóczędzy, ale gdybym się do tego przyznała, Ronnie parsknęłaby śmiechem i uszczypnęłaby mnie. Idąc szybko, mówi do mnie:

— W żadnym razie nie chcę opuścić tego przedstawienia w sobotę. Obydwe możemy tam pójść wcześniej — i dodaje pogwizdując przez zęby: — Pewnego dnia ten obrzydliwy wielki magazyn się spali. Zobaczysz!

Ronnie rozpałała kiedyś niewielki ogień w czyimś garażu, ale musiał sam zgasnąć, ponieważ nic się nie stało. Chciała dokuczyć tym ludziom, ponieważ nie lubiła dziewczynki, która tam mieszkała, dziewczynki, która była w szkole w starszej od nas klasie. W południe siadywałyśmy z Ronnie we dwie jedząc lunch. Jeśli była na coś zła, potrafiła mnie zmusić do spuszczenia wzroku, patrząc na mnie tymi swoimi niebieskimi zimnymi oczami jak plastikowe nakrętki, ale czasami przecierała oczy ze słowami:

— Ten drań, który przyszedł z nią wczoraj wieczorem... on... on...

Albo opowiadała z goryczą o innych dziewczynkach, i o tym jak jej nienawidzą, ponieważ się jej boją. Ronnie ma brudne włosy, brudną szyję, a jej ubrania to... to po prostu stare workowate rzeczy odziedziczone po kimś. W południe często szepcze do mnie na temat innych dzieci w stołówce, wymieniając każde po nazwisku, i mówiąc mi, co by z nimi zrobiła, gdyby się do nich dorwała; opisuje określone czynności z nożycami, brzytwami, szpikulcami do lodu, nożami rzeźnickimi, opisuje je tak plastycznie i z taką pasją, że robi mi się niedobrze.

Nawet jeśli nie przebywam w towarzystwie Ronnie, jest mi trochę niedobrze, ale nie tylko w żołądku. To jest w całym moim ciele. Mama zawsze mówi: — Dlaczego zaraz lecisz, kiedy tylko cię zawoła ta gruba krowa? Co ty w niej widzisz? — a ja odpowiadam wystraszona i nieszczęśliwa: — Ja ją lubię.

Ale nigdy nie zastanawiałam się nad lubieniem Ronnie. Nie mam wyboru. Nigdy nie dała mi przywileju wyboru, czy ją lubię, czy nie i gdyby wiedziała, że nachodzą mnie takie myśli, powyrywałaby mi włosy.

Światło ulicznej latarni pada na front i część bocznej ściany starego magazynu. Jest do niego wejście w suterenie, którego się boję z powodu pajaków i szcurów. W magazynie zgromadzone jest barachło, rzeczy, których nie rozpoznajemy i nad którymi nigdy się nie zastanawiamy, części maszyn, sztaby, dziwne koła z lanego metalu, które muszą ważyć setki funtów.

— Wejźmy przez okno — mówię do Ronnie.

— Przez piwnicę jest szybciej — odpowiada.

— Proszę cię, wejźmy przez okno — nalegam. Ogarnia mnie drżenie i nie wiem dlaczego. Wydaje mi się, że we wnętrzu magazynu czai się coś strasznego.

Ronnie spogląda na mnie pogardliwie. W świetle księżycy

wygląda na dużą i poważną, błyszczący płaszcz matki ciasno opina jej szerokie ramiona. Jej oczy są w cieniu i to każe mi nagle pomyśleć o kimś, kto spada w tył. Kto spada w dół na coś twardego i ostrego. To się może zdarzyć. Wewnątrz magazynu znajdują się wszelkie rodzaje dziwnych, ostrych rzeczy, na pół ukrytych w śmieciach, porzeczawie żelastwo i potłuczone szkło z powybijanych szyb.

— Proszę cię, Ron, wejdźmy przez okno — błagam.

Ona się śmieje i idziemy naokoło do okna. Wystaje tam duża deska, która stanowi oparcie dla stóp. Potem trzeba podskoczyć i umieścić jedno kolano na gzymsie okiennym, a następnie wślizgnąć się do środka. Deski, którymi zabito kiedyś okno na krzyż, zostały już bardzo dawno temu powyrywane. Ronnie wchodzi pierwsza i mi pomaga.

— A co by było, gdybym cię teraz puściła? Zleciałabyś na dół i rozwalila sobie łeb — mówi.

Jednak pomaga mi się wczołgać do środka. Dlaczego tak bardzo lubimy ten magazyn? W ciągu dnia lubię go przeszukiwać. Nigdy nie mamy dosyć tych wszystkich rupieci ani miejsc, w których można się schować, ani widoku z okien na górze. Maszyny, i gwoździe i nakrętki, i bolce pod stopami — olbrzymie porozbijane skrzynie z tajemniczymi czarnymi znakami na bokach. Światło księżyca jest wystarczająco mocne, byśmy mogły rozróżniać zarysy przedmiotów. Jestem niespokojna, chociaż wiem przecież, gdzie się co znajduje. Znam to miejsce. Leżąc w nocy w łóżku potrafię wdrapać się do magazynu i wyobrazić sobie wszystko, pamiętam go dokładnie, każdą jego część — to przecież nasze tajemne miejsce, nie przychodzą tu żadni dorośli — doskonale mogą sobie przypomnieć rozlane srebro szkła, które wygląda jak sierp księżyca, taki piękny kształt, leżący u podnóża schodów, a także przedmiot, który nazywamy „traktorem”, i wielką długą zakurzoną maszynę, która stoi obok schodów. Kiedy się jej dotyka, najpierw czuje się kurz, a potem olej,

pod kurzem znajduje się warstwa oleju. Z jednego jej końca wystają trzy zęby jak tępe noże.

Ronnie nadziewa się na coś i mówi: — O Boże! — Ona zawsze się na coś nadziewa. Kiedyś skaleczyła się — kotłując się z jakimiś cegłami — bez żadnego powodu wściekła się na mnie i uderzyła mnie. Zawsze mnie poszturchiwała, szczypała, uderzała... Przychodzi mi na myśl, że powinnam ją zabić. Jest jak olbrzymie niezgrabne martwe ciało, przywiązane do mnie, z ustami zastygłymi w uśmiechu i zawsze gotowymi się roześmiać, i razem pogrążamy się w wodzie, i żeby się uwolnić, będę musiała ją odciąć. Chcę się uwolnić. Mówię więc i ogarnia mnie drżenie: — Czy pójdziemy na górę?

— A co jest na górze prócz gołębih kup?

— Możemy wyjrzeć przez okno.

— Ach, ty i te twoje przeklęte okna...

Ronnie śmieje się, ponieważ ja lubię wyglądać przez okno, a ona lubi włóczyć się po kątach, przepatrując rupiecie, zaglądając pod nie w poszukiwaniu „skarbu”. Powiedziała mi kiedyś, że znalazła srebrną dolarówkę w magazynie. Teraz jednak wyprzedzam ją na schodach, dziwnie dojmujące sensacje ogarniają moje wnętrze, a ona marudzi, ale idzie za mną. Stare schody pokryte są kurzem, niektóre deski się uginają. Doskonale wiem, gdzie należy stąpać. Idąca za mną Ronnie przypomina konia. Schody się trzęsą. Czekam na nią na szczycie i w tym momencie widzę okno i latarnię na ulicy, ale nic poza tym, nie ma nic do oglądania w nocy! Latarnię otacza mglista aureola, coś nierzeczywistego, co jednak moim oczom wydaje się realne. Ronnie przeskakuje stopnie, a ja czekam na nią, niedobrze mi na myśl, że tak się boję, moje serce bije nierównym, nerwowym rytmem, jakby chciało się wyrwać, aż nagle staje się jakby odmienną osobą wewnątrz mnie, trąca mnie łokciem i mówi: „Zrób to! Zrób

to!”. Kiedy Ronnie ma jeszcze jakieś dwa stopnie do końca schodów, wyciągam rękę i popycham ją.

Upada od razu. Leci w bok od schodów, jej głos jest jak pisk wyrzucony w powietrze ponad nią, a potem jej ciało ciężko uderza o krawędź tej maszyny. Ronnie wrzeszczy. Ja stoję na szczycie schodów i przysłuchuję się temu. Wszystko jest suche, wyraźne i pulsujące. Znów spada, z krawędzi maszyny na podłogę i teraz jej krzyk jest przytłumiony, jakby ktoś zakrył jej ręką usta.

Powoli schodzę ze schodów. Powietrze jest ostre i suche, jak kwas, który pali moje usta i nie mogę patrzeć na nic innego, tylko na skręcające się ciało Ronnie. Czekam, żeby przestało się skręcać. A jeżeli nie umrze? Na dole schodów wykonuję wielkie koło wokół niej, ocieram się o coś i smar zostaje na moich dżinsach.

Tę wielką dziewczynę oświetla w połowie światło księżyca z rozbitego okna, druga połowa jest w cieniu. Dokoła niej toczą się kuleczki kurzu, poderwane przez jej jęki. Krwawi. Wydobywa się z niej ciemna plama i pcha przed sobą kurz, a wszystko to przyspieszają jej konwulsyjne skręty. Czuję, że muszę poruszać się na palcach, żeby mnie nie zobaczyła... Krew, tyle tej krwi, zupełnie jakby spod niej wyczołgiwało się zwierzę, jak cienie, które wlecjemy za sobą, nagle teraz usamodzielnione i obdarzone własnym życiem, wykręcające się spod niej i zagarniające ją, równie wielkie jak ona sama. Krzyczy: „Saro! Mamo!”, ale ja jej nie słyszę. Już jestem przy oknie. „Mamo”, powtarza, „mamo”. Nie wydaje się, jakbym się poruszała czy słyszała cokolwiek, a jednak moje nogi doprowadzają mnie do okna, a te słowa dochodzą do mnie z oddali. „Mamo, pomóż!”. Myślę, że muszę się znaleźć w miejscu, do którego te słowa nie dotrą.

W naszym domu jest ciepło, a mnie boli głowa, ponieważ jestem śpiąca. Zasypiam na swoim łóżku nie rozebrawszy

się, a następnego dnia wszyscy dowiadujemy się o Ronnie.

— Kręcenie się po tym starym śmietniku! Wiedziałam, że to się komuś przydarzy — powiedziała zjadle moja matka. — Trzymaj się z daleka od tego przeklętego miejsca! Słyszysz?

Odpowiadam jej: tak, tak, nigdy już tam nie pójde.

Dokoła mnie jest olbrzymia cienista przestrzeń, wypełniona oczekiwaniem, oczekiwaniem na lzy, na poczucie winy. Ja czekam, czeka moje ciało, tak jak czekało owego wieczoru na szczycie schodów. Ale nic się nie dzieje. Wiesz, że minęło już dwadzieścia lat? Dalej mam ciemne włosy, ale nie jestem tak chuda, moje ciało rozwinęło się w coś, co aprobują przechodnie zerkający na mnie na ulicy, wyrosłam z chudego drobnego ciała, które strąciło w dół tamto niezgrabne ciało, czego nigdy nie żałowałam. Nigdy nie odczuwałam żadnej winy. Mieszkam w tak zwanym „kolonialnym” domu, przy ulicy złożonej z samych domów w stylu kolonialnym, przy Meadowbrook Lane. Nasz dom jest szósty po prawej stronie. Nasze skrzynki pocztowe są trochę dalej przy skrzyżowaniu z szerszą drogą... Jestem mężatką, mam dzieci i ciągle czekam na poczucie winy, na to, że odczuję jakąś część cierpienia Ronnie, że odczuję raz jeszcze szok tego zdarzenia tak jak wtedy, kiedy uderzyła o zęby maszyny. Ale nic takiego się nie dzieje. Wiodę spokojne, przyjemne życie; kiedy moi dwaj chłopcy są w szkole, ja piszę opowiadania, które mam nadzieję znajdą się pewnego dnia w telewizji — bo dlaczego nie miałyby się zdarzyć ten cud.

Moje opowiadania są bardziej realne niż moje dzieciństwo, moje dzieciństwo to po prostu jedno z opowiadań, ale napisane przez kogoś innego.

Rut

Skrzynka na listy Wreszinów podobna była do większości skrzynek przy drodze, pochodziła z domu towarowego Sears w mieście, kiedyś miała kolor jasnosrebrny, teraz pordzewiała i zmatowiała, przeważnie też świeciła pustką, ludzie w tej okolicy pisali bowiem niewiele listów. Rachunki płacili osobście, gotówką. Nazwisko Wreszin napisane było na skrzynce czarnymi literami. Pola po drugiej stronie drogi przechodziły gwałtownym uskokiem w olbrzymie grzęzawisko, ciągnące się całą milę; pokrywały je szumowiny i szary, podobny do pajęczyny mech, zwisający smętnie z drzew, które właśnie umierały lub już umarły. Kiedyś rósł tu las, głównie dęby i wiązy, ale budowa nowej północnej autostrady w jakiś sposób zakłóciła odwadnianie tego terenu, a był to proces tak tajemniczy, że nie dało się go wytłumaczyć mieszkańcom regionu, i po prostu znikąd pojawiła się powoli gęsta obfita szumowina, a drzewa z jakichś niewyjaśnionych powodów zaczęły ginąć, obumierając od środka, zaduszone. Żyło jeszcze kilka, przeważnie były to pnie, z których odpadła kora, jakby obrana ludzką ręką. Nocami unosiła się nad grzęzawiskiem para, bzycało i kumkało tysiące insektów i żab, na

swoj sposób bagno zdawało się żyć. We dnie jawiło się ponure, obrzydliwe, martwe, jakby jego tajemne życie wycofywało się pod szarą szumowinę i zastygało w oczekiwaniu.

Farma Wreszinów znajdowała się w pobliżu, na dosyć wysokim wzgórzu. Nie była to już właściwie farma, podobnie jak w wielu innych gospodarstwach w okolicy i tu nie uprawiano już gruntów, choć nie zaniechano tego zupełnie. Wreszinowie ciągle jeszcze korzystali z ogrodu i sadu, siali łąn kukurydzy, ale reszta ziemi leżała odłogiem. Gospodarstwo nie przynosiło dochodów, po co więc zawracać sobie głowę, oświadczył zde gustowany Wreszin. To samo dotyczyło wiśni, gruszek i jabłek, zrywali wprawdzie większość owoców, niektóre na przetwory, mieli nawet stragan nieco dalej przy autostradzie, gdzie próbowali sprzedać kwarciany, a może i korcowy kosz owoców przybyszom z daleka lub ludziom z miasta, odbywającym niedzielną przejażdżkę, ale tak naprawdę to się też nie opłacało. Sprawiało więcej kłopotu, niż przynosiło dochodu. Wreszin jeździł codziennie do pracy w mieście, oddalonym o 15 mil, w narzędziowni wielkiej fabryki. W tym dziale nie wymagającym żadnych szczególnych umiejętności pracowali razem z nim inni mężczyźni tacy jak on — farmerzy wyczuci z ziemi przez niepojęte zmiany ekonomiczne, a także ich synowie, którzy dowcipkowali, poklepywali się po plecach i wydawali się wciąż jeszcze nieświadomi swej sytuacji.

Każdego popołudnia o wpół do szóstej, kiedy Wreszin zmuszał samochód do pokonania tego stromego podjazdu, czuł narastającą falę gniewu, gotowego wybuchnąć lada moment. Nie chodziło nawet o fabrykę, która w końcu płaciła mu pieniądze za bezmyślną robotę, ani o monotonię drogi powrotnej do domu, ale raczej o samą farmę, należała do jego ojca i dziadka i wtedy wszystko funkcjonowało, więc cóż takiego stało się teraz? Wreszina gnębiło niesprecyzowane i

nie pozbawione złości przekonanie, że znajduje się nie na swoim miejscu. Dwa lata temu pomalowali z synem budynek mieszkalny, ale nie sprawiło mu to satysfakcji, nie lubił patrzeć na ten dom. Zdarzało mu się zatrzymać samochód na podjeździe i siedzieć oddychając ciężko, z rękami na kierownicy, jakby wreszcie coś osiągnął, tyle że nie bardzo wiedział, co. Zanim wysiadł z samochodu, pozwalał sobie na głęboki smutek, na luksus emocji, a nawet na coś w rodzaju napływających do oczu łez, choć nie był człowiekiem uczuciowym.

Wreszin był dużym, potężnie zbudowanym mężczyzną, teraz właśnie zaczynał tyć, ale starał się to ukryć, przy jego wzroście i tuszy trudniej niż wielu innym przychodziło mu utrzymać wagę. Lubił jeść i pić. Lubił spać po kolacji, wyciągnąć się bez butów we frontowym pokoju, lubił drzemać w tym samym miejscu po niedzielnym obiedzie, kiedy to żona zaciągała zasłony i wysyłała dzieci z domu. Żona Wreszina, podobnie jak on sam, pochodziła z tych okolic i wiernie zachowywała zwyczaje rodziców. Mężczyźni po jedzeniu odbywali drzemkę. Mieli ciężkie życie, powinni więc korzystać ze wszystkich drobnych luksusów, jakie im się nadarzały i nikt nie mógł ich za to potępiać. Kobiety jednak nigdy nie drzemały w ciągu dnia.

Kiedy Wreszin wracał z pracy do domu, lubił, żeby czekała na niego kolacja i nigdy nie doznał rozczarowania. Ale pewnego dnia na początku czerwca zorientował się, że coś jest nie w porządku, ponieważ dzieci wpatrywały się w niego z napięciem. Siedzieli przy stole w kuchni jedząc kolację. Zauważył, że go obserwują. Zwykle przy jedzeniu Wreszin czytał gazetę, ale tego dnia nie mógł się skoncentrować.

— O co u diabła chodzi? — zapytał w końcu.

— Mama chce coś powiedzieć — odezwała się natychmiast jego córka Betty, jakby czekała na to pytanie.

Oczy Wreszina przeniosły się na żonę bez najmniejszej zmiany wyrazu twarzy, mógłby równie dobrze patrzeć na ścianę.

— Po prostu trochę kłopotów rodzinnych — powiedziała.

Była wysoką, szczupłą kobietą o zatroskanej, nie dziwiącej się niczemu twarzy. Wreszin zauważył wściekle spojrzenie, jakie rzuciła w stronę Betty.

— Możesz mi równie dobrze powiedzieć teraz — oświadczył. Jej rodzina miała zawsze kłopoty, prawdopodobnie ojciec znowu potrzebował pieniędzy. Jego rodzice mieli dość zdrowego rozsądku, by się wyekspluatować i umrzeć, ale jej rodzice ciągle jeszcze żyli i nikomu nie przynosiło to żadnego pożytku.

— Co się stało?

— Nie chodzi o mamę i tatę, jak ci się zapewne wydaje — powiedziała wolno żona. Nie pamiętał jej jako dziewczynki, więc nie wiedział, czy zawsze była taka powolna i zafrasowana. Jej twarz miała posępną powagę czaszki. Wpatrując się w swoje długie cienkie palce powiedziała: — Moja kuzynka Junie, która miała te wszystkie kłopoty, o których ci mówiłam...

— Ta, która uciekła z barmanem — wtrąciła Betty.

— Nie z barmanem, on nie był barmanem — wyjaśniła cierpliwie żona Wreszina. Betty w wieku lat czternastu była okrągłejsza i wyższa od matki. Miała kocią twarz, śmiała się często i potrafiła spowodować powolny, niemal ukradkowy gniew matki, znacznie gorszy od wybuchu gwałtownej złości.

— No więc, przed paroma miesiącami urodziła następne dziecko, a miała już wtedy dziewczynkę Ruthie i chłopca, jak mu tam... I znalazła miejsce dla tych dwojga, a sama chciała zatrzymać Ruthie, ale teraz nie może zatrzymać nawet Ruthie, bo musi przejść całą masę operacji. To jest straszne, naprawdę straszne dla Junie. A on też nigdy nie dał jej

żadnych pieniędzy, albo też to, co dał, poszło w całości na rachunki doktorów. Powiedziała...

— Co z tą dziewczynką? — spytał Wreszin. W tym okresie, żeby w ogóle porozmawiać z żoną, musiał podchwytywać przypadkowe fakty z jej monologu. Podobnie jak wiele znanych mu kobiet, nie tylko z jego własnej rodziny, miała tak puste życie, że autentyczne nowiny oszałamiały ją i nie wiedziała, jak o nich mówić.

— Dziewczynka, Ruthie, tak, ta dziewczynka — powiedziała pani Wreszin. Przerwała, wpatrując się we własny palec. — Powiedziałam jej, że to jedyne wyjście, żebyśmy ją wzięli na lato.

— Powiedziałas jej? Kiedy?

— Powiedziałam mojej ciotce, a ciotka powiedziała jej.

— My weźmiemy dziewczynkę do siebie?

— Tylko tę dziewczynkę Ruthie. Weźmiemy ją na lato.

Betty i pozostała dwójka dzieci wpatrywały się w ojca błyszczącymi oczami. Ostatnio widywały go tak rzadko, że był dla nich nowością, niby tresowany zwierz, którego można rozdrażnić poszturchiwaniem.

— Nie, tego nie możemy zrobić — powiedział, wypuszczając powoli powietrze.

— Mówiłam jej, że będzie nam ciężko i że ty możesz się nie zgodzić.

— I nie zgodziłem się.

— Ale ona nie ma się gdzie podziać, to jeszcze dziecko, ma chyba piętnaście lat...

— W tym wieku może iść do pracy. Co to u diabła znaczy? — wykrzyknął Wreszin, przenosząc wzrok z żony na dzieci, jakby ich wszystkich podejrzewał o spisek.

— Ona nie jest zbyt silna. Sama miała też kłopoty, przez jakiś czas chorowała... — powiedziała wolno pani Wreszin. Zrobiła pauzę. Kiedy znów zaczęła mówić, zmienił się ton jej głosu.

— To jest naprawdę kochane dziecko. Widziałam ją raz. Junie zabrała nas obydwie, i postawiła nam lody i wodę sodową w sklepiku, to było dwa lata temu, kiedy się z nią spotkałam i miała wtedy naprawdę duże kłopoty. Więc nie jest to dla mnie zupełnie obce dziecko.

— Nie mamy tu dla niej pokoju — powiedział Wreszin.

— Billy wyjechał i nieprędko wróci z marynarki — zaczęła nieśmiało pani Wreszin. — Myślałam, że mogłaby mi pomagać z przetworami. Nasza Betty nie chce sobie brudzić rąk.

— A jakże — wykrzyknęła urażona Betty. — Nawet dzisiaj ci pomagałam.

— Wiem, że byłoby naprawdę przyjemnie mieć ją w domu — powiedziała pani Wreszin, układając usta w sposób szczególnie przy słowie „przyjemnie”. — Oni nas proszą, żebyśmy pomogli Junie, ponieważ możemy sobie na to pozwolić. Nie chciałabym, żeby myśleli, że jest inaczej.

Wreszin skończył kolację w milczeniu. Dzieci, trochę rozczarowane, odprężyły się. Pani Wreszin jadła nieśmiało, ramiona przygarbiła jej bierność typowa dla zwycięzców; za chwilę Wreszin wyjdzie ciężkim krokiem z domu, usiądzie na ganku i pograży się w rozmyślaniach, ale w końcu wyrazi zgodę.

Po jego wyjściu powiedziała: — Wasz ojciec ma naprawdę dobre serce. — Kierowała swoje słowa jakby w bok, do Betty, a jej głos był teraz twardszy i szybszy. — Pamiętajcie o tym, dzieci. Kiedy będziecie w ogóle o nas myśleć, pamiętajcie o tym, jak pomagaliśmy innym.

Ich dzieci, zbyt już obciążone innymi wspomnieniami, nie będą pamiętały niczego takiego. Betty uważała, że są po prostu głupcami i nie życzyła sobie w domu żadnej rówieśniczki; dwoje najmłodszych dzieci, chłopiec i dziewczynka, czuło pewne zaniepokojenie na myśl o przyjeździe kogoś obcego. Wychowane były w przeświadczeniu, że ich życie toczy się w jakiejś stale zmniejszającej się kałuży. Właściwie nikt im

nigdy tego nie powiedział, w rzeczywistości Wreszin starał się usilnie przekonać je, że wszystko jest jak najlepiej, ale zdawały sobie sprawę, że kałuża się kurczy i pewnego dnia mogą zatonać w powietrzu, na co nie były jeszcze przygotowane. W obecności dorosłych zachowywały się poważnie i spokojnie niczym dorośli w miniaturze, jak gdyby rozumiały, że to właśnie dorośli są wszystkiemu winni.

— W każdym razie nie dostanie mojego pokoju — oświadczyła Betty.

— Ludzie powinni czynić dobro innym — powiedziała pani Wreszin. Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Córka obserwowała ją ponuro, zdając sobie doskonale sprawę, że żadna minuta spędzona bezczynnie, kiedy matka pracuje, nie ujdzie jej bezkarnie, jednak dalej siedziała nieruchomo. „Dobro”, które czyniła pani Wreszin, stanowiło zawsze broń zagrażającą jej rodzinie i zdawała się wiedzieć, że może ich tym trzymać w szachu.

— Nie dostanie mojego pokoju — powtórzyła Betty.

— Owszem, ty możesz się przenieść do pokoju Billy'ego. Ona zostanie tylko przez lato i chciałabym, żeby myślała o nas jak najlepiej.

— Do pokoju Billy'ego?

— Tak, do jego pokoju. Tylko na lato — powiedziała spokojnie pani Wreszin. Zdawała się ugiąć pod niewidzialnym ciężarem, znacznie większym od tego, jaki narzucała komukolwiek. Musiała mieć świadomość, iż Betty przygląda się jej z niedowierzaniem, nie patrzyła więc na nią.

Później tego wieczoru Wreszin powiedział do żony: — Jeżeli nie ma się gdzie podziać, no to zgoda.

Pani Wreszin uśmiechnęła się tym swoim lekko przebiegłym, zmęczonym uśmiechem. — A więc może zamieszkać w pokoju Betty. Nie chcę, żeby mówili, jaki u nas bałagan. To będzie dla mnie dużo więcej roboty, ale trudno. Jedno

dziecko więcej nie robi takiej różnicy, jeżeli można sobie na to pozwolić.

- A co będzie, jeśli Billy przyjedzie na urlop?
- Billy nieprędko przyjedzie.

Betty, której się zdawało, że nienawidzi matki i że boi się ojca, klóciła się tylko o drobiazgi. Im bardziej błaha sprawa, tym większą pasję wkładała w spór, ale w kwestiach istotnych zachowywała się z nieśmiałością, czuła się pokonana spokojnym, zaaferowanym uporem matki. Ustąpiła więc w sprawie pokoju, tak jak ustąpiłaby we wszystkich ważnych sprawach. Jej brat Billy, który w wieku lat osiemnastu zrezygnował z szukania pracy — a przez rok próbował wszędzie, nawet w odległości 20 mil od domu — i wstąpił do marynarki, także zawsze ustępował, ale za każdym razem stawał się coraz bardziej brutalny wobec innych, był więc czas, żeby wyjechał. Młodsze dzieci — jedno ośmio-, drugie jedenastoletnie były bardzo do siebie podobne, zbyt małe jak na swoje lata — nie miały nic z odwagi starszych, jakby poddały się już z góry. Betty wyczuwała, iż ojciec stopniowo również czemuś się poddawał, może nie matce, ale czemuś innemu, co w każdym razie bardzo przypominało matkę.

Wreszın mógłby zdać sobie sprawę z pewnej wspólnoty ze swą starszą córką, gdyby w ogóle zwracał na nią uwagę, ale nigdy o tym nawet nie pomyślał. Dzieci stanowiły pewnego rodzaju obciążenie, trzeba było się nimi opiekować, ale nigdy nie myślał o nich jako o samoistnych osobach. W jego świecie było zawsze za dużo dzieci, braci i sióstr, kuzynów, niemowląt, dzieci sąsiadów. Stanowiły część pejzażu. Trzeba było się nimi zajmować, troszczyć się o nie, ale nie zwracało się na nie specjalnej uwagi, dopóki nie zrobiły niczego złego. Wreszın myślał o dziewczynce, która miała z nimi zamieszkać, jak o kolejnym dziecku. Zazwyczaj wszystko poza własnym domem było dla niego nieprzyjemne, ale Rut będzie po

prostu jeszcze jednym dzieckiem. Stał obok frontowego ganku, patrząc przez zachwaszczone podwórze na senne bagno otulone wieczorną mgłą (frontowych drzwi i prowadzącej do nich ścieżki nigdy nie używano), i widok ten sprawił mu pewną satysfakcję. Bagno śmierdziało i było paskudne, ale nie zmieniało się od lat.

Pewnego dnia po pracy przy wyjeździe z parkingu Wreszin skręcił w lewo zamiast w prawo i pojechał do miasta na stację autobusów. Przy stacji stali ludzie. Wreszin przyjrzał się im podejrzliwie i nagle spośród stojących wyłoniła się młoda dziewczyna. To ona, pomyślał. Wyglądała na nieśmiałą, jakby pogrążoną w marzeniach, nie przypominała w niczym innych kobiet z rodziny jego żony. Miała czarne i miękkie włosy, ale ostrzyżone były tak krótko, że jej twarz wydawała się chuda. Wreszin wychylił się przez okno i próbował się uśmiechnąć. Dziewczyna patrzyła na niego.

— Ty jesteś Rut, prawda? — zapytał. — Chodź, wsiadaj.

Mógł jej pomóc włożyć walizkę, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobił, wydawało mu się, że czuje słabość w kolanach. Usiłował zachowywać się szorstko wobec kobiet i unikał patrzenia im w oczy.

Dziewczyna miała olbrzymią walizę, która przy każdym niemal kroku ocierała się o ziemię. Był to powiązany rzemieńmi, dziwnie wyglądający przedmiot z taniej imitacji skóry, poobcierany i odbarwiony po bokach. Musiała to być kiedyś męska walizka.

W drodze do domu zastanawiał się, co jej powiedzieć, ale postanowił nic nie mówić. Mówienie może zostawić żonie. Sam fakt, że dziewczynka siedziała obok niego, wprawiał go w zdenerwowanie. Miała ręce złożone na podolku i nieruchomą twarz. Wydawała się nieszczęśliwa. W pewnym momencie, kiedy byli już poza miastem, nawiedziła go nagle

dziwna myśl: a gdyby tak zatrzymał samochód, kazał jej wysiąść i odjechał, kto by o tym wiedział? Gdyby tak umarła gdzieś tu w polu, któż by się o tym dowiedział? Rzucił na nią ukradkowe spojrzenie, jakby w obawie, że ona wie, o czym właśnie myślał, ale siedziała tak samo jak na początku, jej blada twarz nic nie wyrażała, ciemne oczy były spokojne, tajemnicze, a ręce spoczywały bezwolnie na brzuchu. Miała na sobie żółtą bawełnianą sukienkę. Nigdy nie odgadłby jej wieku. Przypominała owe dziwne, przestraszone i wyniosłe dziewczyny, które widywał czasami idące poboczem szosy, przychodziły znikąd i zmierzały donikąd, nigdy nie można było odgadnąć ich wieku. Kim były? Bezpieczniej nie pytać.

Kiedy już dojeżdżali do domu, dziewczyna zaczęła cichutko płakać. Odwróciła się od Wreszina, ale nie zakryła twarzy rękami. Płakała tak, jakby była do tego przyzwyczajona.

— Będzie ci tu dobrze — powiedział Wreszin zaskoczony i zniecierpliwiony. — Ona zajmie się tobą naprawdę serdecznie.

Dziewczyna nie przestawała płakać.

— Myślisz o matce? — spytał Wreszin.

Dziewczyna patrzyła na bagna. Zmysły Wreszina wyostrzyła obecność dziewczyny, po raz pierwszy od lat naprawdę poczuł odór bagna, przywykł już go nie zauważać.

— Moje dziecko, to moje dziecko umarło — powiedziała.

Wreszin poczuł, że coś poruszyło, się w jego szczęce, mięsień czy nerw. Spojrzał na dziewczynę i zobaczył ją jakoś inaczej: była pochylona w przód, pełna napięcia i delikatna, ale jakby odwrócona od czegoś, czego nie chciała widzieć.

Był taki moment, kiedy mógł coś powiedzieć, ale go nie wykorzystał. Teraz lepiej udawać, że w ogóle nie słyszał. W obecności kobiet gadatliwych, do jakich mężczyźni typu

Wreszina byli przyzwyczajeni, stawali się milczący i znudzeni, w obecności kobiet w rodzaju Rut, która mówiła tak niewiele, tracili wszelkie standardy postępowania i nie wiedzieli, jak się zachować. Jej słowa zdziwiły go, ale nie odczuwał potrzeby potwierdzenia, że je słyszał. Dziewczyna była niewinna, a to czyniło niewinnym także jego.

— Zajmiemy się tobą serdecznie — powiedział takim samym tonem jak poprzednio. Jak gdyby dziewczyna nie wyznała niczego niezwykłego.

Obecność Rut odmieniła dom. Wszyscy to odczuwali, ale nikt nie potrafiłby tego wyjaśnić; z całej rodziny jedynie Betty miała tendencje do „myślenia” i wyjaśniania rzeczy, ale nikt jej nie słuchał. Dziewczyna była zawsze spokojna. Wydawało im się to wyrefinowaniem, mogło być jednak wynikiem głupoty. Nie byli przyzwyczajeni do ludzi spokojnych. Rut miała dziwnie bladą twarz, a pod ogromnymi oczami cienie, które czasami wyglądały jak plamy brudu; miała zwyczaj wpatrywać się w podłogę, poruszała się cicho i zręcznie pomiędzy nimi i wykonywała liczne prace. Pani Wreszin z przepraszającym wyrazem twarzy wynajdywała dla niej zajęcia, żeby „zarobiła na utrzymanie”, co było nowym wyrażeniem w ustach pani Wreszin.

Betty pracowała przez część dnia w wielkim stoisku z owocami kilka mil od domu, więc wiele popołudni pani Wreszin i Rut spędzały same. Dzieci bawiły się przed domem i nie sprawiały im kłopotu, onieśmiałą je obecność Rut. Pani Wreszin zachęcała czasami Rut do przerywania pracy, siadały razem i zjadały coś na „przekąskę”, kolejne nowe wyrażenie pani Wreszin, które wypowiadała tak lekko, zwyczajnie i niedbale, jakby zawsze stanowiło część jej zasobu słów. Jadły razem, i to było ważne. Pani Wreszin czuła, że mogłaby zapytać dziewczynę o wiele rzeczy: o matkę, o

mężczyzn, których matka знаła, o krewnych. W czasie jedzenia przyglądała się poważnej twarzy Rut.

— Tak, tak, życie w końcu dopadnie wszystkich — konkludowała zwykle ze smutkiem po jakiejś rewelacji Rut, a następnie obydwie milkły, jakby próbując usłyszeć życie, dopadające każdą z nich.

— Ale twoja matka jest autentycznie silną i zdrową kobietą, naprawdę miłą, wróci do zdrowia i będzie jak nowa, zobaczysz. Tylko szpitali to ja nienawidzę.

— Ja też ich nienawidzę — powiedziała dziewczyna, podnosząc głowę ze zdziwieniem.

— A jego nie ma, co? Po prostu poszedł i zostawił ją? — zapytała pani Wreszin, zatrzymując łyżkę w drodze do ust.

— Zawsze tak robią — powiedziała pokornie Rut.

Pani Wreszin lubiła ją, ponieważ dziewczyna była taka spokojna i uległa. Betty zwykle ustępowała, ale nie robiła tego tak, jakby sobie życzyła pani Wreszin — okrągła, skwaszona buzia Betty wyjawiała jej prawdziwe myśli. Tymczasem Rut nie myślała o niczym. Pracowała, aż na jej twarzy pojawiały się kropelki potu, a włosy stawały się wilgotne, ale nie myślała o niczym.

— Kochanie — mówiła pani Wreszin — tutaj masz wstążkę do przewiązania włosów. W ten sposób będzie ci chłodniej. — Pani Wreszin podobały się włosy Rut i nie upłynęły dwa tygodnie, jak zaczęła je szczotkować, włosów Betty nie szczotkowała od czasu, gdy Betty miała sześć lat. Robiła to wczesnym rankiem, kiedy jeszcze nie było gorąco, w sypialni, gdzie sypiali państwo Wreszin. Rut siedziała przed „toaletką” — dwiema skrzynkami po pomarańczach z blatem z deski przykrytym tanim materiałem w kwiatki, wykończonym falbanką, nad którymi dominowało okrągłe lustro w krzykliwej ramie — a pani Wreszin stała za nią i obserwowała w lustrze jej twarz.

— Ja sama miałam naprawdę ładne długie włosy — mówiła pani Wreszin. — Jeśli myślisz, że Betty jest do mnie podobna, to się mylisz. Betty nie jest podobna do nikogo w domu.

Czasami pani Wreszin i dziewczyna łuskały suchą kukurydzą na pokarm dla kurcząt, obrabiając dłońmi kaczany. Ręce pani Wreszin pełne były odcisków, toteż w trakcie łuskania, które nie sprawiało jej najmniejszej przykrości, mogła spokojnie gawędzić; ręce Rut były delikatne i czasami krwawiły.

— Biegnij i wsadź je pod zimną wodę — rozkazywała pani Wreszin. Ilekroć któreś z jej dzieci się skaleczyło, stawała się szorstka, jakby zmieszana i zawstydzona czymś bólem. — Nie chcemy żadnego zakażenia.

— Nie szkodzi — odpowiadała Rut. — To nie boli.

Obydwie kobiety siedziały na stopniu jednego ze starych samochodów Wreszina, zaparkowanych na wieki na podwórzu za domem. Łuskały kukurydzą do kosza. Kilka kurcząt dziobało piach dokoła i tarzało się w ziemi, jeden z kotów wygrzewał się na słońcu, położył się na grzbiecie, pokazując brzuch.

Rut rozejrzała się dokoła i jej wzrok zatrzymał się w końcu na pani Wreszin, która się w nią wpatrywała.

— Jednak krwawi, więc chyba boli? — pytała pani Wreszin, niechętnie poddając się współczuciu.

— Nie przeszkadza mi krew — powiedziała Rut. Trzymała w ręku na pół wyluskany, skurczony kaczan kukurydzy, trochę poplamiony krwią. Powoli rozglądała się po podwórzu. Jej oczy rejestrowały wszystko. Pani Wreszin, która czasami w jej obecności czuła się nieswojo i doznawała dziwnego podniecenia, także rozejrzała się wokół, usiłując dostrzec to, co zobaczyła dziewczyna. Wydawało jej się, że widzi to stare podwórze jakoś inaczej — skąd to się brało? Podwórze skąpane było w słońcu i nawet najmniej interesujący, najbardziej pusty kąt nabierał niezwykłego, urodziwego

wyglądu, grzebiące w ziemi kurczęta prezentowały się wprawdzie dość nędznie, ale i one dostarczały oczom pewnej przyjemności. Miały przeważnie ciemnobrązowe upierzenie. Dzieci założyły im na łapy kolorowe obrączki, czerwone, żółte i zielone plastikowe kółka, które dostały w sklepie z karmą i dzięki tym obrączkom kurczęta zdawały się naśladować istoty ludzkie.

— Wszyscy tu macie ogrody. Prawdziwe ładne ogrody — zauważyła Rut.

— A tak, mamy — odparła natychmiast z sarkazmem pani Wreszin. Ale nie był to sarkazm zamierzony. Siedziała oparta o ciepłe drzwiczki samochodu i rozglądała się wokół. Kiedy patrzyło się przez okno z tyłu domu na starą budę, w której dawniej trzymano świnie, i na szopy — rozpadające się, rozmoczone deszczem, zarośnięte chwastami — wyglądały zupełnie inaczej. Ale stąd, gdzie wszystko w takim spokoju roztaczało się przed oczami, jakby we śnie, budynki pokryte dachami i plamy kwitnących na niebiesko chwastów, a nawet postrzępione kwiaty mleczy przekształcone już w nasiona sprawiały zupełnie inne wrażenie. Tutaj wszystko pogrążone było w spokoju, nie budziło chęci sporów. Pani Wreszin nagle drgnęła, a czoło jej zmarszczyło się jakby w bólu zadumy, choć w rzeczywistości nie przyszła jej do głowy w ogóle żadna myśl.

— A tak, mamy, mamy. Prawdziwy ogród — wymamrotała.

Odczuła jednak coś niezwykłego i przyjemnego, ona, która czuła zazwyczaj tak niewiele, i w jakiś sposób własna córka Betty przestała ją tak bardzo martwić. W końcu całe to jej pyskowanie i te zimne oczy nie były takie ważne, pani Wreszin nie musi wszak zwracać na nią aż tak wielkiej uwagi. Zorientowała się, że obserwuje Rut, która jest taka ładna, ładna urodą, na której rozpoznanie tutejsi ludzie byli zbyt głupi; nie taka duża i krzykliwe wymalowana jak większość

wiejskich dziewczyn — pomyślała surowo pani Wreszin — ale ładna na swój własny, niepowtarzalny sposób.

— Gdyby Betty miała choć połowę tej urody — szeptała do siebie i wdychała.

Kiedy nie miała nic innego do roboty, rozmyślała o przyszłości Rut: ta ładna buzia musi jej zdobyć kogoś przyjemnego. Mężczyźni, którzy mają wykształcenie i pieniądze, szukają spokojnych delikatnych dziewczyn. Pani Wreszin usiłowała przypomnieć sobie siebie samą przed ślubem, ale nie potrafiła. Dotyczyło to szarej otulonej zmierzchem epoki, zaciemnionej przez jej własną ignorancję, w owych dniach nie myślała wystarczająco dużo, żeby cokolwiek zapamiętać. Nie zdawała sobie sprawy, jak szybko upłyną lata. Lubiła jednak wyobrazić sobie, że była taka jak Rut.

Zamiast drzemać po kolacji Wreszin zaczął chodzić na spacer. Jeżeli robił dokładnie to, co robili jego ojciec i dziadek, po prostu „spacerując” po polach jak mieszkaniec miasta, bez powodu, to nie myślał o tym w taki sposób. Lubił patrzeć na wszystko wokół i to wystarczało. Gdyby rzeczywiście widział pola i zauważył, że leżą odłogiem, musiałyby się zdenerwować, ale on dostrzegał jedynie ich istnienie. Jego ojciec doznałby szoku na widok tych opuszczonych pól — wydanych chwastom, ostom z żółtymi i niebieskimi kwiatami, niewielkim dzikim drzewkom, które, choć marne, pchały się uparcie do góry — na widok zawałających się budynków gospodarczych, które dziś sprawiały wrażenie, że nikt się nigdy o nie nie troszczył. Wreszin jednak patrzył na nie, nie zastanawiając się nad tym, jakie było ich pierwotne przeznaczenie. Jego oczy notowały je jako kształty i kolory i coś w nim nieśmiało reagowało na ich piękno.

Być może działo się tak z powodu Rut. Zazwyczaj spacerowała razem z nim i przejął od niej pewien rodzaj naiwności, nie zdając sobie z tego zupełnie sprawy. Dwójka dzieci i

stary pies collie często dotrzymywały im towarzystwa, biegając i bawiąc się, ale tak naprawdę istnieli tylko Wreszin i dziewczyna. Lubił ją, ponieważ nigdy się na nic nie skarżyła, nie było w niej nawet śladu niezadowolenia. Przy kolacji — tak jak od lat — krępował go wzrok każdego członka rodziny, prócz Rut. Wszyscy o czymś myśleli i za każde z nich, z wyjątkiem Rut, ponosił odpowiedzialność. Rut zawsze siedziała w tej samej pozycji: pochylone plecy, delikatne ramiona wyprostowane. Wszystkie potrawy przyjmowała jak wspaniałe dary. Myślał, że żadne z jego dzieci nie było tak dobre jak ona. To, co mu powiedziała w samochodzie pierwszego dnia, musiało być pomyłką, tak czy inaczej on sam nigdy o tym nie myślał. Była dobrym dzieckiem, mógł to stwierdzić, patrząc na jej twarz¹. Była niewinna. Czasami przyglądał się jej w czasie jedzenia i miał wrażenie, że wszystko to się już kiedyś zdarzyło, jej twarz po przeciwnej stronie stołu, nieco na skos od niego, te opuszczone, posłuszne oczy, delikatne usta. Twarz Betty była toporna i obok twarzy Rut wybijała się jak karykatura. Kiedy upłynął już niemal miesiąc od chwili, gdy Rut zamieszkała z nimi, Betty zaczęła się dziwnie zachowywać, stała się dziecinna i natarczywa, zbyt często przewracała oczami. Wreszin nie potrafił tego zrozumieć.

— Dlaczego nie zachowujesz się tak spokojnie i miło jak Rut? — mawiała pani Wreszin do córki; bez względu na to, czy działo się to w obecności Rut wyciągano ją zawsze jak szmacianą lalkę, którą potrząsano przed nosem Betty. Wreszin nie przejmował się dziećmi, ponieważ żona nigdy nie dopuszczała do tego, by mogły naprawdę zakłócić mu spokój, ale nie podobały mu się wyskoki córki.

— Można by się spodziewać, że będzie się uczyła od Rut — skarżyła się pani Wreszin. — Rut jest z miasta i ma lepsze

maniery. Można by przypuszczać, że Betty się czegoś nauczy, prawda?

Już po tygodniu wróciło do Betty dawne zajęcie: pomaganie matce w zmywaniu po kolacji. Rut, która pracowała przez cały dzień, mogła po kolacji pójść „pospacerować”. Pani Wreszin podobała się idea „spacerowania”, jakby stanowiło ono „pozostałość wyrafinowanego stylu życia w mieście, o którym miała wystarczające pojęcie, by zapewnić je córce kuzynki. Wiedziała doskonale, że owa kuzynka i Rut, jedno z jej licznych nieślubnych dzieci, mieszkały w brzydkiej czynszowej kamienicy, gdzie lokatorzy wyrzucali śmieci przez okno, ale nie pozwalała, by ta świadomość zamącała jej wyobrażenie o życiu w mieście, którym bezustannie dręczyła Betty.

— Dziewczęta w mieście są grzeczne — mawiała w rzewnym rozmarzeniu. — Nigdy nie ośmieliłyby się jeździć autostopem jak te dziewczuchy Kramerów, a gdyby tak ciebie ojciec na tym złapał... Są też ładniejsze. Wystarczy spojrzeć na Rut, by od razu powiedzieć, że pochodzi z miasta.

— Chciałabym, żeby Rut umarła — odpowiadała Betty, robiąc brutalne miny do zmywanych właśnie talerzy.

Ale w owych dniach żadnym odezwaniem nie potrafiła zdenerwować matki. Betty odczuwała rodzaj desperacji, ale cóż mogła na to poradzić? Matka myślała tylko o Rut. Nie zwracała na Betty wystarczającej uwagi, żeby się na nią obrazić. Betty leżała na łóżku pod pochyłym dachem w dawnym pokoju Billy'ego na stryszku i gorzko płakała. Płacz był dla niej czynnością brutalną, szlochanie stanowiło rodzaj kary. Na jej czole formowały się cieniutkie linie zrodzone ze zmartwienia. Dlaczego się martwiła? Robiła to przez całe swoje życie, ale dopiero teraz powód owych zmartwień nabral sensu. Obawiała się Rut.

— Boję się jej — miała ochotę wyszeptać do matki, ale czy w ogóle można było rozmawiać z panią Wreszin?

— Boję się — chciała powiedzieć ojcu, ale nigdy tego nie zrobiła. Do ojca nikt właściwie nic nie mówił.

W rzeczywistości on także nie rozmawiał z nikim oprócz kilku znajomych mężczyzn, którzy spotykali się w oddalonym o kilka mil barze. Oprócz tych mężczyzn i Rut.

Co wieczór po kolacji, jeżeli nie padało, wychodził na spacer, jakby nie mógł wytrzymać w domu. Nienawidził swojej pracy w fabryce, ponieważ oznaczała zamknięcie, ograniczenie, a ostatnio zaczynał nienawidzić wszystkiego, co trzymało go w zamknięciu. — Ta kuchnia jest za duszna, śmierdzi od tego robienia przetworów — skarżył się Rut. Chętnie sypiałby na zewnątrz. Gdyby się nagle obudził, mógłby patrzeć prosto w niebo zamiast na sufit.

Zazwyczaj Rut szła obok niego, ze wszystkiego zadowolona. Jej zadowolenie było jednak powściągliwe i milczące. Lubiła kwiaty, ale nigdy ich nie zrywała, podobały jej się gruszki na drzewie, ale nigdy nie chciała ich jeść.

— Och, nie, to do zerwania na później — mawiała zaskoczona, rumieniąc się z lekka, kiedy Wreszin namawiał ją do zerwania prawie zupełnie dojrzałej gruszki.

Często przystawali na jednym ze wzgórz za domem i patrzyli na grzęzawisko. Na horyzoncie bagno przechodziło w gęstą mgłę, która zawsze pozostawała na miejscu, nie przenikało przez nią nawet światło słońca.

— To jest prawie ładne — powiedziała Rut.

Wreszin skinął głową.

— Wygląda, jakby były tam duchy — powiedziała miękko.

— Nie ma żadnych duchów — oświadczył Wreszin.

Spacerował z rękami w kieszeniach, czasami żuł część cygara, naśladując w tym nieświadomie ojca. Stał twardo, ciężko, czuł, jak jego stopy zapadają się w ziemię. Musiał

nosić grube buty, które go uwierały, ale już raz w fabryce upuścił na nogę narzędzie i zmiażdżył sobie mały palec. Wciągał olbrzymie odorujące hausty słodkawego powietrza, czasami stał na polu i wchłaniał powietrze, jakby chciał się w nim zatopić. Jego twarz przybierała wyraz skupionego, niemal przerażonego zatroskania, nie pozwoliłby sobie na to w obecności nikogo prócz Rut. Kiedy spędziła już u nich prawie dwa miesiące, zaczął nawet do niej mówić. Był właśnie sierpień i słońce zachodziło każdego wieczora z mosiężno-złotym żarem, nadając najbrzydszej nawet budowli zaskakującego, połyskliwego blasku, sprawiając, że monotonia pól nabierała dziwnej jakości, przypominała pola namalowane na obrazie.

— Z taką matką jak ty masz, to zrozumiesz — mówił. — Nic nigdy nie stoi w miejscu, zawsze cię dopadnie. Tutaj też tak jest. Moja żona tego nie wie, ani moje dzieci, ale ja wiem. To mój ciężar. Nic nigdy nie stoi w miejscu, tak jak na tych jazdach na jarmarku, podłoga zaczyna ruszać się pod tobą i o mało nie upadniesz. Rozumiesz, co mam na myśli, przecież twoja matka ciągle ma te kłopoty, no i jesteście wyrzucane z różnych miejsc.

Oczywiście, że rozumiała, co on ma na myśli. Czuł, że rozumiała go całkowicie. Skoro tylko znaleźli się dość daleko od domu, zaczęli iść bardzo powoli, nie spiesząc się, by gdziekolwiek dojść. W lesie sowy wydawały swoje wątle rozpaczliwe okrzyki, gdzieś, w pewnej odległości za nimi, szczekał collie. Wreszcie nigdy nie czuł się zmieszany w obecności dziewczyny. Opowiadał jej o farmie, o tym jak spadły ceny, ludzie się wynieśli, o fabryce i innych mężczyznach, o swoim synu Billym... o wszystkich rzeczach, o które spierał się ze swoją żoną, a ona zawsze miała jakąś odpowiedź. Czasami mówił z goryczą i złością. Wierzył, że on i ludzie jemu podobni padli ofiarą jakiegoś „oszustwa”, ale nie wiedział, co by to miało być.

— My jesteśmy po prostu głupie durnie. Ludzie tacy jak my — mówił. — Nigdy nie wiemy, co nas trafiło, nawet już po fakcie. I tak to jest.

Ciągle na nowo omawiał z Rut interesujący problem tego, że czuje się nieszczęśliwy. Nikt z ludzi, których znał, nie zastanawiał się nigdy nad tym, czy jest nieszczęśliwy, było to coś, o czym nikt nawet nie myślał. Nie potrafił powiedzieć, kiedy on sam zaczął myśleć o tym po raz pierwszy, o tym stanie bycia nieszczęśliwym, jakby istniały inne możliwe stany. — Robota w mieście przynosi więcej niż dawała farma — mówił wolno — ale mimo to... coś jest nie tak. To nie samo co farma.

Dziewczyna milczała owym słodkim potulnym milczeniem ulubionego zwierzęcia, może niezupełnie dorosłego kota. Jeśli Wreszin wykonał jakiś gniewny gest, ścinając czubki chwastów, patrzyła na niego z przerażeniem. Nie była głupia ani bezmyślna, Wreszin wiedział o tym. Lubił uroczy-
stą nieruchomość jej szyi, „wystawionej na jego spojrzenie; lubił sposób, w jaki dziewczyna obracała się czasami, by zobaczyć, gdzie ukrywa się ptak; jej nogi pozostawały nieruchome, ruszała się jedynie górna połowa ciała, talia stawała się nagle bardzo cienka, żebra powyżej rysowały się delikatnie pod napiętą suknią, ramiona zamierały w dziecinnym geście, kiedy przysłuchiwała się śpiewowi ptaka.

Jej matka umarła w sierpniu.

Wreszin był zaniepokojony. Czy powinien odczuwać li-
tość? Po tym wydarzeniu ich spacerowały się nieco bardziej krępujące, ale była to jego wina. Pani Wreszin wysłała ich na spacer, wcześniej zawiozła Rut i Betty do miasta, żeby kupić im ubrania. Wreszin i jego żona czuli się zaalarmowani każdą śmiercią, skłaniała ich do szorstkości, oznaczała bowiem „kłopoty”. Kiedy, przyjdzie pora, będą oboje nienawidzić własnej śmierci, spodziewając się, że każde z nich w ten

sposób zareaguje na śmierć drugiego, nie widzieli więc powodu, dlaczego nie mieliby nienawidzić śmierci innych, śmierć była kłopotliwa, nudna i kosztowna.

Jednak uczucia Wreszina wobec Rut były odmienne. Kiedy wróciła z panią Wreszin z pogrzebu, czuł się niemal oniesmielony w jej obecności. Zwracał się do niej niezręcznie, jakby mówił do zwierzęcia, próbując przypadkiem utrafić w odpowiedni ton.

— Nikt nie powinien żałować umarłych — powiedział. Rut spojrzała na niego, jak gdyby mu wierzyła. Wreszin poczuł wdzięczność.

Pewnego wieczoru, w porze zachodu słońca coś skłoniło go do mówienia w sposób dziki, nieskoordynowany. Na początku mówił nawet dość spokojnie, ale nagle coś się stało i wyciągnął ręce z kieszeni, jakby szykując się do ataku.

— No więc była dziwka, i co z tego? Ty ją pewnie kochałaś. Gniła od środka i to ją zabiło. Kiedyś nienawidziłbym i jej, i ciebie, ale nie teraz. Teraz nie czuję nienawiści do nikogo. — Spojrzał na nią. — Wszyscy jesteśmy tacy sami. Twoja matka i ja, i moja żona, i Billy, i mój ojciec, który nie żyje, wszyscy tacy sami. Pracował jak cholera dla nas dzieciaków i wyrosliśmy na dużych i silnych i dostały nam się wszystkie jego kłopoty, te same przekłete sprawy, o które martwił się całe swoje życie. Teraz to widzę. I moje dzieciaki, które chciałem uchronić od niebezpieczeństwa, dostaną te wszystkie rzeczy ode mnie. Te sprawy się zawsze przekazuje, zmartwienia i choroby, i obserwowanie, jak wszystko upada, i na końcu umieranie. Mamy dzieci po to, żeby im to wszystko przekazać. Jakby nowe ciała, w które możemy wejść.

Dziewczyna podniosła rękę do twarzy, jakby nie mogła znieść tego, co on przed chwilą powiedział.

— To prawda. To jest prawda — powtórzył skonsternowany. — Dlatego właśnie nie mogę już nikogo dłużej

nienawidzić. Bo wszyscy jesteście tacy sami. — Usłyszał tę nową nutę w swoim głosie, ów dziecinny, niepewny przestach i zaczął się zastanawiać, czy się za chwilę nie rozplącze. Nie płakał od czasów dzieciństwa.

Rut zdawała się odżegnywać od jego cierpienia. Cofnęła się z na wpeł przymkniętymi oczami i szukała czegoś po omacku za sobą jedną ręką, jakby spodziewając się, że ziemia podniesie się w sposób cudowny. — Chciałabym, żeby wszystko nie umierało — wyszeptła. — Żeby nie musiało umierać...

Położyła się na ziemi. Trawa w niektórych miejscach była wilgotna, w innych sucha, ale wszędzie dokoła Rut wyglądała nędznie, nierealnie, niematerialnie, w przeciwieństwie do ożywionej twarzy dziewczyny i jej ciemnych włosów. Serce Wreszina biło tak mocno, iż wydawało się, że wprawia powietrze w drgania. Wpatrywał się w Rut. Otworzyła powoli oczy, jakby wracając do życia. — Jaka szkoda, że umarło. Przykro mi ze względu na ciebie — powiedziała swoim spokojnym, słodkim głosikiem, wyciągając ramiona w jego stronę.

Wreszin kochał się z nią i w jej ramionach nawiedził go cały tłum wspomnień: jego żona jako dziewczyna, on sam jako młody człowiek, kręcący się kalejdoskop słońc, księżyców i drzew. Krew pulsowała mu jak nigdy od wielu już lat i nie mógł myśleć o niczym prócz obrazów z przeszłości, które wystrzelały w jego tonącym mózgu; o rzeczach, które kiedyś widział, których dotykał, które wahał. Zapłakał. Jego łzy upadły na jej nagą skórę i wycierał je swoją twarzą, skomlać i jęcząc.

— Kocham cię — powiedział. Te słowa, których nie wypowiedział od tak dawna, przyprawiły go o zawrót głowy. Kojarzyły się z takimi samymi słowami sprzed lat i to echo dzwoniło w jego mózgu. — Czy jesteś szczęśliwa? — pytał rozpaczliwie. — Czy jest ci dobrze?

— Jestem szczęśliwa — powiedziała. Jej oczy były niewyraźne i przestraszone, jakby nie miały pojęcia, co te słowa znaczą.

Potem już zawsze był dla niej czuły. W czasie posiłków, w domu — podejrzanie czuły. Pani Wreszin, w której zmrużonych oczach kryła się podejrzliwość i podniecenie, sama nie mogła zrozumieć, dlaczego więcej niż kiedykolwiek poświęca teraz czasu włosom Rut, ani też dlaczego rozplakała się kiedyś, trzymając rękę dziewczyny. Nie była nieszczęśliwa, ale płakała. Nie była nieszczęśliwa, ale w jakiś dziwny sposób widziała siebie samą jako ducha towarzyszącego Rut; dziewczyna miała smukłe, zręczne dłonie, teraz już chronione przez stwardnienia skóry, a kiedy siedząc na tylnym ganku śpiewała kotom, pani Wreszin nie mogła oderwać od niej wzroku. To były jej ręce, tak, ale głos był głosem kogoś obcego, kogoś z twarzą, która powinna należeć do któregoś z dzieci pani Wreszin.

Pewnego wieczoru pani Wreszin wydobyla stare pudełko po cukierkach wypełnione fotografiami, żeby je wszystkim pokazać. Nawet Wreszin okazał zaciekawienie. Śmiał się z niektórych zdjęć, wskazując na nie zaplamionym nikotyną palcem. — Całkiem przystojny w tamtych czasach, co? — mówił uśmiechając się do żony. Rut oglądała zdjęcia z wielkim zainteresowaniem. Obydwie z Betty siedziały na kanapie, od czasu do czasu Betty zanosila się od śmiechu lub wykrzywiła ze złości, wrywając z rąk Rut jakąś fotografię, by ją ukryć, ale Rut zdawała się nie dostrzegać jej nerwowego zachowania. Wszyscy obserwowali twarz Rut oglądającej zdjęcia, jakby oczekiwali, że coś im powie.

— Kto to jest? Wygląda zupełnie jak ty — powiedziała Rut, pokazując jedną z fotografii pani Wreszin.

— Moja babka. To jest naprawdę stare zdjęcie — powiedziała usprawiedliwiająco pani Wreszin, z jakiegoś powodu

ukrywając ręce na podołku. — Teraz już nie żyje...

Rui przez chwilę przyglądała się zdjęciu, a potem starannie je odłożyła. Obchodziła się delikatnie z każdą fotografią, jakby ci zagubieni, skazani, martwi ludzie ciągle jeszcze wrażliwi byli na ból.

Po jakimś czasie odstawiła pudełko, oparła się plecami o oparcie kanapy i zamknęła oczy. Nie mówiła nic. Wszyscy patrzyli na nią, nawet dzieci i Betty, a Wreszin zdał sobie sprawę, że ją kocha i nic nie może na to poradzić.

— To mnie napęlnia smutkiem — powiedziała wolno.

Wreszin drżącymi palcami zapalił papierosa i znowu wziął gazetę.

— Oj, wy kobiety z waszymi fotografiami... — powiedział.

— To nie był mój pomysł, to wcale nie moje zdjęcia — oznajmiła Betty. Postawiła obie nogi na podłodze mocno, jakby zeskoczyła z wysokości, a zrobiła to z rozdrażnieniem, które dla niej samej było niepojęte. Nikt nie zwrócił na to uwagi.

— Rut, jeżeli jesteś zmęczona, to dlaczego nie położysz się do łóżka? Możesz się położyć, a ja się zajmę dziećmi, żeby były spokojne — powiedziała troskliwie pani Wreszin. Wydawała się czekać, aż Wreszin podniesie głowę znad gazety, jak gdyby chcąc go z czułością napomnieć, choć w rzeczywistości nie zdawała sobie z tego sprawy, a on także nie ośmieszał się podnieść wzroku.

Wreszin żył w świecie pulsującym jego oczarowaniem dziewczyną, ale nie oceniał tej sytuacji. Czasami zostawali sami w domu, kiedy jego żona z dziećmi zanosila jajka specjalnym klientom, ale nigdy nie kochali się nigdzie indziej jak na wolnym powietrzu, na polu czy w lesie. Będąc z nią spoglądał czasami z drżeniem na swój dom i widział go z przerażającą wyrazistością, nie tyle dom, ile swoją rodzinę

i siebie; jego życie przypominało staromodną fotografię zaginionego, pogrzebanego plemienia. Rut przejawiała wobec niego uczucia macierzyńskie, była czuła i delikatna, a jej uległość podniecała go tak bardzo, że nawet wtedy, kiedy zdawał sobie sprawę, że sprawia jej ból, nie mógł przestać. Jej niewytłumaczalne łzy zdawały się oczyszczać ich oboje. „Chciałabym, chciałabym”, szeptała, ale sama nie wiedziała, czego tak bardzo by chciała, Wreszin nie chciał niczego.

Wobec żony i dzieci zachowywał się jak lunatyk, był teraz dla nich lepszy, ponieważ jego wzrok nigdy naprawdę się na nich nie zatrzymywał, za to wracał do życia w obecności Rut, był młodym mężczyzną, był tak samo młody jak jego syn Billy. Przy niej nie zostawało z jego życia nic, prócz nagiego, twardego wnętrza, tego, co naprawdę było nim, a cała przypadkowa i brzydka reszta znikala jak poplamione ubranie, odrzucone z obrzydzeniem. Nie miał określonego wieku. Nie miał żadnej określonej pracy. Nie ożenił się z żadną konkretną kobietą. Nie mieszkał w żadnym konkretnym miejscu, w czasie czy przestrzeni, jego rodzicami nie były żadne konkretne osoby, nie myślał o niczym, niczego się nie spodziewał, ale podobnie jak Rut stanowił część owego świata ptaków i zwierząt z pulsującymi krtaniami, które kryły się w polach, stanowił część stałych poruszeń słońca i księżyca, należał do wszystkich i do nikogo.

Chciał ją zapytać, czy go kocha, wiedział bowiem, że coś kocha. Kiedy byli sami w domu, przyglądali się rzeczom, które Wreszin odziedziczył, i wyraźnie wyczuwał jej niepewną miłość do tych przedmiotów, czyż nie była to właśnie miłość do niego?

— Tutaj jest zupełnie jak w ogrodzie — mówiła szczęśliwa. Dokoła domu wszystko rosło w dzikiej bujności: krzaki bzu, czarny bez, krzewy, buldeneże, a od czasu do czasu także wierzby. Dalej rosły dęby, wiązy, drzewa bez nazwy, a

potem dopiero był sam ogród — ogród pani Wreszin przede wszystkim — gdzie rośliny rozpychały się teraz lubieżnie, skoro ich owoce już zostały zerwane, a piękne paprocie zachowywały się tak, jakby miały jeszcze mnóstwo czasu do nastania mrozów. Na tyłach domu w starym sadzie rosły grusze i pigwy, jabłonie i wiśnie, i nawet najstarsze drzewa, których kora była miękka i nadgniła, wyglądały pięknie. Wreszin widział wszystko jak człowiek pijany, i chował twarz wtulając ją w ciało Rut, ogarnięty wdzięcznością.

— Wszystko tu jest piękne jak ogród — powiedziała. — To jest jak coś, co widywałam tylko na filmach. I to wszystko do was należy.

Jakoś tak na początku września powiedziała mu, że oczekuje dziecka. Nie zaskoczyło to Wreszina. Musiał tego chcieć albo się spodziewać, ponieważ od razu wiedział, co zrobią. Odejdą stąd. Odjadą razem. — Nie martw się — powtarzał. — Ja wiem, co robię, nie martw się. Będziemy żyli w jakimś lepszym miejscu niż tutaj, a ich niech diabli porwą.

— Ja się nie martwię — odpowiadała Rut.

Pani Wreszin wydawała mu się teraz obca. Poruszali się po tym samym domu, po tym samym pokoju, a kiedy oczy ich się spotykały, malował się w nich lekko zmieszany, na pół przyjacielski wyraz, właściwy znajomym, którzy poznaliby się lepiej, gdyby mieli na to czas. W nocy ona spała twardo, jakby jej duch zatonął w jakichś głębiach, a Wreszin leżał nie śpiąc i potrafił myśleć o swojej żonie tylko przez Rut, przypominając sobie, jak to myślał o niej w ramionach Rut. Leżał tak godzinami, bolała go głowa, a on myślał o klęsce swego życia — klęsce, którą odziedziczyły jego dzieci i którą przekazał swoim dzieciom — myślał też o swojej miłości do Rut, która sprawiała, że ta klęska nie miała żadnego znaczenia. Gdyby tylko mógł ukryć się w niej dostatecznie głęboko, zapomniałby o wszystkim, tak jak wydawało się, zapomniała ona. Gdyby mogli uciec wystarczająco daleko, zacząłby

znowu życie — znów jako młody mężczyzna, obdarzony siłami młodego mężczyzny, i żadna z dotychczasowych kłesk nie byłyby prawdziwa.

Starannie planował wspólną ucieczkę. Wprawiało go to w zdenerwowanie, było zupełnie jak ślub. W niedzielę powie, że jedzie gdzieś po piwo, a wychodząc z domu zaproponuje Rut, żeby pojechała z nim na przejażdżkę. Jediną złą stroną planu było to, że nie mogli niczego ze sobą zabrać. — Potrzebne mi będą pewne rzeczy — mówiła wolno — ale skoro nie możemy tego zrobić, to znaczy że nie możemy...

— Możemy kupić nowe rzeczy. Wszystko nowe — powiedział.

W noc przed zaplanowanym wyjazdem nie mógł spać. Jego myśli kłębiły się w pośpiechu. Starał się myśleć tylko o Rut, o tym, jak kocha się z Rut — to stało się teraz ośrodkiem jego życia. Ale jakieś inne rzeczy zagrażały temu ośrodkowi, obrazy przemocy i ciemności, czające się na obrzeżach jego świadomości, których nie potrafił wyciągnąć na światło. Śnił mu się płonący dom rodzinny, cała spalona rodzina — łącznie z Billym. Obudził się zlany potem i drżący. Nie, tego nie chciał. Tego nie chciał. Chciał jedynie uwolnić się od nich i jechać z Rut tak daleko, jak to możliwe, w dół drogą, a potem autostradą i innymi autostradami, dalej i dalej na taką odległość, w której już się zagubią i nikt nie będzie mógł ich odnaleźć...

Następnego dnia, planując rzekomo wyprawę do baru na skrzyżowaniu, zatrzymał się w kuchni, gdzie trzy kobiety zajęte były pracą.

— Może Rut chciałaby ze mną pojechać na przejażdżkę — zaproponował oschle.

To było coś nowego, ponieważ nigdy nie zabierał żadnego ze swych dzieci do baru. Ale jego żona ani Betty nie wydawały się zdziwione. — Oczywiście, kochanie, pojedź z nim — powiedziała pani Wreszin. Nie pozwoliła nawet Rut dokończyć

wycierania talerza, Wreszin widział, jak wyjęła dziewczynie talerz z rąk. Pani Wreszin spojrzała na Rut i wyciągnęła rękę, aby rozwiązać wstążkę przytrzymującą włosy dziewczyny.

— Bez tego wygląda lepiej — powiedziała. — Prawda? Może sobie znajdzie chłopaka w barze na krzyżówce. Chciałabym, żeby wyglądała jak najlepiej.

Bosonoga Betty przyglądała się temu z kamienną twarzą.

— Taka miła dziewczyna jak ona znajdzie sobie pewnego dnia miłego chłopaka — powiedziała pani Wreszin. Głos jej brzmiał chropawo i beznadziejnie.

Kiedy Wreszin znalazł się z Rut w samochodzie, ledwie mógł oddychać. Musiał pochylić się nad kierownicą, by złapać oddech jak stary człowiek.

— Nie boisz się, co? — zapytał.

— Nie, nie boję się.

Niepewnie wycofał samochód w dół podjazdu. Wydawało mu się, że wszyscy ich obserwują, toteż nie spojrział w stronę domu. Dopiero kiedy poczuł się bezpieczny na drodze, spojrział w górę, ale dostrzegł tylko szczyty dachu.

— Nie będą wiedzieli, co się z nami stało — powiedział.

— Chciałabym... — zaczęła Rut — chciałabym, żebyśmy nie musieli ich ranić.

— Do diabła z nimi — powiedział Wreszin. Zaczął teraz jechać szybko, jakby się odprężył. Noga sama cisnęła pedał gazu aż do oporu. Ręce na kierownicy były rozpalone i wilgotne. Po lewej stronie ukazywało się grzęzawisko jak gwałtownie przesuwające się kadry filmu.

Prowadził z dużą prędkością, nie mówiąc nic. Nie siedział z Rut w samochodzie od dnia, kiedy przyjechała, jej obecność podniecała go, chciał jej dotknąć, żeby się przekonać, że wszystko jest w porządku. Jej ciało stanowiło dla niego tajemnicę, podobnie jak ziemia, którą pojmował teraz zupełnie inaczej — jako rzecz dziwną i kochaną zarazem, jeżeli tylko

człowiek niczego się po niej nie spodziewa. Ziemia była dzika tą swoją własną pięknnością i ciało Rut też było dzikie, nie znające nazw niczego i niczego się nie wstydzące, a głęboko we wnętrzu tego ciała znajdowało się jego dziecko, niewiele jeszcze większe niż nasienie, fantastyczne nasienie, które rosnąc zniekształci jej ciało, hołd złożony jego młodości i sile. Kochał i to nasienie, i ją, a także siebie w nich. Nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, by kochać siebie samego.

Nagle Wreszin poczuł strach. Zostawił za sobą coś, tylko nie bardzo mógł sobie to przypomnieć.

— Nie jedź tak szybko — wyszeptała Rut.

Wcisnął mocniej pedał. Nie słyszał jej. W jego mózgu rozlewała się panika — jak błoto rozchodzące się w czystej wodzie — zrozumiał bowiem, że jeśli pozwoli sobie na przypomnienie, to już nigdy nie będzie w stanie uciec.

Przez jakiś czas wchodził w zakręty, nie myśląc o nich, jego ręce poruszały się automatycznie, napięte ciało pochyłało się raz w przód, raz w tył, raz na bok, celowo, z wdziękiem. To była jego droga, jego świat, znał ją doskonale. Była jak on sam, jak jego własna istota, rozciągająca się przed nim tak, żeby mógł ją zobaczyć. Ale powoli droga stawała się inna. Wydawała się zmieniać, przekształcać się nawet w chwili, gdy ją zdobywał. Dlaczego Rut go szarpie, dlaczego protestuje? Musiała zobaczyć coś przed nimi, czego on nie dostrzegł. Jechał jak zahipnotyzowany, z zaciśniętymi szczękami, aż wreszcie zorientował się, że patrzy na kołującą linię drzew, ale w rzeczywistości nie widział niczego. Wiedział, że to są dęby, ale jego umysł nie potrafił się na nich zatrzymać, nie potrafił zrozumieć, co one mogą znaczyć. Samochód wjechał w druty kolczaste, pociągnął je za sobą, zmierzał w stronę drzew, wszystko to działo się tak szybko, że Wreszin nie zdołał rozpoznać otaczających go odgłosów...

— On nie żyje, ja wiem, że on nie żyje, nie żyje — powtarzała Rut, kiedy jej pomagali podnieść się z ziemi.

Została wyrzucona w płytki rów melioracyjny, musiała zostać wyrzucona daleko od wraku. Twarz jej była zakrwawiona od pojedynczego rozcięcia na czole, coś też stało się z nogą, choć zdawała się nie czuć bólu. W istocie robiła wrażenie rozzłoszczonej. — Dlaczego oni umierają? Dlaczego umierają? To nie moja wina! — Dziewczyna była wściekła, jej gniew przeraził ich bardziej niż jej widok, a nawet widok Wreszina wbitego w kierownicę samochodu. Musiał już nie żyć, wydało się, że ma zmiażdżoną klatkę piersiową.

Zostawili go tam, nie bardzo wiedząc, co zrobić. To byli więksi ludzie, sąsiedzi Wreszinów, pojechali na swoją farmę, żeby zatelefonować do policji stanowej. Dziewczyna na tylnym siedzeniu ich samochodu nie mogła wysiedzieć spokojnie. Zdawała się być tak rozwścieczona, że ogarniało ich przerażenie.

— Dlaczego? Dlaczego... To nie moja wina...

Wolność

I

Pochodziła z dobrej rodziny, a owo „z dobrej rodziny” okazało się takim samym upośledzeniem jak każde inne: jak wydatne zęby dla ucznia w szkole średniej, czy niespodziewana utrata panowania nad ciałem dla tancerza. Była wysoką surową dziewczyną o gładkiej twarzy, a specyficzna intensywność jej głosu zawstydziała z miejsca każdego, kto usiłował zamazać prawdę. Sama Lea zawsze mówiła prawdę, co w jej wykonaniu stanowiło akt przemocy.

— Zmuszali mnie do robienia głupich rzeczy, zmuszali mnie mimo woli — skarżyła się przyjaciółom, kiedy już wyprowadziła się z domu. — Wychodziłam w sobotnie poranki i byłam zdecydowana, że coś ukradnę, cokolwiek, wszystko jedno co. Chciałam, żeby mnie złapano, żeby zawstydzić moich rodziców. Ale zamiast kraść z wielkich magazynów, lądowałam zawsze w pobliżu małych sklepików, tych przygnębiających małych sklepów prowadzonych przez stare kobiety i mężczyzn... i kradłam tam cokolwiek, coś, co było na zewnątrz... tabliczkę czekolady na przykład... — Obrzydliwe

było to, że kradła biednym, nie bogatym. To był błąd. Choć wyrosła z dzieciństwa i nigdy już więcej nie kradła, miała kradzież w pogardzie, ten wstyd pozostał.

Dokonywała owych kradzieży, kiedy miała dwanaście lat. Potem zaczęło się ekscytujące życie w szkole średniej, gdzie czuła się dobrze. Miała długie blond włosy, jasną, pogodną powierzchowność, idealną dla kogoś, kto jest duszą każdej zabawy, była ładna, umiała się uśmiechać, a jej uśmiech był czarujący. Mieszkała w najlepszej części miasta. Odrzuciła swoje młodsze, ponure, uparte ja i wkroczyła w nowe życie, było to dla niej szalenie podniecające, a kilka lat później stało się również swoistym upośledzeniem, kiedy bowiem przyjaciele dowiadawali się o jej „normalności”, wykpiwali ją dobrodusznie.

— A więc byłaś prawdziwą nastolatką, jak w komiksach? — pytali.

Tak, przed kilku laty była prawdziwą nastolatką, co nie przydarzyło się nigdy nikomu z jej przyjaciół. Mieli skażone, miękkie, agresywno-łagodne maniery wiecznych dzieci. Nigdy nie byli nastolatkami, nigdy nie byli konsumentami. Szydzili z konsumentów, w każdym razie tak twierdzili. Szydzili z amerykańskich produktów, tak drogich konsumentom. Szydzili z Amerykanów, z Ameryki, ale cechą charakterystyczną owego szyderstwa była kpina, jakby zdawali sobie sprawę, że przedmiot ich pogardy nie ma wielkiego znaczenia.

— I naprawdę mieszkałaś przy ulicy zwanej Lincolnshire Lane? — pytali.

Dom był olbrzymi, na przedmieściu dużego miasta na środkowym zachodzie, biały, w stylu kolonialnym, z wielkimi, czarnymi okiennicami, zbudowany w 1870 roku, później przerobiony znacznym nakładem kosztów i umeblowany autentycznymi antykami. Zainteresowanie matki Lei autentycznym wyposażeniem domu sięgało aż do klamek i dostosowanych do elektryczności lamp naftowych włącznie. Była

typem łagodnej, nieskomplikowanej, choć raczej dominującej kobiety w średnim wieku z eleganckiego przedmieścia. Ojciec Lei, dr Gregg, lekarz internista, poważny, odnoszący sukcesy człowiek, dwa lata pod rząd zdobywał puchar tenisowy swojego klubu. Dom przy Lincolnshire Lane stanowił niemal model autentyczności. Nie wymagał żadnych uzupełnień: był doskonały. Kiedy Lea kradła rzeczy z małych sklepików, nie robiła tego po to, by wypełnić jakąś lukę w swoim życiu, ale po to, by dokonać w nim wyrwy. Jej życie wymagało nagłego zburzenia, w żadnym razie nie budowania.

— Ale nie możesz obarczać rodziców winą za swoje życie — wskazywali rozsądnie przyjaciele. — Oni nie są winni. Cóż oni mogli wiedzieć?

To była prawda, jej rodzice byli ofiarami. W pewnym sensie byli dziećmi, ale ogrom ich władzy wprawiał w przerażenie. Jak gigantyczne dzieci, bóg i bogini w krajobrazie życia Lei, maszerowali przez ten swój świat i ciągnęli ją w jedną stronę, potem zawracali i ciągnęli ją w drugą stronę; wstrzykiwali jej szczepionki, uodporniali, prostowali jej zęby klamerkami, leczyli skazy na jej skórze, kiedy miała jedenaście lat, włosy jej strzygł Rocky w salonie piękności Electra, była zapisana do szkółki pływackiej i tenisowej w klubie wiejskim, do szkółki jeździeckiej w klubie myśliwskim, na lekcje baletu do prywatnej szkoły tańca, do szkółki niedzielnej na godzinę jedenastą...

— Ale twój ojciec, twój ojciec musiał być człowiekiem interesującym — powiedział ktoś. Było to na przyjęciu. Przyszła na nie sama, w nastroju równocześnie aroganckim i nieśmiałym, a ten młody człowiek usiadł obok niej. W ciągu dziesięciu minut wymienili swoje życiorysy, które w wyniku stałego powtarzania stawały się coraz krótsze. Historia jego życia (matka wcześniej owdowiała, dzieci bez ojca, brak męskiej opieki itp.) wydawała się Lei dość znajoma, ale okazywała zainteresowanie. Dzieje jej życia mogły jemu również

wydawać się znajome, ale także okazywał zainteresowanie. Zapytał ją o ojca: — Sądzę, że człowiek, który jest lekarzem, że taki człowiek, no, po prostu musi mieć doświadczenie. Autentyczne doświadczenie. No wiesz... życie i śmierć, cierpienie i tak dalej... a czasami także szczęście...

— Nie, to nieprawda — odpowiedziała z pasją. Zawsze ucinała wszelkie próby prowadzenia rozmowy. Ten mężczyzna starał się być sympatyczny, ale traktował ją protekcjonalnie i czuła się tym dotknięta. — Nie, wcale nie. Lekarze nic nie wiedzą. Niczego nie rozumieją. Ludzie to dla nich po prostu ciała, a to, co ich interesuje najbardziej, to golf czy turniej squasha następnego dnia. Albo obiad w czasie weekendu. Używają ciał swoich pacjentów, żeby wdrapywać się po drabinie proszonych kolacji. Nie, proszę cię, nie przerywaj, ja wiem wszystko na ten temat.

— Słuchaj, sam znałem kilku lekarzy. Wcale nie są tacy.

— Ci, którym się powiodło, są właśnie tacy. Ty pewnie znasz samych kiepskich — powiedziała Lea.

Natychmiast poczuła jego antypatię. Patrzyli na siebie, zamknięci w specyficznym ciepłe uczucia, nieprzyjaciele, którzy ocenili się nawzajem, i nie są z tego niezadowoleni.

Mężczyzna miał na imię Anthony, spotkała go przypadkiem na innym przyjęciu następnego wieczora i na krótko się w nim zakochała. Był pisarzem i opublikował dotychczas jedno opowiadanie w niewielkim brukowym magazynie „Godot”. Pewnego dnia, leżąc na jego łóżku, Lea przeczytała to opowiadanie zatytułowane „Liczne transformacje Zeusa”; wydawało się w całości poświęcone aktom przemocy dokonywanym na niewinnych ofiarach, czasami na zwierzętach. — Kogo na miłość boską próbujesz tu naśladować? — zapytała z udanym rozbawieniem. W rzeczywistości była zaszokowana.

- I tak nie będziesz wiedziała — powiedział Anthony.
- Powiedz mi, proszę. Kogo? — nalegała.
- Paula Bowlesa.
- Oczywiście, że znam Paula Bowlesa. Czytałam Paula Bowlesa — powiedziała urażona.

We wzajemnych stosunkach przyjęli zasadę prawdomówności. I zawsze mówili prawdę. Kiedy zapytała go żartem, czy coś będzie z tej ich miłości, odpowiedział jej całkiem serio, że prawdopodobnie umieści ją w swoim opowiadaniu. Gdyby tylko mogła zmienić nazwisko. Lea Gregg to nazwisko brzydkie, a on przykłada wielką wagę do nazwisk. — Nie, serio — powiedział swoim nerwowym, nieco urywanym, ale entuzjastycznym głosem — naprawdę tak myślę. Poza nazwiskami nie ma nic więcej. Poza słowami nie ma nic. Poza słowami „Anthony Palarchio” nie ma naprawdę nic, ale samo nazwisko jest piękne, i tak się składa, że jest przypisane do mnie. Mój duch nazwany został Anthony Palarchio i przez to jest niepowtarzalny. A twój duch nazywa się Lea Gregg, a to nazwisko jest bardzo brzydkie, co muszę z przykrością stwierdzić.

Początkowo nie lubiła mówić o swojej rodzinie, o tej szczególnej miłości i nienawiści jej życia „tam w domu”, która była tak dla niej charakterystyczna. Było jej wstyd mówić o tym tak otwarcie. Ale w miarę upływu czasu, w miarę jak zmieniała jedną luźno z sobą związaną grupę ludzi na inną, znajdując i tracąc przyjaciół, kiedy wreszcie zerwała ze swoją pracą, przekonała się, że udało jej się przygotować pewną liczbę rodzinnych historyjek i że może je opowiadać bez większego trudu. Oczywiście nigdy nie kłamała.

— Ale w gruncie rzeczy zgadzam się z twoją matką. W rzeczywistości to jest perwersja — powiedziała kiedyś przyjaciółka. Owa przyjaciółka miała na imię Alice i od czasu do czasu wykonywała ilustracje do magazynu mody. Pokoiki jej

niewielkiego mieszkania zapchane były rysunkami wybladłych, eterycznych, kościstych modelek, podczas gdy sama Alice wyglądała okrągło i solidnie. Lea lubiła Alice, ponieważ podobnie jak ona sama Alice była prawdomówna. Była także hojna, nie brała siebie zbyt serio i stale wydawała przyjęcia, żeby pomóc swoim zubożałym przyjaciołom; pewnego razu każdy z gości przyszedł z wiktuałami dla pozbawionej środków do życia pary Meksykańczyków, nie kończące się torby z artykułami spożywczymi, jako że całe mieszkanko wypełnione było ludźmi. Lea i Alice często rozmawiały do późnej nocy.

— Nie, nie potępiam twojej matki. Sądzę, że jej nie rozumiałaś — mówiła w zamyśleniu Alice. — Twoja matka próbowała stworzyć określony świat. Próbowała tego dokonać za pomocą posiadania przedmiotów. Nie zwykłego posiadania — to byłoby banalne — ale za pomocą katalogowania i uwielbiania przedmiotów. Czy nie mam racji? Mówiłaś, że matka ma stół wartości ośmiu tysięcy dolarów. Prawdę mówiąc, Lea, osiem tysięcy dolarów to nie taka wygórowana suma za antyk.

— Ale to była obrzydliwa, paskudna rzecz — zaprotestowała Lea.

— Skąd ty możesz wiedzieć? Nie chcę cię krytykować, Leo, ale ty niewiele wiesz o antykach. Czy o sztuce. Czy o naturze ludzkiej. Ponieważ w istocie twoja matka na swój egoistyczny i pogmatwany sposób była artystką, ale ty się na tym nie poznałaś.

— Do diabła — westchnęła Lea.

— Rozumiem jej pragnienie zamkniętego świata. Samoograniczający się świat jak świat Spinozy. Tyle że on dokonał tego za pomocą twierdzeń na podobieństwo matematyki, a ona robiła to za pomocą mebli.

— Nie masz pojęcia — wykrzyknęła Lea z pasją — co to znaczyło mieszkać tam! Boże, nie wolno mi było niczego dotknąć, nie mogłam się nigdzie bawić, czy sobie to wyobrazasz? Wszędzie te świństwa! Niektóre były piękne, ale

martwe. Wszystko było martwe. Czasami wydawało mi się, że zwariuję, nawet kiedy byłam dzieckiem i nie mogłam rozumieć tego wszystkiego. Wszędzie taka nędza, nawet nasza sprzątaczką wiodła nędzne, bardzo nędzne życie, wszędzie tyle tragedii, a moja matka dostawała histerii, jeżeli jakiś mebel został zadrapany. Doprowadzała mnie niemal do szaleństwa, ale to ona, ona była szalona! Właśnie ona! Nie mów mi, że nie rozumiem własnej matki. Ja nie chcę jej rozumieć. Terry twierdzi, że już samo zrozumienie pewnych ludzi, pewnych złych ludzi, jest aktem kolaboracji. I ma słuszność.

— A czy nie przesadza jak zwykle?

— Nie, ma rację. Zło zaczyna się od kompromisu. Masa kolegów w moim wieku, którzy poszli do college'ów, myślała tak samo o swoich domach. Oczywiście, że mówiliśmy o tym. Nie tak jak teraz, ale mówiliśmy. Ale oni zdecydowali, że mogą z tym żyć, że mimo wszystko kochają swoich rodziców, że wybaczą swoim rodzicom to, że są tacy... tacy martwi, ponieważ sami przywiązywali wagę do spokoju i zgody. Żyć w spokoju! Ale ja wiedziałam, że nie mieli racji. A teraz są tacy sami jak wszyscy, mieszkają w takich domach jak moi rodzice, dziewczyny powychodziły za mąż, ich mężowie są lekarzami, adwokatami, ludźmi interesu. Zło zaczyna się od kompromisu. Albo nie godzisz się na kompromis, albo jesteś martwy. Zdawałam sobie sprawę, że matka i ojciec mnie zabijają, duszą, i że muszę się wydostać. W jakiś sposób kochałam ich. Nie wiem. Ale musiałam się wyrwać. Musiałam się od nich uwolnić, uwolnić się nie tylko od widywania ich, ale wyzwolić się kompletnie. Terry twierdzi, że w tamtym roku narodziłam się na nowo. Naprawdę stałam się sobą. Do tej pory byłam tylko na pół żywa, byłam przez nich podduszona...

Przez dwa lata chodziła do znanego żeńskiego college'u na wschodzie, a potem przeniosła się na duży uniwersytet na

środkowym zachodzie. W ostatnim roku nie mogła studiować, nie mogła czytać — jej wzrok nie koncentrował się na drukowanym słowie — miała mdłości, czuła się nieszczęśliwa, absolutnie nieszczęśliwa i to zupełnie bez powodu. Ani ona, ani jej rodzice nie mogli odkryć żadnej przyczyny tego stanu. Omawiając po latach owe załamania, Lea i jej nowi przyjaciele nie mieli wątpliwości co do jednej rzeczy: termin „załamanie” wymyśliły poradnie, ludzie z kręgów pozaakademickich i rodzice, a potrzebne było inne określenie, coś w rodzaju „wizji” czy „penetracji”. Ponieważ oczywiście to, co wydawało się załamaniem, było w istocie tworzeniem, a zanim jakiegokolwiek budowanie może dojść do skutku, należy gwałtownie odrzucić cały nieład dwudziestu lat pogrzebanego życia.

— Doświadczenia Lei były zupełnie odmienne od moich — powiedział Terry. Kiedy spotkała go jako dwudziestoseściolatnia dziewczyna, Terry miał trzydzieści osiem lat. Był wykładowcą na uniwersytecie nowojorskim, nie profesorem, nie należał do stałej obsady wydziału, co wyjaśniał natychmiast i z ironią każdej nowo poznanej osobie. Był poetą. — Ona załamała się raczej negatywnie, to znaczy jej pierwotne doświadczenie emocjonalne było negatywne. A moje, choć brzmi to idiotycznie, było pozytywne. Fantastyczne. Byłem bardzo szczęśliwy, wręcz odurzony. Bezsens zajęć w college'u zachwycał mnie. Tak samo jak Lea nie mogłem się zmusić do studiowania, ale ten fakt z jakiegoś powodu mnie zachwycał, i byłem na tyle sprytny, żeby przejść przez egzaminy.

— Ale jak ci się to udało? — zapytała Lea.

— Ponieważ umiałem pisać, moja droga. Jeżeli wiesz, jak skonstruować zdanie, świat akademicki jest u twoich stóp. Świat akademicki podziwia struktury, które dobrze wyglądają. Nie interesuje się zawartością.

Śmiali się z tego, ale to była prawda. Prawdą był brak treści i prawdą było uwielbianie struktur. Formy bez treści. Spośród sześciu czy siedmiu osób znajdujących się w tym akurat mieszkaniu, tego właśnie wieczoru, wszystkie uczęszczały do college'u, a trzy opuściły college podczas pierwszego roku. Lei udało się zdobyć dyplom w czymś, co broszura uniwersytecka nazywała „humanistyką”, a Terry miał magisterium w przedmiocie określanym w ulotce jego uniwersytetu jako „pisanie twórcze”.

— To, co mówisz, jest prawdą, ale mimo wszystko było w tym coś przyjemnego — powiedziała Lea. (Była atrakcyjną dziewczyną, ale bardzo zapaloną.) Polowała na prawdę jak kura szukająca pożywienia. — Wiem, że było to ślepe i obłudne. Wiem. Ale sam dźwięk dzwonek na wieży i studenci wchodzący i wychodzący z budynków, a także sposób, w jaki profesorowie mówili monotonnym głosem... było w tym coś czarującego i bezpiecznego, jakbyśmy znajdowali się pod pokrywą szklanego dzwonu...

Terry uśmiechnął się do niej pobłaźliwie. — Żeby jednak mieć do czynienia z czymś autentycznym, moja droga Leo, powinnaś się zamknąć w domu wariatów. *To* jest autentyczne.

Lea przyłączyła się do śmiechu, jaki wywołało to stwierdzenie Terry'ego, nie chciała wydać się niewrażliwa i głupia. Gdyby wykazała odporność, wyglądałoby na to, że Terry ją osądza, a jego oceny się bała. Siedział na podłodze z pochylonymi ramionami, a jego ciemna, brodata twarz ukryta była w cieniu. Lea kochała go, ale jego sąd mógłby się okazać druzgocący.

Kiedy miała dwadzieścia siedem lat, jej cykl historyjek z życia college'u i wyższej klasy średniej był już odpowiednio wygładzony i wypolerowany, ale raczej martwy. Mówiła apatycznie do psychiatry, którego odwiedzała na błagalne prośby ojca, do doktora Jorisa. Miał gabinet przy Park Avenue, i

było to całkowicie absurdalne... wydawał jej się zabawny, przerażający... a kiedy mówiła do niego, czuła, że wszystko staje się płaskie, jej historyjki, namiętności, jej gniew. — Nie wiem, co do nich czuję. Ojciec. Matka. Czy oni są ważni? Widzę twarze. Mogę panu przynieść ich fotografie, jeżeli pan nalega, żeby się czegoś o nich dowiedzieć... Naprawdę, nie mogę panu w tym pomóc. Moje dzieciństwo? Tak, miałam dzieciństwo, miałam syjamskiego kociaka. Obcięto mu pazury. Próbował drapać meble, och, to było niesamowite, obserwować tego gładkiego małego kotka w kolorze śmietany, jak z desperacją wodził łapami po kanapie, próbując ją zadrapać, ale nic się nie działo, jego pazury wysuwały się raz po raz, ale nie mogły złapać materiału, pamiętam to dokładnie...

— A w pani obecnym stanie, który określa pani jako rodzaj depresji, jakie uczucie nazwałaby pani dominującym? Co pani odczuwa przede wszystkim?

Pomyślała przez chwilę.

— Nic — odpowiedziała.

— Niepokój?

— Nie. Nic.

— Niepokoi panią przyszłość?

— Przyszłość? — powtórzyła.

II

Po niepowodzeniu w ostatnim roku college'u Lea stała się poważniejsza. W jej gładkiej, urodziwej twarzy było coś promiennego, nawet anielskiego, wysokie kości policzkowe sugerowały lekkie wklęsnięcie pod oczami, jej sposób bycia stał się łagodny i powolny. Było to oczywiście jej podstawowe ja. Nie mogła się dłużej zgodzić ze współmieszkanką swego pokoju, jako że do tej pory zwykle występowała w przebraniu, cały pobyt tutaj stanowił okazję do występowania w przebraniu studentki college'u, czy nawet członkini klubu

studentek, w kaszmirowych swetrach i plisowanych spódnicach, fanatycznie dbającej o czyste włosy. Teraz to przebranie odpadło. Powróciła do szkoły po miesiącu odpoczynania w domu pod troskliwą, cieplarnianą wręcz opieką matki i ojca. Obydwoje, ojciec i matka, rozmawiali z nią indywidualnie całymi godzinami. Większość rzeczy robili indywidualnie. Słuchając ich, Lea przewyciężyła mękę swego tajemniczego smutku i zaczęła jasno formułować myśli: *Przecież oni są głupimi ludźmi.*

Podobnie jak jej koleżanka z pokoju i inne dziewczęta z college'u, rodzice wierzyli przede wszystkim w jedzenie. Dobre solidne jedzenie. Wyznawali amerykańską cnotę spożywania odpowiedniego jedzenia, które zostanie przekształcone w odpowiednie tkanki. Po drugie, wierzyli w dobre myśli. Ich przekonania były proste i jakby powiększone, niczym pracowite pismo dziecka, łatwe do odczytania, a jednak pozbawione sensu. Wierzyli w światło słońca, w otwarcie weneckich żaluzji i takie uchwycenie promieni, by cudowną kaskadą spadały na cudowny pokój Lei, na jej amerykańskie antyczne łóżko, które wyglądało jak wspaniała łódź gotowa wyruszyć z tajemniczym prądem... Wierzyli w wyjaśnianie wszystkiego, a jednak cofali się w cień pewnych ograniczeń, w pewne regiony, które... o których nie mówi się nigdy. Kiedy zaskoczona Lea spytała: „Ale jak ty to ciągniesz? Codziennie, jak to robisz? Chcę wiedzieć, jak sobie z tym dajesz radę”, ojciec wydawał się nie rozumieć pytania. Poprosił, żeby je powtórzyła. — Jak ci się udaje ciągnąć to tak rok po roku, ojciec? — zapytała. Pomyślał przez chwilę i powiedział: — W mojej pracy nie ma wiele czasu do rozmyślań, Leo. Ale staram się mieć około sześciu godzin rekreacji w tygodniu, jak na przykład gra w tenisa. Wszystko z umiarem, bez przesady. Wiem, co masz na myśli. W takiej pracy jak moja bardzo łatwo się załamać, kontakt z niektórymi pacjentami jest

bardzo przykry... bardzo przykry. Staram się utrzymać dobry rozkład zajęć. Wszystko chyba na tym polega.

Popełniła błąd, pytając matkę, czy naprawdę kocha ojca. Matka poczuła się obrażona... Ale Lei wydawało się, że matka nie odczuwa niczego poza pełnym wyższości przywiązaniem, niemal serdeczną pogardą dla ojca, jak więc w takich warunkach mogła pozostawać mężatką? Czy zawsze byli sobie tak obcy? Czy byli kiedyś zakochani? — Czy był w ogóle ktoś, kogo kochałaś? Chodzi mi o to, czy kochałaś kogoś naprawdę, namiętnie? Tak, że chciałabyś umrzeć? — pytała Lea. Matka jednak poczuła się obrażona i jej reakcję powstrzymywał jedynie rozgorączkowany wzrok Lei. — Jesteś chora i to, co mówisz, też jest chore — powiedziała matka.

Toteż kiedy wróciła do college'u, nie miała nic do powiedzenia swoim tamtejszym przyjaciółom, wszędzie było tak samo, ogarnęło ją gwałtowne, paraliżujące przekonanie, że wszyscy *byli kłamcami*. A dom akademicki, biały, zbudowany bez planu budynek z wieloma sypialniami, wydawał jej się po prostu inną wersją domu jej matki. Wszystkie domy były jednakowe. Zamykały, ograniczały, chwytaly w pułapkę. To mogło doprowadzić do szaleństwa. Przynęcała sobie, że nigdy, nigdy nie będzie miała domu, nigdy nie będzie niczego posiadała. Nie chciała niczego. Chciała być wolna.

Na uczelni poznała ludzi, którzy dzielili te uczucia. Ciągle jeszcze była słaba, zachowywała się agresywnie i stale się zakochiwała, kiedy wcale nie było potrzeby, powiedzieli jej to kochankowie. Jeden z nich był wykładowcą socjologii i kończył właśnie rozprawę doktorską „Czynniki promocji w wybranych firmach zajmujących się reklamą 1960-1961”. Nie wierzył w żadne ze swych odkryć, choć odznaczały się statystyczną poprawnością; był błyskotliwy, inteligentny i atrakcyjny, Lea zakochała się w nim w lecie i nie mogła się odkochać. Był żonaty, miał jedno dziecko. Zaprosił Leę do chałupki z prefabrykatów, gdzie mieszkali żonaci studenci; Lea,

on i jego żona pili kawę i rozmawiali. Rozmawiali o wolności. — Jedyna rzecz, która się naprawdę liczy, to być wolnym, całkowicie wolnym — powiedział. Mówił jak na wykładzie. — Ty, Ireno, wiesz o tym. Lea twierdzi, że wie, ale ja jej nie wierzę. Leo, ty ciągle popadasz w zależność. Sama wytwarzasz te idiotyczne więzy, robisz cięjące oczy, zanudzasz ludzi... kiedy ludzie naprawdę uważają, że jesteś zachwycająca, dlaczego się na nich wieszasz? Mój związek z Ireną opiera się na całkowitej wolności. Mamy innych przyjaciół. Korzystamy z innych związków. Ale ostatecznie dokonaliśmy wyboru, że pozostaniemy razem, ponieważ doszliśmy do wniosku, że każda jednostka jest równie cenna jak inna, nie istnieje „postęp”, skoro więc pasujemy do siebie zarówno intelektualnie, jak fizycznie, to równie dobrze możemy pozostać małżeństwem. Szanujemy nawzajem swoją wolność, i zdecydowawszy się żyć razem, jesteśmy wolni. Jednak ty, Leo, z tą okropną uczuciową zależnością, nigdy nie możesz być wolna, nawet jeśli sprawiasz wrażenie wolnej. Ponieważ zawsze przygotowujesz się do uwieszenia się na kimś, na kimś silniejszym od siebie... nie jesteś wolna, jesteś zniewolona.

— Ale jak mogę stać się wolna? — zapytała zrozpaczona.

Mąż i żona wymienili spojrzenia. — Musisz żyć — zawyro-kował mężczyzna.

Opuściła więc środkowy zachód i przyjechała do Nowego Jorku, gdzie dostała pracę w niewielkim wydawnictwie. Zaangażowano ją do „dzieła” — publikacji rocznika, który miał się nazywać „Rocznik Przemysłowy 1964”, choć obejmował w istocie wydarzenia z 1963 roku. Pensja wynosiła 4500 dolarów rocznie, a praca miała się skończyć w chwili przygotowania rocznika.

Ponieważ Lea była dość inteligentna, potrafiła wykonać przypadającą na dany dzień pracę w ciągu dwóch, trzech

godzin, a resztę czasu spędzała na rozmyślaniach. Wydawało jej się, że każdy dzień jest niezwykle ważny, że jej życie może dobiec kresu i skończyć się niczym, że nie było nic warte. Teraz mieszkała sama. Jej mieszkanie znajdowało się na skraju Village, w miejscu, które po kilku latach miało być określane niedbale jako Wschodnie Village. Powolne, pewne siebie, trochę kocie ruchy Lei świadczyły, że należy do określonego typu nowojorskich dziewcząt, choć naprawdę pochodziła ze środkowego wschodu i łatwo ją było zaszokować. Włosy, które do pracy owijała wokół głowy w rodzaj ciężkiej korony, można było potem rozpiąć i rozpuścić na ramiona. Nosila proste i tanie ubranie, jakby zdając sobie sprawę, że młodość zupełnie wystarcza, a niedrogie stroje tylko podkreślają jej twarz. Nauczyła się nowego śmiechu. Był urywany, bez tchu, i miał być parodią samego siebie, tak przynajmniej stosowali go niektórzy mężczyźni, był to rodzaj rozbawionego, niedowierzającego chichotu, kpina z kobiecego śmiechu.

Jej nowy przyjaciel Anthony śmiał się w ten sposób i uważała, że jest niezwykle czarujący. Zabierał ją do tanich włoskich restauracji, siadywali godzinami w kawiarniach, rozmawiając, sprzecząc się, robiąc na sobie nawzajem wrażenie. Lea była drobiazgowo dogmatyczna. — Nie dbam o to, co ci powiedział jakiś mistyk, ale w religii nie ma żadnej prawdy. Absolutnie żadnej — mówiła. Anthony wraz z kilkoma innymi młodymi ludźmi, którzy podobnie jak on byli w sposób niezbyt sprecyzowany zainteresowani pisaniem, wysuwał teorię, że doświadczenie „religijne” może mieć pewne wartości jako ustalenie podstawy dla wspólnoty, jako synteza poszczególnych doświadczeń. Toteż nie należy odmawiać mu wartości. Ależ nie, nie, mówiła pogardliwie Lea, to tylko taka nędzna apologia, jakby tłumaczenie faszystów za popełnione przez nich zło twierdzeniem, że wszyscy ludzie są upadli, że wszyscy jesteście winni, i tak dalej. Anthony był dokładnie

tego wzrostu co Lea i bardzo chudy. Chodził w roboczym ubraniu, chociaż nie pracował. Otrzymywał czeki z zasiłkiem dla bezrobotnych. Mieszkał w jednym pokoju na nędznej uliczce w Village, a jego ulubionym zajęciem było siedzenie na frontowych schodkach domu i przyglądanie się wszystkim przechodniom. Miał w sobie i coś z niedorostka, i coś ze starego człowieka. Lea rozmawiała z nim na dwóch kolejnych przyjęciach, na których go spotkała, i rozbawiona jego rozmownością, postanowiła go odszukać. Przechodziła koło jego domu, a on siedział na frontowych schodach... była niedziela, w dzielnicy kręciły się turystki, które mogły tu przyjechać wprost z rodzinnego miasta Lei. Ich obecność dodała jej podniecia. Czuła do nich gwałtowną, silną niechęć, Anthony stawał się więc jej sprzymierzeńcem.

Zakochali się w sobie w jakiś sposób, a ich związek trwał sześć miesięcy. Później Lea miała wspominać z rozpaczliwym zażenowaniem ich długie dysputy, pełne zaangażowania i pasji, w ich związku dyskusowanie stało się rodzajem namiętności. — Ale ty, ty jesteś hipokrytką — krzyczał swoim szybkim nerwowym głosem, wskazując na nią palcem. — Pracujesz. Pisujesz do mamusi i tatusia. Przysyłają ci pieniądze, a ty je przyjmujesz. — A co z tobą? — mówiła wściekła Lea. — Ty bierzesz pieniądze od miasta! Sam jesteś hipokrytą! — Na co odpowiadał spokojnie: — Nie jestem hipokrytą, ponieważ nie mam złudzeń. Wiem, że kradnę. Ale wybrałem tę chwilową degradację, bo jest to na razie jedyny sposób pozwalający mi na pisanie. — Kiedy był zły, miał w sobie jakąś rozrzuśioną godność. Był blondynem, niemal tak samo jasnym jak Lea, ale brodę miał ciemniejszą i dość rzadką. Kiedy Lea odczuwała do niego nienawiść, koncentrowała ją właśnie na tej brodzie. Broda była za rzadka, nie męska. Stanowiła obelgę dla Lei. Skoro byli kochankami, nie miał prawa rozgłaszać swojej słabości zapuszczając taką brodę, to było absurdalne...

Anthony traktował poważnie swoje pisanie, choć nieczęsto potrafił się do niego zmusić. Wieczorami wychodzili i spacerowali ciągle tą samą drogą do skweru Waszyngtona i z powrotem, powoli, ociężale. Chociaż Anthony był młody, na jego czole i po obu stronach ust rysowały się wyraźne zmarszczki. Bezwiednie ssał paznokcie. Skórę pod paznokciami miał niezwykle różową, jak żywe mięso. Rozluźniał się jedynie pod wpływem pigułek czy narkotyków. Bez tego nawet we śnie jego ciało było sztywne i pełne obaw. Lea naprawdę go kochała. W ciemności otaczała go ramionami i próbowała uspokoić, ale kiedy tylko usnął, mięśnie jego ciała naprężyły się... Kochała go, ale coś w jego sposobie mówienia, kiedy był rozdrażniony, połykał nerwowo ślinę i łapał powietrze, działało jej na nerwy. Mówiła sobie, że przy nim nigdy nie musi kłamać. Mówiła zawsze prawdę, prawdę. Pewnego wieczoru na przyjęciu u przyjaciół był odurzony narkotykami i powiedział do niej: — Czy chcesz iść do domu z tym facetem, z którym rozmawiasz? Zrób to. Mnie to nie przeszkadza. — I rzeczywiście tak myślał, zależało mu nawet na tym, żeby poszła z tamtym mężczyzną, bo to pozwoliłoby mu zademonstrować swoją wspaniałomyślność. Lea poczuła się bardzo dotknięta. Brała pigułki, które jej oferowano, robiła to samo co inni, ale nie zauważyła większych skutków, wydawało jej się to udawaniem, afektacją. Sprawiało to na niej wrażenie jakiejś banalnej ceremonii religijnej, a religią pogardzała, nie odczuwała sympatii do żadnej formy religii.

I tak mijały miesiące, aż w końcu jej praca dobiegła końca, ale jeden z redaktorów chciał ją zatrzymać. Lea była zadowolona, sprawiło jej to dziwną przyjemność. Wróciła do domu, Anthony jeszcze leżał w łóżku. Było późne popołudnie, obudziła go, żeby się podzielić nowiną. Ale on

powiedział jedynie: — To wszystko? Po to mnie obudziłaś? — Lea natychmiast poczuła rosnące w niej napięcie. Nienawidziła jego i tej jego obojętności, był po prostu zazdrosny... — Jesteś bardzo zadowolona, co? — zapytał pogardliwie. — Ktoś cię pochwalił!

Po czymś takim musiała zrezygnować z pracy. Anthony miał rację, że pochwała sprawiła jej przyjemność. Była aż tak słaba. Była niewolnicą cudzych opinii o sobie. Spojrzała na Anthony'ego, który stawał się coraz bardziej rozkojarzony, i zadała sobie pytanie, czy zaczyna być zależna od tego... młodego człowieka. Od tego chłopca. Zasada ich związku pozostała nie zmieniona od owego pierwszego wieczoru: walka. Ona niekoniecznie przedstawiała w tym związku kobiecość, a Anthony niekoniecznie męskość. Byli odcieleśnionymi głosami, które toczyły spór. Oczywiście szanowali nawzajem swoją inteligencję, gdyż inaczej całe to współzawodnictwo nie miałoby sensu. Kiedy byli w obecności innych ludzi, mieli dzieciinną skłonność występowania nawzajem w swojej obronie. A może byli bratem i siostrą? Istniało między nimi pewne podobieństwo. Anthony, jak na mężczyznę, miał długie włosy, a jego oczy za okularami w ciemnej oprawie były tak samo ciemnobrązowe jak oczy Lei. Nie był zdecydowanie brzydki, ale miał podłużną, posępną i toporną twarz. Lea, choć była ładną dziewczyną, miała ten sam przesadnie ponuro zamysłony wygląd, a na jej czole zaczęły się formować cieniutkie linie.

Pytała sama siebie: *Czy jestem uczuciowo zależna od niego?*

Zawstydziło ją samo to pytanie. Musiała się wyplątać, uwolnić. Samotność, którą oddalił Anthony, była teraz dla niej tylko wspomnieniem, i nie miała wątpliwości, że pozna innych mężczyzn. Już знаła innych mężczyzn. Utrzymywała także niezobowiązującą, rozgadaną znajomość z kilkoma podobnymi do siebie dziewczynami, a wśród nich z Alice

Baumgarten, która była „artystką”. Nie będzie tęskniła za Anthonyem. Jakoś niejasno wierzyła w niego jako pisarza, robiło na niej wrażenie jego bezustanne posępne zadumanie i długie monologi na temat powieści, jakie zamierza napisać, ale mimo to nie będzie za nim tęskniła. W końcu cynicznie wykorzystwała jego pisanie jako sposób na uwolnienie się.

— Czuję, że nie jestem dla ciebie dobra — wyjaśniła. Ton jej głosu podekscytował go, był tak zdenerwowany, że zaczęły mu się trząść ręce. — Nie sądzę, żeby pisarz mógł dzielić swoje ja z kobietą. Naprawdę nie sądzę. Wszyscy tak mówią. Gdybyś był jakimś przeciętniakiem jak Sam Snyder czy Babs, to byłoby co innego. Ale ty jesteś bardzo utalentowany. Czuję, że w twoim życiu nie ma dla mnie miejsca i dlatego chcę odejść.

Kiedy byli kochankami, obowiązywał między nimi rodzaj pseudodowcipu o „nieracjonalnym geniuszu” Anthony'ego i „racjonalnym geniuszu” Lei. Dla niego chwała sztuki, a dla niej trochę bardziej przyćmiona chwała praktycznego życia. Pogodziła się z tym żartem, ale była nim mocno dotknięta, a teraz obróciła go przeciwko Anthony'emu jak nóż. Nienawidziła go naprawdę. Nienawidziła go za to, że nie jest wystarczająco męski, by zamknąć jej twarz, gdy opowiada mu takie bzdury...

Tak więc rozstali się. Lea spędziła dzień czy dwa w łóżku płacząc, chciała wrócić do Anthony'ego. To było jak choroba, ta jej zależność. Ale powiedziała sobie, że skończyła z Anthonyem, że jest wolna. Jeżeli wolność jest aż tak bolesna, niech więc będzie to permanentna wolność. Będzie wolna. Będzie dogadzała tylko sobie, będzie tylko sobą, nie będzie okazywać uległości nikomu innemu. Przestała już pisywać do domu, odsyłała rodzicom ich listy wraz z nieuniknionymi czekami, bazgrząc krótkie odpowiedzi. Zdecydowanie też porzuciła pracę. Teraz nie miała żadnego zajęcia, mogła więc leżeć w łóżku do południa, a w miarę jak upływały dni, coraz większą przyjemność sprawiała jej świadomość, że absolutnie

nie martwi się o przyszłość. Będzie żyła terażniejszością.

Przez swą przyjaciółkę Alice poznała mężczyznę około pięćdziesiątki o imieniu Pablo. Prawdopodobnie był Hiszpanem. Miał kręłą budowę ciała, był nadzwyczaj przyjacielski i czarujący. Ubierał się młodo, choć z umiarem, nie naśladował młodych ludzi zbyt ostentacyjnie, a poza tym miał pieniądze. Zabierał Leę na miasto i dawał jej pieniądze, które akceptowała mówiąc z kpina: — Czym się teraz stałam? — On jednak zapewniał ją, że przez to nie stała się niczym, niczym. Była wszak piękną dziewczyną, czystą dziewczyną! Taką inteligentną i utalentowaną! Pojechała z nim na Florydę, ale wkrótce miała go dosyć, bo kiedy tylko znaleźli się sami, zaczął ją tyranizować, więc się spakowała i odeszła... To wszystko wydawało jej się całkiem zabawne. Śmiały się z tego z Alice i z innymi przyjaciółkami. Dziwni ludzie, absolutnie fascynujący, przewijali się przez mieszkanie Alice i Lea poznała ich wszystkich. Pochodzili z wszelkich możliwych miejscowości; zadziwiająco, jak wielu z nich wywodziło się z małych miasteczek. Nikt nie pochodził z Nowego Jorku. Może w ogóle nikt nie urodził się w Nowym Jorku? Alice wracała czasami do domu w towarzystwie starszych panów, którzy wyglądali na mężów, ludzi znajdujących się w mieście przejazdem bądź dojeżdżających z dalekich przedmieść, obydwie z Leą szły do dobrej restauracji i nigdy nie odmawiały pieniędzy, które im zaoferowano. Alice ciągle rzucała pracę, więc potrzebowała pieniędzy, Lea natomiast uważała za niemoralne przyjmowanie czeków od ojca. Tak więc obydwie potrzebowały pieniędzy.

Niektóre przyjęcia trwały przez całą noc i przeciągały się aż do następnego dnia. Ciągłe ktoś przychodził, pojawiali się kompletni nieznajomi, ale wszyscy byli mile widziani. Czasami były to autentyczne przyjęcia, a czasami po prostu kiepskie naśladownictwa, urządzone przez ludzi, którzy za wszelką cenę pragnęli imitować pewien styl. Alice miała ów

styl, choć była grubokoścista i zdrowa i przypominała z wyglądu harcerską drużynową. Lea, mimo całej swojej pruderii, także miała ów styl, i była zachwycona, kiedy sobie to uświadomiła. Długonoga, omdlewająca, powierzchownie zepsuta Lea mieściła się „w stylu” i to stało się jej nową tożsamością. Znajomi młodzi mężczyźni mieli ten styl wcale się o to nie starając, odrzucili wszystko, co znajdowało się poza ich światem, przyjęli postawę lekko pogardliwą, naprawdę zachowywali się jak dzieci. Próbowali naśladować ten styl mężczyźni, pracujący na oficjalnych posadach, ale to im się zupełnie nie udawało. Pewnego dnia wywiązał się zabawny spór. Młody człowiek, pracujący w reklamie, który za wszelką cenę pragnął pokazać, jak bardzo pogardza swoją pracą, zaatakował amerykański establishment i kulturę dolara. Jest degradacją — utrzymywał z zapalem — prostytuowanie się dla takich obrzydliwości.

Pozostali oświadczyli jednak beztrąsko, że nie ma w tym nic złego. O co chodzi? Czy życie nie jest piękne?

Życie było paskudne!

Nie znany Lei brodaty mężczyzna powiedział miłym, pogardliwym i protekcyjnym tonem: — Hiroszima to poemat. Wietnam to poemat. Nie jesteś artystką, nie , możesz zrozumieć. Jesteś moralistką. Moraliści są martwi.

— Myślisz, że nasze zaangażowanie w Wietnamie jest dobre? Że to słuszna sprawa?

— Wietnam to poemat — odparł mężczyzna. — Spadające bomby to czysta poezja. Ogień karabinów maszynowych to poezja. Agonia jest poezją.

Ten mężczyzna był trochę odurzony. Coś zażywał, ale panna nad sobą i Lea poczuła nagle ukłucie pożądania, tak bardzo był opanowany, taki inteligentny... Wpatrywała się w niego. Miał ciemne włosy, gęstą, porządnie przyciętą brodę. Ubrany był w zwykłe rzeczy, nie próbował niczego udowodnić, ale najwyraźniej posiadał ów nieokreślony styl. — Wygrywasz. Ty wygrałeś! — oświadczyła głośno Alice. Uniosła

w górę rękę brodatego mężczyzny: — Terry zwycięzca, Terry tryumfuje! Nie sprzeczasz się z Terryem, ty biedny głupi durniu. Terry jest genialny.

Tak więc Lea poznała Terry'ego. Rozmawiali całymi godzinami, siedząc na podłodze w jednym kącie biało-złotego mieszkania. Terry był porządnie naćpany. Miał agresywny, ale uspokajający i łagodny sposób bycia, kochała go. Lubiała jego akcent. Pochodził z miejscowości, leżącej na wschód od rzeki Connecticut. — A ty, kochanie, pochodzisz niewątpliwie z Kansas — powiedział. — Niezupełnie — odparła ze smutkiem, zdając sobie sprawę, że inteligentnemu mężczyźnie zawsze będzie się wydawała prowincjonalna i w nie najlepszym stylu. Rozmawiali o samotności. Rozmawiali o filmach Antonioniego. Rozmawiali o swoich rodzinach, o przeszłości. — Od przeszłości nie można uciec — powiedział. Bawił się palcami Lei, w ten swój poważno-dziecinny sposób. — Tak wielu ludzi myśli, że jedyną rzeczą jest terażniejszość, że przeszłość nie istnieje. To ich załamuje. Nie trwają długo. Ja zdaję sobie sprawę, że przeszłość jest silniejsza od terażniejszości, toteż musi być akceptowana. Musi być zmieniona. Przekształcona w dzieło sztuki, w poemat. I wtedy można się od niej uwolnić.

— Tak, uwolnić się... — powtórzyła powoli Lea.

— Moja żona odebrała sobie życie. Osiem lat temu. Mieliśmy troje dzieci, trzy dziewczynki, teraz są ze mną — śliczne dziewczynki. Kocham je. Moja żona była wspaniałą kobietą, ale się załamała, wzięli ją do szpitala, a potem na Boże Narodzenie wyszła, żeby nas odwiedzić. Wydawało się, że czuje się lepiej. Ale odebrała sobie życie, powiesiła się w suterenie. To było w wynajętym domu, na uniwersytecie, gdzie prowadziłem zajęcia... Zostałem z dziewczynkami. W takim przypadku odruch nakazuje absolutne odcięcie się od przeszłości, wyrzeczenie się jej. Rozpoczęcie życia na nowo w

antyseptycznej, pigułkowej formie. Prawda?

— Tak, tak mi się wydaje — powiedziała Lea, patrząc na niego.

— I to jest niesłuszne. To prowadzi do śmierci. Zamiast tego przekształciłem moją przeszłość. Kochałem moją żonę. Czy miłość jest zła? Nie, miłość jest dobra, jest jedynym dobrem. Wielbię tę miłość. Żona umarła: czy śmierć jest zła? Ona wybrała śmierć. To był jej wybór. Na tym poległa jej wolność, mogła dokonać takiego wyboru, więc umarła, a ja nie mam prawa jej osądzać. Myślę o tym cały czas, ożywiam przeszłość i przekształcam ją, sprawiam, że jest piękna. I teraz jest piękna dla mnie. Śmierć mojej żony stała się piękną. Kocham ją za tę śmierć, za to, że była na tyle wolna, kocham ją za jej odwagę...

— Jesteś... jesteś bardzo dzielny — wyjąkała Lea, głosem swojej matki. Była przygnębiona. Patrzyła na Terry'ego i przyszło jej do głowy, że on stanie się jej przeznaczeniem. Wszystko w niej skłaniało się ku niemu. Prawo ciężenia działało w jego stronę. Wpatrywała się w jego twarz i uświadomiła sobie, że mógłby zrobić z nią, cokolwiek by chciał.

Czekała na jego telefon następnego dnia, ale nie zadzwonił. Nie przyszedł. Minęło kilka dni, minął tydzień, Lea czuła się nieszczęśliwa. Znowu zaczęła wychodzić ze starszymi mężczyznami, znajomymi Alice. Traktowała ich z ponurą obojętnością. Brała od nich pieniądze, była wyniosła i zachłanna, nie odczuwała wstydu. Doświadczenie pozwoliło jej uwolnić się od tego uczucia, a poza tym pragnęła wszak tylko Terry'ego. Toteż jej związki z każdym innym mężczyzną odznaczały się pewną czystością, czystością przypadku i braku znaczenia.

I wtedy spotkała go znowu, w mieszkaniu przyjaciółki. Rozmawiali przez jakiś czas i raz jeszcze ogarnęło ją pożądanie. Powiedziała bez ogródek: — Chodź ze mną do mojego

domu. — Nie mogła tego nie powiedzieć, nie panowała nad słowami. Sama także była lekko odurzona. Poszedł z nią. Był mężczyzną, tak jak Anthony nim nie był, a przecież on także był pisarzem, poetą. Wykładał angielski na uniwersytecie, żeby utrzymać dzieci, ale interesował się jedynie poezją. Kochała go, stosunek z nim był doświadczeniem niszczącym, przytłaczającym. Potem rozmawiali całe godziny. Rozmawiali, trzymali się za ręce... po raz pierwszy w życiu była zakochana, to nie budziło wątpliwości.

A jeśli on ją porzuci?

Ale jej nie porzucił. Po kilku tygodniach wynajęli wspólnie mieszkanie, podnajmując je od przyjaciela Terry'ego. Miał wielu przyjaciół, znał wszystkich. Leę napawali dumą ludzie, których znał. Była jednak trochę zazdrosna o dziewczyny, z którymi rozmawiał. Po raz pierwszy w życiu odczuwała wrogość wobec innych dziewcząt. „Widocznie sama staję się bardziej kobieca”, mawiała. Godzinami rozmawiali o sobie, o złożoności swoich odczuć.

— Dawniej nie byłam prawdziwą kobietą, ponieważ nie miałam mężczyzny, toteż lubiłam towarzystwo kobiet. To mężczyźni wydawali mi się fałszywi. Wobec większości mężczyzn kobieta musi trochę grać... no, trochę udawać, to obrzydliwy zwyczaj, rzygać się chce. Ale teraz to się zmieniło. Już tak nie czuję. Teraz czuję się nerwowa i niespokojna w towarzystwie kobiet, ponieważ tak mocno się z nimi identyfikuję. Wiem, że są moimi rywalkami, grozi mi niebezpieczeństwo utracenia ciebie.

— Niebezpieczeństwo? Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — powiedział. Ale był wyraźnie zadowolony.

Lea trochę się obawiała jego córek, tak jak obawiała się wszystkich dzieci. Najstarsza dziewczynka, Claudia, miała osiem lat, Maria siedem, a Bettina pięć. Dzieci były bardzo ładne, ale dziwnie spokojne, potrafiły się bawić w milczeniu przez całe godziny, by nagle wybuchnąć histerycznym

piskiem, którego Terry nie spieszył się uciszać. Mieszkając z nim Lea stopniowo poczuła, że coś się w niej budzi... jak rozkwitający kwiat, budziła się jej miłość do tych dzieci. Bardzo się nad nimi litowała. Kiedy Terry miał zajęcia na uniwersytecie, siadała z nimi na podłodze i bawiła się. Bawiła się myślą zostania matką. Dlaczego nie? Już przecież była matką. To były jej dzieci...

Dzieliła swój czas pomiędzy dziewczynki i Terry'ego, pomiędzy nieskomplikowane zajęcia domowe i szarpiące nerwy, ekscytujące, ale równie nieskomplikowane przeżycia w świecie zewnętrznym. Była dokładnie w sytuacji żony. Była kobietą zakochaną, miała męża i troje dzieci, znalazła swoje miejsce w świecie. Jednak jej umysł, który działał na takich wysokich obrotach, kiedy miała pracę, wydawał się teraz nieubłaganie zwalniać. Nie paliła, ani nie piła wiele, stała się jednak zależna od niebiesko-zielonych kapsulek, które Terry przynosił do domu; były to mocne środki uspokajające, na które miał receptę. Miał także inne, pobudzające pigułki, które otrzymywał od znajomego. Zażywała je bezwolnie, nie mając siły przeciwstawić się Terry'emu. Czasami nie bardzo wiedziała, co robi. Kochała go, ale ta miłość była odcielesniona i znajdowała się jakby poza nią. Była kobietą zakochaną, ale jakoś nie potrafiła odczuć tego stanu.

W kwietniu Terry przyszedł do domu i zdenerwowany oświadczył, że jego kontrakt na uniwersytecie nie będzie przedłużony.

- Co to znaczy? — zapytała.
- To znaczy, że mnie wywalili.
- Wywalili? Dlaczego?
- Po prostu wywalili.
- Ale nie powiedzieli ci dlaczego?

Jego twarz przybrała złośliwy, szyderczy wyraz. Zdawała się mówić „Dlaczego? Dlaczego? Czy jesteś aż tak głupia, żeby pytać dlaczego?”

Lea zorientowała się, że jest zadowolona, ponieważ on nie będzie miał teraz pracy. Tak jak ona będzie wolny, nie związany. Nie będzie spotykał tylu ludzi, nie będzie miał tylu przyjaciół. Starła się pocieszyć go jak matka, mówiąc łagodnie, rozsądnie, przypominając mu jak bardzo nienawidził tej pracy i jak go wykorzystywali — trzy grupy na zajęcia z kompozycji, trzy! — o ile więcej czasu będzie miał na pisanie. Potrzebował czasu, wolnego czasu. Z jakiej racji mieli go tak eksploatować, tak w niego orać? Jej słowa brzmiały pocieszająco, wręcz śmiertelnie kojąco.

Mając tyle wolnego czasu, zaczęli sypiać rano coraz dłużej. Dwie starsze dziewczynki wstawały, ubierały się i same wychodziły do szkoły. Czasami nie ubierały się dość ciepło, czasami zapomniały zjeść śniadanie albo nie wiedziały, gdzie znaleźć jedzenie, a w mieszkaniu było tak zimno, że Bettina, cała drżąca, pozostawała w łóżku, dopóki Terry i Lea się nie obudzili. Przez większą część czasu byli zamroczeni, ale w przyjemny sposób. Często wychodzili. Przyjaciele przygarnęli ich, pełni współczucia z powodu złych wiadomości — zwolnienie Terry'ego przekształciło się w anegdotę o „niekonformistycznych metodach nauczania” i faszyzującej administracji uczelni. Przyjaciele zdawali się lubić ich bardziej teraz, kiedy Terry stracił pracę. Świat się otworzył, pojawiło się więcej ludzi, krąg znajomych stawał się szerszy i luźniejszy, a Lea czuła się szalenie dumna ze swego związku z tym błyskotliwym mężczyzną... Pod jego wpływem zaczęła doświadczać pewnego olśnienia z narkotykami. Terry powiedział jej, że sedno tego doświadczenia jest duchowe, wcale nie fizyczne. Należało być na to przygotowanym. To było jak miłość, sprowadzało się głównie do sfery duchowej, nie działało na bezwładne substancje fizyczne... Czuła, że świat się naprawdę otwiera, mogła przyglądać się jego sekretnym działaniom, wszystko było piękne i intensywnie żywe...

— Wszystko jest takie piękne — oświadczała zaniepokojona.

— Jest piękne — przyznał Terry.

— Wprost trudno mi to znieść, jest tak wyraźnie żywe...

— To jest piękne, ponieważ ty jesteś piękna. Świat ukazuje się w barwach umysłu, który go postrzega. Ci, którzy widzą okropności, sami są okropni. Nie są piękni. My jesteśmy piękni, widzimy świat jasno, rozumiemy...

Przyjaciele czasami prosili Terry'ego, by mówił do nich w tym duchu. I Terry mówił, łagodnie, nieśmiało, a jednak z dziwną, gwałtowną pewnością... — Świat jest zwierciadłem. Odbicie zwierciadła jest światem. Patrzysz w wodę i widzisz siebie, a widząc siebie, widzisz świat. Wszystko. Otwiera się, woda się rozstępuje, a piękno tego odkrycia jest uderzające... to jest jak ból, jak miłość. Ludzie boją się piękna, ponieważ sprawia ono ból.

Czasami jednak mimo wszystko, mimo tej swojej wiary, Terry stawał się skwaszony. Lea także pod jego wpływem. Wtedy zostawali w łóżku cały dzień, zapominali o jedzeniu, zamykali dzieci w jednym pokoju i zapominali o nich. Dzieci naprawdę potrafią być męczące. — Słuchaj, wiesz, że kocham te dziewczynki — mówiła Lea do Terry'ego. — To są moje własne dzieci. Kocham je. Są pod moją opieką, ale nie muszę akceptować wszystkich bzdur. Nie muszę po nich sprzątać. Bettina jest wystarczająco duża, żeby nie moczyć łóżka, ma pięć lat, więc robi to po prostu na złość. Robi to przeciwko mnie. Ale ja, jej matka, postanawiam ją odciąć, postanawiam o niej nie myśleć, mój umysł nie przyjmuje do wiadomości jej istnienia...

Terry także kochał dziewczynki, ale nie chciał o nich rozmawiać. Poniekąd zgadzał się z Leą. Godzinami siedział przy brudnym oknie i wyglądał. Jego oczy miały zamglony, rozmarzony wyraz. Lea wiedziała, że nie należy go niepokoić,

ale w pewnej chwili i tak odwrócił się do niej i powiedział kpiąco:

- Pociągają cię Żydzi, co?
- Żydzi? Dlaczego to mówisz?
- Ponieważ tamtego wieczoru przyszłaś prosto do mnie.

Czy dlatego, że lubisz Żydów?

- Oczywiście, że nie.
- Tam w Kansas nie ma wielu Żydów, co?
- Na Boga, ty nawet nie wyglądasz na Żyda...
- Czy przede mną znałaś innych Żydów? Spałaś z nimi?
- Nie.
- Mogę to sprawdzić.
- Do diabła...

— Sprawdzę to, kochanie. A jeżeli kłamiesz, będę musiał cię ukarać. — Popatrzył na nią ze smutkiem. Oczy miał lekko podpuchnięte, twarz gąbczastą, rozdętą. — Tak, będę musiał cię ukarać, jeżeli kłamiesz.

Lea przestraszyła się. Naśladowując jego senne, zezujące, znarkotyzowane spojrzenie, które wydawało jej się czarujące, powiedziała: — Terry nie brzmi jak żydowskie imię, nie wiedziałam, że jesteś Żydem, zresztą nie robiło mi to żadnej różnicy...

- Zobaczymy.

Pewnego wieczoru, kiedy wracali z nudnego przyjęcia, usłyszeli krzyki dobiegające z ich mieszkania. Po wejściu do środka, zastali w kuchni wrzeszczącą Bettinę. Pozostałe dziewczynki przyglądały się jej bezradne i przestraszone. Bettina krzyczała jak zwierzę, wysokim zawodzącym skomleniem, zdarła z siebie piżamę, na jej drobnej, wykrzywionej buzi błyszczała ślina... Terry próbował ją podnieść, ale mu się nie udało. Hałas zwałił sąsiadów, którzy zgromadzili się w hallu. — Co się stało, Bettina? Co się stało? — pytał Terry. Dziewczynka przycupnęła w kącie jak zwierzątko. Dyszała ciężko. Claudia powiedziała, że Bettina przyznała się, iż jej

głowa staje się olbrzymia. — Co? Głowa? Co to znaczy staje się olbrzymia? — pytał Terry. Przerazona Claudia wyjaśniła, że Bettina powiedziała jej, że głowa jej puchnie, że jest duża i ciężka, że nie może jej utrzymać...

Lea, nie odurzona narkotykami, zrozumiała. Zadzwoiła po karetkę.

W kuchni Terry usiłował podnieść Bettinę z podłogi, mówił do niej, zbliżał się do niej zakolami. W korytarzu zebrał się niewielki hałaśliwy tłumek, Lea krzyknęła: — Zadzwoiłam do szpitala, możecie się rozejść. Przekłęci krzykliwi dranie! — Zatrzasnęła im drzwi przed nosem. Sama stanęła pod drzwiami w oczekiwaniu. Minuty płynęły powoli. Wiedziała, co się stało dziecku. Ale nie mogła się zmusić, by powiedzieć to Terry'emu, który przyszedł z przyjęcia naćpany, nie potrafił jasno myśleć... Gdyby go nie kochała, odeszłaby. Uciekła. To już było za dużo, to było brzydkie i skomplikowane. Przyjedzie policja, przyjedzie karetka. Postawią diagnozę. Najwyraźniej Bettina zjadła coś, co należało do nich, coś „nielegalnego”, miała halucynacje i była nieprzytomna jak zwierzę. Lea pomyślała niejasno, że nie będzie już musiała kochać dziewczynki, jeśli stanie się ona zwierzątkiem. To już nie było wymagane. Ale kochała Terry'ego. Była jego niewolnicą. Choć był taki nieszczęsny i choć jego głos nawołujący w kuchni „Bets, Bettina, chodź tutaj” brzmiał tak idiotycznie, ciągle go kochała i nie mogła odejść.

Dziecko zabrano do szpitala i wszystkie przeczucia Lei okazały się prawdziwe. Ją i Terry'ego zawieziono do komisariatu, gdzie przysięgli, że narkotyk należał do ich przyjaciela, który bez ich wiedzy zostawił go w lodówce... Pewnie się wkrótce pojawi, bez trudu go rozpoznają.. Zostali więc zwolnieni, wrócili do domu. Było po wszystkim. Byli wolni. Terry usiadł osłupiały, Lea posłała łóżka i próbowała sprzątnąć. Wszędzie pod nogami przewalały się brudne naczynia,

jedzenie, ręczniki, części garderoby, było naprawdę brudno. Nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki nie przyszli obcy ludzie i nie zobaczyła wyrazu ich twarzy...

Claudię i Marię zabrano do ośrodka opieki nad dziećmi. Lea z ulgą myślała o tym, że ich także nie będzie już musiała kochać, świat stawał się znacznie prostszy. Terry jednak siedział i nic nie mówił. Był blady, wyglądał dziwnie, jak chory. Niewiele było w nim piękna. Lea została z nim jeszcze tydzień, usta jej zacięły się w twardą, złośliwą linię. *Dlaczego nic do mnie nie mówisz? To nie była moja wina!* myślała z goryczą. W lustrze jej twarz wyglądała jak twarz innej kobiety. Pogłębiły się linie na czole. Czowała, że zwariuje, jeżeli on nie zacznie do niej mówić, nie zacznie jej kochać...

Wreszcie wykrzyknęła: — Doprowadzisz mnie do szaleństwa! Odchodzę! Idę sobie!

Skierował na nią swoje przekrwione oczy lekko zaniepokojony, jakby była kimś obcym... kim była ta hałaśliwa kobieta? Co tu robiła?

— Och, jesteś szalony, wszyscy są szaleni — mruknęła. — Odchodzę. — Spakowała się i czyniła przygotowania do odejścia. Wkładając rzeczy do walizki wykrzyknęła z nagłą wściekłością. Potłukła naczynia w kuchni. Miała ochotę własnymi paznokciami rozszarpać całe mieszkanie. Ciągłe go kochała i nie mogła znieść jego milczenia. Dlaczego obarczał ją winą? On jednak ignorował ją, wycofał się w głąb swojej czaszki i nie była mu już potrzebna. Wybiegła z mieszkania, serce jej biło jak szalone, chciała tylko zostawić go za sobą i nigdy, już nigdy więcej o nim nie myśleć...

Po kilku dniach Alice oświadczyła, że Lea musi się wyprowadzić. Tłumaczyła, że inna przyjaciółka przyjeżdża na jakiś czas.

— W porządku, ty fałszywa dziwko — powiedziała Lea.

Znów się spakowała i wyniosła. Wprowadziła się do pokoju, w którym mieszkało sześć czy siedem osób, zgodzili się ją przyjąć i nie dyskutowali na ten temat. Brud i ciasnota w pokoju sprawiały, że czuła się tam dobrze. Tutaj nikt nie będzie jej osądzał. Wszyscy byli tak brudni i rozkojarzeni, iż nie groziło jej niebezpieczeństwo pokochania kogokolwiek. Nie będzie ich kochała. Miłość do Terry'ego okazała się niemal fatalna, była jak bagnisko, w którym Lea o mało nie utonęła. Bagnisko martwe i obrzydliwe. Ciało martwe i obrzydliwe.

Poszła znów do mieszkania Alice i usiadła na podłodze, czekając na jej powrót. Kiedy na schodach pojawiła się Alice z mężczyzną około pięćdziesiątki, Lea zaczęła wrzeszczeć.

Nie zdawała sobie sprawy, co wykrzykuje, a później nie mogła sobie przypomnieć. Pamiętała jednak policjanta, który poderwał ją na nogi i ciągnął w dół. Szarpnął ją tak, że straciła równowagę i upadła, potem upadła jeszcze wiele razy. To było straszne. Bił ją w twarz i nie miał zamiaru przestać. Nie mogła odzyskać równowagi, schody były zbyt strome, a on się wściekł i dał jej pięścią w szczękę.

III

Badał ją lekarz. Jej umysł budził się wolno, letargicznie. Nie mogła skoncentrować wzroku. Była niezadowolona z tego badania, próbowała podrapać lekarza, ale ktoś ją przywiązał. A więc tak. *Lekarz wyrywa moje wnętrześci*, myślała z lodowatym spokojem. *Włóży tam coś plastikowego...*

Kiedy ją wypisano, wzięła pieniądze, które przysłali jej rodzice na powrót do domu i wynajęła nowe mieszkanie. Choć nie brała już narkotyków ani nawet zwykłych środków uspokajających, była jeszcze trochę kołowata. Stale myślała o czymś plastikowym w swoich wnętrześciach, o zwiniętej

sprężynie z różowego plastiku. Rodzaj urządzenia antykoncepcyjnego, jakie zakładano Hinduskom, bezradnym niedouczonym kobietom... ale dlaczego to było w niej? Czy nie chcieli, żeby miała dzieci? Pokręciła głową, żeby się uwolnić od tych głupstw... przecież wiedziała lepiej... po prostu miała koszmarnie sny i nie mogła o nich zapomnieć.

Przyjechała matka i zamieszkała z nią. Grała rolę Lei Gregg. Czasami niewłaściwie oceniała swoją grę i cofała się za nadto, była Leą Gregg w średniej szkole. Ale przeważnie wiedziona instynktem wiedziała, co było odpowiednie, a co nie. Matka zabierała ją do dobrych restauracji, zaprowadziła ją do magazynu Peck and Peck i kupiła jej wspaniałą garderobę, błagała także, żeby Lea wróciła do domu. Lea odmówiła. Jednak po wyjeździe matki zaczęła chodzić do doktora Jorisa płacąc mu 50 dolarów za godzinę, żeby z maskowanym ziewaniem słuchał, jak opowiada o swoim życiu w domu rodzinnym przed laty, o szkole, o doświadczeniach w Nowym Jorku i o nowym stanie, kiedy to nie czuła nic, absolutnie nic.

— Ale mówi pani, że w pewnym okresie wszystko wydawało się pani piękne?

— Tak mi się zdaje. Ale byłam wtedy odurzona narkotykami. Ale chyba tak, było piękne.

— Ale był to stan nienaturalny.

— Tak sądzę.

— A teraz, na przykład dziś rano, co pani czuła?

— Nic.

— Jakiego rodzaju nic? — zapytał doktor Joris. Miał lekko cudzoziemski akcent, być może wyuczony. Niewątpliwie był nieskazitelnie zadbanym mężczyzną. Ale w nim także nie było nic.

— Po prostu nic.

— Jest zimno czy jest ciemno? Czy czuje się pani przerażona?

— Nie, po prostu nie czuję nic.

— Czy to daje pani poczucie zamknięcia, skrępowania?
— Nie, wewnątrz tego jestem wolna. Całkowicie wolna.
— Czy to jest odczucie fizyczne?
— Nie, to jest po prostu nic.
— A więc duchowe? — Rzucił wzrokiem poza nią, jakby zirytowany. Był z pewnością człowiekiem dobrze wychowanym, cierpliwym i powściągliwym, i było jej przykro, że sprawia mu zawód. — Intelktualne?

— Nie.

— Czy chodzi o słowo? O pojęcie? O odczucie?

— To jest po prostu nic — powiedziała Lea.

Kiedy jednak wyznaczona godzina zbliżała się do końca, Lea zdawała sobie sprawę, jak cenna była to godzina, jak szybko upłynęła, i nigdy nic się nie zdarzało, nic się nie zmieniało. Ta godzina stanowiła małą bańkę wewnątrz większej bańki jej życia. Pod koniec seansu, być może, aby ten zbliżający się koniec podkreślić, doktor Joris zaczął się uśmiechać takim współczującym, wyćwiczonym uśmiechem, a Lea nerwowo wstawała. — Nie mogę tego lepiej wytłumaczyć — mówiła w potoku słów bez tchu, kręcąc paskiem torebki. — To jest... po prostu nic... nie potrafię tego wytłumaczyć.

A jego uśmiech jakoś tak zwracał na siebie uwagę, narzucał się, zdawał się mówić: *Tak, tak, może następnym razem uda nam się przedrzeć...*

— Nie potrafię nawet tego do końca przemyśleć. Wszystko mi się płące — wyjąkała Lea.

Doktor Joris wstał. Uśmiechając się powiedział: — A więc do następnego tygodnia...? — A ona czepiała się tych słów i stojąc nieruchomo przez kilka sekund usiłowała je sobie uzmysłwić. Potem mówiła: — Tak, do przyszłego tygodnia, do widzenia...

— Do widzenia, panno Gregg.

Zabierała ze sobą te słowa do domu, łamała je na sylaby, na dźwięki, poszukując w nich znaczenia. I choć była pewna, że nic się w nich nie kryje, że nie mają żadnego sensu, ciągle zastanawiała się nad nimi, jakby miała do czynienia z tajnymi symbolami bardzo nasyconego i skomplikowanego świata. Dopiero kiedy zapadała w sen, siedząc przy oknie, wypełniała ją nieco przytęchła obecność nicości... rozumiała jej zbliżanie się, spotykała ją, otwierała się przed nią i zapadała w sen.

... i odpowiedzi

Tak, pamiętam samochód. Jeszcze go widzę. Ześlizgnął się z drogi, przeleciał przez barierkę i spadł ze skały do wody... Pamiętam jak łamała się bariera. Chyba nic nie słyszałam, poza krzykiem. To był mój krzyk. I jej... Pamiętam tę barierkę. Tak, została niedawno pomalowana na biało. Zielisko w pobliżu było pochłapane białą farbą, musieli malować rozpylaczem, i...

To było przed moim wypadkiem. Tak. Kilka sekund wcześniej. Patrzyłam na tamten samochód, na złamaną barierkę i na skraj skały — krzyczałam i... i straciłam panowanie nad samochodem...

Nigdy tego nie rozumiałam. Nie wierzę w to. Widziałam tamten samochód, rozbił się tuż przede mną, na zakręcie drogi. Nie wierzę, że samochodu nie znaleziono.

Dlaczego? Może należał do kogoś, kto był tak ważny, że nie mogli mu pozwolić umrzeć. No, gazety, rząd... Zgony można przecież zatrzymać w tajemnicy, prawda? Wszystko jest możliwe.

Nie chcę znów o tym mówić. Moje życie nie jest ciekawe.

Nie znoszę tego powtarzać, o moim życiu, tak, odpowiadałam na tyle pytań, tak, wiem, że jest pan bardzo cierpliwy i uprzejmy, tak... Moje życie jest bardzo zwyczajne. Nic ciekawego. Nikt by o nim nie pisał. Urodziłam się w San Diego i przez całe życie mieszkałam w tej okolicy... Jakie wydarzenia? Nie wiem, co pan rozumie przez „wydarzenia”. Wyrosłam wcale o tym nie myśląc, tak jak roślina czy chwast, po prostu przepychając się przez warstwę gruntu. Staralam się o tym nie myśleć. Nigdy nie sądziłam, że jestem niezwykła... Jakie testy? W szkole średniej? Zaglądał pan do tych starych akt? Dlaczego pan to zrobił?

Ależ to nic nie znaczyło. Ja nie wierzę w to, nie pozwoliłam, żeby to zmieniło moje życie, testy przeprowadzano pewnego popołudnia, całe popołudnie, skomplikowane pytania z wieloma odpowiedziami do wyboru, bardzo myślące pytania, niektóre zawierały jakieś kształty, rysunki i symbole, nie był to rodzaj pytań, do jakich przywykliśmy w szkole. Bardzo myślące, tak... niektórzy zrezygnowali, zaczęli się wygłupiać i poproszono ich o opuszczenie sali... Ja bałam się zrezygnować. Pamiętam, jakie dziwne były te pytania, i w jakiś sposób podniecające, ponieważ kazały mi myśleć o rzeczach, o których przedtem nie myślałam... Tak, zawsze bałam się testów i pytań. Trzeba odpowiedzieć na tyle pytań! Zazwyczaj bałam się, że moje odpowiedzi będą złe...

Ale teraz się nie boję. Dlaczego miałabym się bać?

Przecież to było wiele lat temu. Nie sądzę, żeby to dziś miało jakiegokolwiek znaczenie. W tydzień po tym teście zawołano nas do biura dyrektora, kilkoro z nas, wywołano nas z

lekcji przez głośniki, wie pan, jakie to może być przerażające usłyszeć swoje nazwisko przez głośnik... Dwóch chłopców i mnie. Wszyscy wiedzieli, że ci chłopcy są bardzo cwani. Ale dyrektor powiedział, że wszyscy troje bardzo dobrze rozwiązaliśmy testy. Był bardzo zadowolony. Wydaje mi się, że popatrzył na mnie dziwnie. Byłam zmieszana. Powiedział, że jesteśmy w górnym grupowym odsetku czegoś tam, grupowy odsetek...? Nie pamiętam tej terminologii.

Nie, nie wierzyłam w to. To musiała być pomyłka.

Skąd mogłam wiedzieć? Czyjeś wyniki mogły się pomieścić z moimi, skąd mogłam wiedzieć? Moje życie było całkiem zwyczajne. Chciałam, żeby było zwyczajne. Wyszłam za męża, kiedy miałam dziewiętnaście lat, a mój mąż jest bardzo... zresztą poznał pan mojego męża... jest bardzo miłym człowiekiem, bardzo dobrym. Tak naprawdę to wolę jego rodziców od moich własnych.

Może trochę słaby. Ale bardzo dobry. Nigdy nie żałowałam, że wyszłam za męża, nie, absolutnie. Mieszkamy w bardzo ładnym mieszkaniu, przeprowadziliśmy się tam pięć lat temu, zaraz po urodzeniu Lindy. To jest w wieżowcu Northumberland w dolinie San Fernando... Dziewiąte piętro. Bardzo ładny widok. Mieszkanie jest trochę małe, więc mój mąż często siada przy stole we wnęce jadalnej, żeby zrobić pracę, którą przynosi do domu, i ja też siadam koło niego i coś robię, no, sama nie wiem, jakieś reperacje czy coś, a czasami on prosi, żebym mu sprawdziła jakieś cyfry... ma bardzo skomplikowaną pracę, jest specjalistą od podatków dochodowych... i trochę mu pomagam, najlepiej jak umiem. Potrafię szybko dodawać kolumny cyfr w pamięci. Linda też siedzi z nami, dopóki nie przychodzi czas na jej spanie, bawi się, wycina z papieru ubranka dla swoich kartonowych lalek.

Czasami trudno jej wyciąć dokładnie, wtedy jej pomagam. Dzieci łatwo się zniechęcają, kiedy coś im się nie udaje.

Nie chcę o niej mówić.

Widziałam tamten samochód. To nie była halucynacja. Nie, nie widziałam dokładnie, kto go prowadził, wszystko stało się tak szybko, już wypadł z drogi, kiedy ja wyjechałam z zakrętu... albo wypadła, bo to mogła być kobieta... Droga jest bardzo niebezpieczna, wzdłuż całego wybrzeża. Powinni coś z tym zrobić.

Ponieważ chciałam się przejechać. Chciałam pokazać Lindzie, jaka ładna jest północna część stanu. Ocean, i skały, i niebo... wszystkie te kwiatuszki na poboczu drogi...

Od niedzieli do środy Linda leżała w łóżku, chora na grype. Ja się od niej zaraziłam. Oczywiście nie położyłam się do łóżka. W poprzednim tygodniu mąż miał kłopoty z zatokami, silne bóle głowy, więc całe mieszkanie pachniało chorymi — wie pan, Kleenexy w papierowych torbach, w kubie na śmieci, i ten zapach zarazków w powietrzu, poczucie zagęszczenia... Kiedy Linda leżała w łóżku, wymagała nieustannej opieki, rozmów, stale zadawała pytania, tysiące pytań... Była bardzo bystra, bardzo ciekawa. Wszystkie te pytania, jakie potrafiła wymyślić! Była bardzo rozwinięta jak na swój wiek. Jesteśmy z niej bardzo dumni... Tego ranka czuła się lepiej i miałam ją zabrać na plac zabaw, tak jak robiłam zawsze, kiedy nie padało, obok domu jest bardzo miły plac zabaw, betonowy skwerek z małą sadzawką, huśtawkami i ławeczkami, gdzie bawią się wszystkie dzieci. Poznałam tam wiele matek. To bardzo miłe miejsce. Ale ze skwerku zaczęło korzystać wielu mężczyzn, po prostu tam siadywali. Nie włóczędzy,

nie. Nie umiem ich opisać. Nie włóczędzy ani alkoholicy, jakich można zobaczyć na skwerkach śródmiejskich, ale zwykli mężczyźni, na średnim wieku, w garniturach i krawatach. Po prostu siadywali tam. Może potracili prace...? Zaczęłam się bać chodzić tam z Lindą. Więc kiedy wstała po grypie i zjeżdżałyśmy windą w dół, zapytałam, czy chciałaby się przejechać samochodem, tak nagle mi to przyszło do głowy. Nie planowałam tego. Nie. Mój mąż nic o tym nie wiedział. Skąd mógł...? Pomyślałam o tym, zjeżdżając windą. Oczywiście Linda chciała pojechać. Byłyśmy obydwie bardzo podniecone, bardzo szczęśliwe. Nie wiem, dlaczego czułam się taka szczęśliwa... Linda była taka zadowolona, że zaczęła podskakiwać jak zwykle, trochę gorączkowo, tak jak zachowują się dzieci, kiedy odpakowują prezenty, niemal jakby się tych prezentów obawiały. Oczywiście, że chcą prezentów, ale jednocześnie się boją. Sama byłam taka. Linda bardzo się podnieca niespodziankami, nawet przyjemnymi. Ona ma dopiero... miała dopiero... pięć lat. Niespodzianki są dla dzieci niepokojące, zarówno przyjemne, jak i nieprzyjemne.

Nie. Niezupełnie. Niewiele pamiętam z własnego dzieciństwa.

Gdyby pan tylko zrozumiał jak bardzo jestem zwyczajna i nieskomplikowana, zorientowałby się pan, że konstruowanie tych teorii to strata czasu... To mnie wprawia w zakłopotanie, ja nie jestem dla pana równorzędnym partnerem.

Powiedziałam: nie jestem dla pana równorzędnym partnerem.

Ponieważ wyobraża pan sobie coś, co nie istnieje. Widziałam tamten samochód, kiedy wyjechałam z zakrętu.

Kierowca jechał szybko. Widziałam, jak jego samochód rozbił barierę i przeleciał przez krawędź, słyszałam krzyk, i mój umysł ze strachu i całego tego zamieszania stał się zupełnie pusty. Czy wie pan, jak to jest, kiedy samochód wymyka się spod kontroli? Już potem nic nie pamiętam.

Powiedziałam już panu: to był ktoś sławny, może polityk, jakiś ważny człowiek, i jego śmierć trzeba było zachować w sekrecie. A więc policja utrzymuje to w tajemnicy, nie dopuszcza tego do gazet. Pan też może o tym nie wiedzieć. Czy to niemożliwe? Jest tyle sekretów na świecie. Wiem o tym. Wiedziałałam o tym, nawet kiedy byłam dzieckiem. Te tajemnice trzymają cały świat.

...Potem nic. Nic. Nie pamiętam, jak mój samochód zleciał ze skarpy, nie pamiętam wody. Obudziłam się i ktoś podnosił mnie na nosze — na nosze z karetki — Murzyn w białym kombinezonie krzyczał, żeby ktoś złapał mnie za nogi, zanim się ześlizgnę. To był jeden z sanitariuszy karetki. Ale pamiętam to dokładnie, tak jak się pamięta zdjęcia z filmu, bez żadnych emocji, ponieważ nie mają żadnego związku z nami. Nie pamiętam, żeby coś mi się stało. Nie, nie pamiętam wody, nie pamiętam żadnego krzyku, krzyku żadnej z nas...

Co takiego? Ja to powiedziałam?... A więc możliwe, że to pamiętam, to wszystko jest takie mylące i...

Jeżeli tak mówi mój mąż, to musi to być prawda. Jemu wierzę. Budzę się, a on mną potrząsa, jest przestraszony, gotów się rozplakać i mówi: *Obudź się! Masz zły sen!* Mówi, że czasami krzyczę przez sen. Ja nie zdaję sobie z tego sprawy, nie pamiętam, co takiego mogło mi się śnić, co mnie sprovokowało... Kiedyś mój mąż sam zaczął płakać. Patrzałam

na niego, nie przypuszczałam, że mężczyźni też mogą płakać. Mój ojciec z pewnością nigdy nie płakał, był bardzo twar-
dym, skrytym mężczyzną. Niewysokim. Ale robił wrażenie
dużego. Miał wiele tajemnic, które ukrywał przed nami
wszystkimi, dotyczących pracy, pieniędzy... nawet przed mo-
ją matką miał tajemnice. Kiedy umarł, też starał się to za-
chować w tajemnicy. Nie powiedział prawdy o tym, jak bar-
dzo jest chory i po co idzie do szpitala...

Nie jestem przygnębiona!

Powiedział matce, że jedzie na ryby z kilkoma kolegami z
pracy. Pracował w fabryce. Powiedział, że nie będzie go przez
kilka dni, ale tak naprawdę to poszedł do szpitala. Umarł w
trakcie operacji. Nikt z nas nie wiedział, gdzie on jest. To
było zaraz po święcie pracy, kiedy zaczęła się szkoła i byliśmy
z moimi braćmi bardzo zdenerwowani i przestraszeni. Takim
człowiekiem był mój ojciec: bardzo twar-
dym, bardzo wy-
trzymałym. Często żartował, ale jeśli słuchało się go uważnie,
można było odkryć, że naprawdę nigdy nic nie mówił. Nigdy
nie można było się zorientować, co ma na myśli, wołał, żeby
wszyscy to zgadywali. Ja się ło bałam. Ale kochałam go. I
nagle, przed rokiem, zauważyłam u mojej córki coś dziwne-
go... kiedy była bardzo podniecona, stawała się nerwowa,
niespokojna, mrużyła oczy, jakby się czegoś bała, zachowy-
wała się zupełnie tak jak ja wobec mojego ojca. Jakby odziedziczyła to po mnie. Czy to możliwe, żeby dzieci dziedziczyły
strach? Czy można odziedziczyć strach, czy idzie on w parze
z cechami fizycznymi jak kolor oczu czy włosów?

Nigdy bym tego nie zaryzykowała. Nie. Żadnego dziecka.
Nigdy.

Z powodu strachu, który można przekazać. I tych wszystkich pytań, z którymi trzeba się w życiu zetknąć i na które trzeba odpowiedzieć... To jest straszne, wypuścić dziecko w świat, w którym ludzie zadają pytania, szturchają, dociekają... zadają pytania, nie wierzą w odpowiedzi, robią notatki, zadają dalsze pytania...

Nie jestem zdenerwowana. Nie jestem zła. Czy moja twarz wygląda dziwnie, czy widzi pan na niej coś, o czym ja nie wiem? Byłam kiedyś ładną kobietą. Ale teraz moja twarz jest dziwna.

Tak, moja twarz jest dziwna.

Wierzę w to, co pan mówi, ale to nie ma nic wspólnego ze mną. Ufam panu. Wiem, że chce mi pan pomóc, że to jest pański cel, tak, ufam panu, wiem, że nie chce mi pan sprawić zawodu i...

Nie jestem zła. Nie jestem zdenerwowana. Czasami kąćci moich ust podnoszą się gwałtownie, ale to nic nie znaczy, to nie jest sarkastyczny uśmiech, to w ogóle nie jest żaden uśmiech. Uśmiecham się tylko wtedy, kiedy ludzie uśmiechają się do mnie. W ten sposób wiem na pewno, że uśmiech jest na miejscu. Nie jestem sarkastyczna. Rozumiem, że bierze pan pieniądze za to, żeby pomóc mnie i ludziom takim jak ja, i nie chciałabym pana rozczarować, tak jak rozczarowałam wszystkich innych. Więc kiedy mówię, że panu wierzę, to znaczy, że na pozór nie sprawia mi trudności wierzenie panu. Wierzę we wszystko, co mówią mi mężczyźni i zawsze wierzyłam. Przynajmniej powierzchownie. To, co mówią do mnie mężczyźni, to, co mi powiedzieli przed moim zamążpójściem, kiedy byłam związana z wieloma mężczyznami, to wszystko zostaje na powierzchni mojej skóry, jak dotknięcie rąk, jak pieszczota, ale nie wywiera to na mnie

żadnego wpływu. Więc wierzę panu. Ufam panu tak samo, jak ufałabym każdemu mężczyźnie.

Nie rozmawiam o tego rodzaju sprawach. Z nikim. Nawet z lekarzem.

Ale ja jestem zwyczajną, przeciętną kobietą. To niekoniecznie znaczy normalną. Wiem, że nie jestem normalna z powodu wstrząsu — bóle głowy, w nocy nie widzę wyraźnie, więc teraz nie jestem normalna, ale już wkrótce będę. Jednak przez cały ten czas byłam zwyczajną kobietą, ponieważ tego nie można zmienić. Moja dusza jest zwyczajna. Po prostu nie pamiętam wypadku. Dziecka nie ma, ale ja muszę żyć dalej... Nie, nie chcę się przeprowadzić do innego budynku, tu gdzie mieszkamy, jest dobrze. W tej dzielnicy wszystkie budynki są do siebie podobne. Muszę dalej tam mieszkać.

Nie płaczę. Nie nazwałabym tego płaczem. Czuję w głowie dziwne wibracje, jakby grzechotanie. A może to ciężarówka za oknem na ulicy? Mój ojciec prowadził ciężarówkę, zanim zaczął pracować w fabryce. Często nie było go w domu. Nie znosił prowadzić. Kiedy rzucił tę pracę, poszedł do fabryki produkującej precyzyjne narzędzia czy części do narzędzi dla jednej z kompanii lotniczych. Ale tej pracy też nienawidził.

Nie, wcale go nie znałam. W rzeczywistości nigdy o nim nie myślałam.

Od czasu wypadku. Ludzie ciągle zadają mi pytania... Mają wprost obsesję, żeby zmusić mnie do przypomnienia sobie pewnych rzeczy. Tak jak nauczyciele chcą, żeby uczniowie zapamiętali tylko pewne fakty, a innych nie. Fakty z książek. *Uczcie się tego, co wam mówimy i niczego innego!*... Pan też

jest taki, prawda? Pragnie pan, żebym przypomniała sobie pewne rzeczy, wydarzenia z dwóch lub trzech minut mego życia, które minęły i nigdy nie wrócą. Ale ja nie mogę sobie przypomnieć. A w to, co pamiętam, pan nie wierzy.

Tak, chcę być zdrowa.

Zgodnie z pańskimi standardami i standardami innych ludzi. Tak. Chcę znów być zdrowa. Mój mąż chce, żebym była zdrowa. Chcę wam obu sprawić przyjemność. Kobiety pragną robić przyjemność mężczyznom, dlatego pamiętają rzeczy, które są dla mężczyzn istotne... uczą się, co jest istotne i po jakimś czasie to się staje automatyczne.

Z powodu nieokreślonego strachu. Nie wiem, co to jest.

...powiedziałam panu, myśl o przejażdżce przyszła mi do głowy w windzie. Zamiast siedzieć na skwerku. Linda była tym bardzo podniecona. Kiedy już raz jej to powiedziałam, nie mogłam się oczywiście wycofać. Wie pan, jakie są dzieci. Zresztą potrzebowała świeżego powietrza, była biała i niespokojna i pomyślałam sobie, że...

Że była nieszczęśliwym dzieckiem.

Że sprawialiśmy jej zawód, powiedziałam to kiedyś mężowi, nie pamiętam kiedy, że jej dzieciństwo było nieudane.

Sądzę, że przeciwieństwem „sukcesu”.

Tak, przyznaję, że to dziwne stwierdzenie, chyba tak. Ale może przyszło mi do głowy pod wpływem czasopisma, które właśnie czytałam? Pan nie czytuje tych czasopism. Ale w

magazynach dla kobiet jest wiele artykułów, które kobietom pomagają, pomagają gospodyniom w organizowaniu życia. Zmuszają do poważnego zastanowienia się nad własnym życiem. Jak upiec ciasto, któremu można nadać kształt pociągu, na przyjęcie dla dzieci... albo utkać chodnik z puchatej wełny... czy ocenić swój sukces w roli matki na dziesięciopunktowej skali. Może wzięłam te słowa z jednego z takich artykułów.

Nie wyrażam się ironicznie.

Możliwe, że ludzie chorzy wydają się ironiczni, ponieważ są słabi. Ich głosy są słabe. Ale nie są wcale ironiczni. Chcą tylko zadowolić innych ludzi, żeby znowu uznali ich za zdrowych.

...więc zapytałam go, czy sądzi, że jej dzieciństwo jest nieudane. Czy zauważył, jak bardzo była przestraszona... Bała się ulicy, innych dzieci na terenie zabaw, ciężarówek... niektórych programów telewizyjnych... złych snów... Nie mam pojęcia, czego boją się dzieci? Że się zgubią, że zostaną porwane... Nienawidziłam tego jej strachu. Kiedy szłyśmy po zakupy, zawsze się bała, że się zgubi; trzymała się mnie kurczowo. Ale mój mąż powiedział, że nic nie zauważył.

Nie, nie było powodu. Nie miała specjalnego powodu, żeby się bać. Nigdy bym jej nie zostawiła.

Tak, w domu teraz układa się lepiej. Czy on panu to powiedział? Ja myślę, że jest lepiej. Sądzę, że już niedługo będę mogła z nim spać i znowu jeść razem z nim śniadanie... to jest bardzo wcześnie rano, a poza tym sposób, w jaki on je... Nic nie powiedział? Nie, nie je głośno, to bardzo schludny i czysty mężczyzna. Nie, chodzi o sam fakt.

O siedzenie blisko kogoś, kto je, porusza ustami.

Czasami staram się zostać w łazience jak najdłużej. Albo mówię, że nie jestem głodna. Nie chcę mu robić przykrości. Czasami przygotowuję śniadanie dla niego i staram się robić śniadanie dla siebie możliwie długo. W ten sposób jest szansa, że on skończy jeść, zanim ja zacznę.

On mi nie wierzy. Nie.

On po prostu o tym nie mówi. W ogóle. Nigdy nie zapytałby mnie o tamten drugi samochód. Ale ja wiem, że on nie wierzy w tamten drugi samochód.

Nie muszę na to odpowiadać.

To oburzające. Nigdy nie miałam skłonności samobójczych.

Wierzę w Boga.

Tak, ale nie myślę o Nim. Nie wiedziałabym w ogóle, co mam o Nim myśleć.

Wierzę w Boga, tak samo jak wierzę... w pewne rzeczy... w książki, których nigdy nie przeczytam, w zawarte w nich fakty, w mapy, których nigdy nie obejrzę, w te części świata, których nigdy nie zobaczę. Tak jak wierzę w pana, w to, co pan mi mówi. Ponieważ żadna z tych rzeczy nie jest naprawdę ważna.

Jest pan zły...?

Tak, jest pan zły. Tak mi się wydaje.

Ponieważ oczekuje pan ode mnie czegoś, czego nie mogę panu dać. Ależ we mnie niczego nie ma, ja tak głęboko nie sięgam. Niewiele pamiętam z tego wypadku, ponieważ niewiele jest we mnie... Pewnego ranka, kiedy poszliśmy z Lindą na plac zabaw, siedziałam z inną matką, ma na imię Mollie, i jest bardzo miłą dziewczyną. Kiedy nasze dzieci się bawiły, zauważyłam mężczyznę, który nas obserwował. Naprawdę nam się przyglądał. Bardzo mnie to zdenerwowało, chciałam zabrać Lindę i odejść; byłam przerażona, że Mollie sobie pójdzie i zostawi mnie, ale tymczasem nie przestawałyśmy mówić, próbując nie zwracać na niego uwagi, aż w końcu zaczęłam się śmiać. Powiedziałam Mollie, że mamy adoratora, i wszystko obróciło się w żart, z którego śmiałyśmy się obydwie. Szeptaliśmy i śmiałyśmy się. Mężczyzna nie przestawał nam się przyglądać, może nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje, albo niewiele go to obchodziło. Śmiałyśmy się obydwie z Mollie, ponieważ uderzyła nas jedna rzecz: czego on chciał? Cóż mogłyśmy mu dać? Kobiety w ogóle nie mogą dać mężczyznom zbyt dużo. Ciało nie jest takie ważne, jest nietrwałe, w niczym nie przypomina Boga, a jednak mężczyźni oczekują czegoś w rodzaju Boga. Czegoś się spodziewają. A kiedy odkrywają, że nie ma nic, że we wnętrzu nic nie ma, złością się. Jak pan. Sądzę, że jest pan na mnie zły, ponieważ oczekiwał pan ode mnie czegoś, co...

Nie chcę mówić o niej.

Miała dopiero pięć lat. Wie pan o tym. Czego mogłam od niej oczekiwać? Była bardzo ładna, miała włosy jaśniejsze od moich. Wyglądała tak jak ja w jej wieku. Zupełnie jak moje zdjęcia. Umiała trochę czytać, historyjki obrazkowe i tak dalej, była bardzo ciekawa wszystkiego, zadawała mnóstwo pytań. Zawsze zadawała mi pytania, na przykład dlaczego

samochód jeździ, dlaczego wszystko widać przez szybę, ile wody wypłynie z kranu.

Nie chcę mówić o niej...

Nie.

...Tylko raz, na placu zabaw. Bawiła się z dziećmi i zaczęły się bić. Chyba o zabawkę, nie bardzo wiem. Podbiegłam do niej, biła się z chłopczykiem, tłukli się mocno i krzyczeli, próbowałam ją odciągnąć... i... ciągle jeszcze była zła... i przez moment pomyślałam, że w ogóle jej nie znam. Że to nie jest moje dziecko.

Ten moment minął. Nigdy więcej już tak nie myślałam.

Powiedziałam panu: ta mała dziewczynka, która biła się i wrzeszczała, nie należała do mnie. Ale ta chwila minęła i już nigdy więcej nie nawiedziła mnie ta myśl. Ani razu.

Nie. Tak naprawdę to nie wiem, co pan przez to rozumie.

Ale żeby być w depresji, trzeba być także szczęśliwym. Jak dolina między dwiema górami...? Najpierw trzeba być szczęśliwym. Potem to się zmienia i jest się w depresji.

Nie jestem ironiczna.

Tak, prosiłam o zmianę. Wydaje mi się, że kobieta byłaby bardziej tolerancyjna.

Kiedy jej powiem, że nic we mnie nie ma, nic tajemniczego, nie będzie rozczarowana. Mężczyźni oczekują zbyt wiele. I nawet teraz, kiedy panu to mówię, kiwa pan głową i patrzy

pan na mnie w taki specyficzny sposób. Nienawidzę takiego spojrzenia. Nie chcę go. Nienawidzę go.

Kiedy był pan praktykantem na internie, musiał pan wsadzać palce w kobiece wnętrza, co? Nosił pan gumowe rękawice? Robił pan te rzeczy! Musiał pan wywracać kobiety z lewej strony na prawą, i z góry na dół, macać je, słuchać bicia ich serc, wąchać ich zapachy, na które nie mogą nic poradzić, musiał pan krajać ciała martwych kobiet, a jednak ciągle jeszcze wierzy pan w tę tajemnicę, prawda? Ciągle pan wierzy. Ale ja nie. Patrzyłam na moją córkę i było to tak, jakbym patrzyła na siebie w lustrze, tylko lustro było skarłate, i mogłam patrzeć prosto w jej oczy, ale nie mogłam patrzeć w lustrze w moje własne, mogłam patrzeć tylko na nie. Z powodu powierzchni... zaokrąglonej powierzchni... nie mogę tego wytłumaczyć. Z powodu nieprzezroczystej części oka... sama nie wiem...

Powiedziałam, że nie byłam przygnębiona. Co mówi panu mój mąż? Nie ma potrzeby się przeprowadzać. Unikam parku, terenu zabaw, unikam innych matek, żeby mi nie współczuły. Nie myślę o tym. Drzwi do jej pokoju trzymamy zamknięte, unikamy tego tematu, nie ma potrzeby się przeprowadzać. Kiedyś Linda i tak opuściłaby dom. Wiedziałam, że kiedyś ją stracę.

Niezbyt ciężki poród, nie. Jest pan trzecią osobą, która mnie o to pyta. Zwykły przebieg i zwykły poród. Przez cały czas byłam niezbyt przytomna. Niewiele pamiętam. Bólu nie. Chwilami ogromna masa jak góra, tak jak góra dominuje nad wioską, wie pan, zabiera większą część nieba... czasami widzę lub czuję taką masę, kiedy przypominam sobie, jak ją rodziłam, ale nie potrafię wytłumaczyć, co to jest. Może ból, a może pamięć bólu. Strach przed bólem. Nie wiem.

Pan mnie pyta, czy ja ją zabiłam?

Moje tętno jest zawsze normalne jak teraz. Proszę sprawdzić. Proszę sprawdzić raz jeszcze moją głowę, mój mózg, niech mnie pan jeszcze raz opasze tymi drutami, przejdźmy jeszcze raz przez wszystkie testy, wszystkie te aparaciki pomiarowe! Cóż one mogą panu powiedzieć? Coś, czego nie mogłabym panu powiedzieć ja sama? ...Nie może pan przywołać niczego z przeszłości, prócz kilku trupów i kupki pogiętego metalu. A nigdy nie znaleźliście pierwszego samochodu i pierwszego trupa! Gdzie jest tamten kierowca? Dlaczego go nie szukacie? Ja tylko pojechałam za nim ze skały, straciłam panowanie nad samochodem i pojechałam prosto za nim. Kiedy ocknęłam się w szpitalu, to była pierwsza z rzeczy, o jaką zapytałam — nie pamiętałam nawet o Lindzie — pytałam o tamten samochód. „Czy zatonął? Czy wydostał się ze środka? Czy jest bezpieczny?” Pytałam ich. Powiedzą to panu. Możliwe nawet, że jest to zapisane. Ponieważ chciałam, żeby tamten kierowca żył. W przeciwnym razie dlaczego pytałabym o niego, skoro zapomniałam o własnej córce? Dlaczego bym to zrobiła? Musiałam chcieć, żeby żył, nie sądzi pan?

Magna Mater

- Gdzie on jest?
- Dlaczego ciągle mnie o to pytasz? Wiesz, że jest w Nowym Jorku. Byłeś tam dwa tygodnie temu. Przestań mi zadawać to idiotyczne pytanie!
- Ale gdzie on jest teraz?
- Chcesz mnie doprowadzić do szaleństwa! Uspokój się, Denny, musimy już iść. Dlaczego znowu założyłeś ten sweter? Prosiłam, żebyś go nie nosił, bo muszę go dać do prania. Staraj się o tym pamiętać, kochanie.
- Jeszcze nie skończyłem jedzenia.
- Już prawie wpół do dziewiątej...
- Daj mi spokój, jestem głodny. Obudziłem się głodny. Ty jesz tak szybko, zupełnie jak chłopcy w szkole, ci starsi, mówiłem ci o Sandlerze, tym sukinsynu, jak je pomarańcze, wgryza się w nie, a cały ten obrzydliwy sok płynie mu po twarzy. Ja swoje zawsze obieram i dzielę na cząstki.
- Nie używaj takich słów jak sukinsyn!
- Wszyscy używają. Nawet w telewizji.
- Ale nie tutaj. Ja tego nie robię.

- *On używał.*
- Tak. Używał, używał. Wyprowadził się też, kiedy jeszcze byłeś chory, duży dowód troskliwości, prawda? Miałeś jeszcze wysoką gorączkę. Ale ja się nie złościłam, nie krzyczałam na niego, nie używałam brzydkich słów.
- ...gdzie on jest? W tej chwili?
- Denny, proszę cię!
- No więc?
- Kochanie, muszę cię zawieźć do szkoły. Bardzo pada, a wiesz, jak nie lubię jeździć, kiedy jest tak ślisko. Będę musiała jechać wolno, a o dziewiątej trzydzieści mam zebranie komitetu na uniwersytecie. Pospiesz się, bo przez ciebie oboje się spóźnimy.
- Mamo, pytam cię: *czy wiesz, gdzie on jest?*
- W Nowym Jorku, w tym samym miejscu od czterech lat, na Osiemdziesiątej Trzeciej Wschodniej — nie pamiętam numeru. Dlaczego zachowujesz się tak dziecinnie, i denerwujesz mnie, kiedy mam tyle do zrobienia? I ten straszny deszcz! Jeżeli to się nie skończy, jeżeli się nie uspokoisz, będę się znów musiała umówić z doktorem Gruberem.
- Akurat!
- Czy chcesz, żebym pojechała sama? Nie pozwolę sobie na takie zachowanie, po prostu cię tu zostawię. Denny, nie możesz mnie tak denerwować.
- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.
- Denny, masz jedenaście lat...
- A ty masz czterdzieści pięć, i co z tego?
- Bawisz się tą owsianką! Zabieram ci talerz!
- Mamo, przez cały czas cię obserwuję. Tak jak ty studiujesz te swoje książki. I wiesz co?
- Co?
- Kiedy mówisz o nim, nie patrzysz na mnie. I nie odpowiadasz na moje pytania.
- Powiedziałam ci, że jest w Nowym Jorku! Ze swoją żoną!

- A właśnie, że nie! Jest w Kapsztadzie.
- W Kapsztadzie?
- A widzisz! Nie wiesz! Polecieli tam oboje z Muriel na dwa tygodnie. Nie wiedziałaś o tym! Nie wiedziałaś!
- Dlaczego do Kapsztadu? Dlaczego obydwójce?
- Ponieważ on ma tam przeprowadzić z kimś wywiad i chciał, żeby Muriel z nim pojechała. Dlatego. Właśnie dlatego.
- Ty chcesz mnie zniszczyć, prawda?

Nigdy nie pytali o Teodora, jej byłego męża. Ani o ojca, który odszedł z Harvardu na emeryturę już przed wieloma laty, wdowca umierającego powoli na guz mózgu w domu starców w Cambridge. Podczas zdawkowych, trochę po omacku prowadzonych, ale nadzwyczaj ważnych rozeznań, które poprzedzają przyjaźń i ustalają, o czym można mówić, a o czym nigdy nie należy nawet wspominać, przekonali się w krótkim czasie, że jedynym bezpiecznym tematem jest Dennis. *Jak się ma twój uroczy, zdolny chłopiec? Czy już minęły kłopoty z płucami? Oczywiście. Nikt nie umiera na bronchit. I stale jest tak nad wiek rozwinięty?, lekcje skrzypiec, historia średniowieczna, nauczyciel matematyki? Oczywiście, oczywiście. A nauczyciele — ciągle tak nim zachwyceni? Oczywiście.*

Ale tego roku sama zorientowała się, że kłamie. Ona, która wierzyła w prawdę, w absolutną wierność wszystkim prawdom, zaczęła odczuwać napięcie we własnym uśmiechu... powoli, wbrew jej życzeniom, stawał się to uśmiech mający na celu przekonywanie. Było jej bardzo trudno oprzeć się chęci ucieczki od prawdy o rozwodzie, ale stawiała jej czoło, potrafiła się śmiać, potrząsać głową i mówić na przyjęciach albo w gabinetach kolegów uniwersyteckich o niebezpieczeństwach życia w społeczeństwie, idącym szybko do przodu, w którym nawet pojazdy użytkowe traciły użyteczność, skoro wyszły z mody, skoro rzucił) im wyzwanie nowsze, młodsze, bardziej dynamiczne „modele”. Jaką ulgę

odczuwali wszyscy, słysząc ją mówiącą tak otwarcie, tak uczciwie. Oczywiście tak wielu jej słuchaczy było po rozwodzie, po powtórnym ślubie i ponownym rozwodzie, tak wielu starych przyjaciół marniało w skomplikowanych, ponurych związkach, których nie mieli odwagi skonfrontować z prawdą, a dzięki jej ocenie własnego niepowodzenia mogli litować się nad nią i równocześnie darzyć ją sympatią. Pogodna swojskość, dziwnie domowa, niosąca pocieszenie brzydka twarz i włosy, a nawet sposób, w jaki się poruszała — zbyt gwałtownie i zbyt niepewnie — pozwalały mężczyznom lubić ją serdecznie, prawdziwie po koleżeńsku, a kobietom darzyć ją szacunkiem, choć oczywiście wszyscy zazdrościli jej reputacji. To wytwarzało pewien dystans. Przyjmowała przyjaźń kolegów, przyjaźń, która nigdy nie przekształcała się w nic bardziej intymnego, akceptowała też oczywiście ich szacunek, uważała, że nań zasługuje, ale najbardziej dumna była ze swojej moralnej integralności, ze swojego zaangażowania w prawdę. A teraz to właśnie wydawało się rozpadać.

Jej panieńskie nazwisko brzmiało Akenside, jeden z jej przodków był miernym poetą w osiemnastym wieku, kiedyś zamierzała nawet napisać poważne studium o jego dziele, i wydobyć go z zapomnienia, ale rozmyśliła się, bo jego wiersze były kiepskie, nawet jak na tamtą epokę, toteż cały pomysł mógł się wydać sentymentalny. Pochodzenie rodziny jej matki dałoby się wywieść od kolonii w zatoce Massachusetts. Wszyscy byli purytanami, choć jedynie członkami kongregacji, jako że rodzina nie mogła się chlubić ani duszpasterzami, ani teologami. Wprawdzie nie była religijna, ale często pół żartem, pół serio mawiała, że jest purytanką. Lubiała pracować. Pracowała przez większą część swego życia, nie tyle fizycznie, bo nie było takiej potrzeby, ale studiowała, uczyła się, zapamiętywała, pisała. Ojciec, Ronald Akenside, przez czterdzieści lat wykładał filozofię w Harvardzie, napisał z pół

tuzina książek, każda z nich w momencie ukazania się była przyjmowana entuzjastycznie, ale ich wpływ na innych uczonych nie okazał się taki, jak można było przewidywać... co stanowiło jedno z gorzkich rozczarowań jego życia. Naukowe sukcesy Nory, posada w Radcliffe, a nawet jej małżeństwo z Teodorem Drexlerem, wydawały się początkowo sprawiać przyjemność doktorowi Akenside, potem z niezrozumiałych powodów przestał się interesować jej osiągnięciami, przestał pytać, jakie prowadzi badania, jakie ma plany na przyszłość, a wkrótce przed tym, zanim poszedł do kliniki neurologicznej, Nora zdała sobie sprawę, że nawet nie przeczytał jej najnowszej książki. Książka stała na półce, dokładnie w tym miejscu, gdzie sama ją postawiła. Przyszła jej do głowy straszna myśl: *to wszystko nas nie uratuje*. Później nie miała najmniejszego pojęcia, co to miało znaczyć, ani dlaczego tak pomyślała.

Niestety, trzy ze swoich czterech książek opublikowała pod nazwiskiem Drexler, jej reputacja łączyła się z tym zniechęcającym nazwiskiem, nie mogła powrócić do nazwiska Akenside, do dziewczęcej, dziewiczej Nory z wczesnych lat, oczarowanej książkami, pragnącej pracować 10–12 godzin bez przerwy. A więc Drexler. Drexler. Mówiła prawdę o nim, stawiała czoło wstydnemu odepchnięciu przez niego, to czyniło ją bardziej ludzką, sprawiało, że podziwiali ją nawet przyjaciele Teodora, nawykli do kłótniowych, rozgoryczonych ekszów. A ponieważ Teodor nie interesował się Dennisem, ponieważ jego nowa, dwudziestoczteroletnia żona na pewno nie potrzebowała niezrównoważonego, błyskotliwego Dennisa, Nora mówiła o nim dobrze, znajdowała litościwe słowa, przymiotniki. Wiedziała, jak się posługiwać słowami.

A twój mały chłopiec musi być — pewnie już nie jest mały, prawda? Dlaczego nie przyprowadzisz go czasami? W tamtą niedzielę tak dobrze się bawili z Rogerem, Roger

twierdzi, że Dennis jest jedynym chłopcem, z którym może rozmawiać. Mogłabym też zaprosić Swansonów. Czy znasz Swansona? Przyjechał tu na semestr z Instytutu Mediewistyki w Toronto.

Nie, Nora jednak nie mogła.

— *Nie? Dlaczego? Noro, już dwa razy pod rząd nam odmówiłaś. Co się stało?*

Nic się nie stało.

— *Nic. A jednak...*

Nic. Nic.

— *Czy dziadek jeszcze nie umarł?*

Dennis chodził za nią po ogrodzie. Ciągle był w pizamie, chociaż minęło południe.

— *Całe to cholerne zamieszanie, jakie zrobiłaś, jadąc tam o siódmej rano. Wielka rzecz! Chociaż te sukinsyny mogły ci przysłać karetkę, ale nie, ty sama! I te wszystkie fałszywe alarmy! I budziłaś mnie wtedy, a teraz ciągle się budzę przed świtem i kiedy przychodzi pora na wstawanie, czuję się, jakbym umierał. Czuję się, jakbym umierał!*

Wynajęła dwupiętrowy dom w Cambridge, skromny, z prostą fasadą, który na szczęście miał otoczony murem ogródek, nieduży, pięknie rozplanowany, ukryty przed wzrokiem sąsiadów z każdej strony. Dopóki nie przeprowadziła się do tego domu, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo polubi pracę w ogrodzie. Ta strona jej natury nigdy nie zdążyła się rozwinąć, przez wszystkie lata stypendium, potem macierzyństwa, a potem przez dziesięć lat szalonego połączenia prac badawczych, dydaktycznych i macierzyństwa, co wyczerpało ją znacznie bardziej, niż chciałyby przyznać. Nigdy nie miała zwyczaju narzekać, więc nie narzekała i wtedy. To przemawiało na jej korzyść. *On* się skarżył, nie lubił pospiesznych posiłków, roztargnienia Nory, kiedy opowiadał o swojej pracy: specjalizował się w nowej błyskotliwej dziedzinie

z pogranicza psychologii, lingwistyki i socjologii, w której sława powstawała i ginęła w ciągu jednego sezonu, w której książki określano jako „rewolucyjne”, a potem zapomniano o nich po kilku miesiącach; nie podobał mu się sposób, w jaki Dennis go unikał, wystraszony jego napięciem, wybuchami śmiechu, rosnącą niecierpliwością wobec „kompetentnych stwierdzeń” Nory, jak je nazywał. On, jej mąż, narzekał nawet na jej pracę, przede wszystkim dlatego, że przyczyniała się do jej roztargnienia, a poza tym, czyniła głośnym nazwisko *Drexler* w rejonie Cambridge-Boston-Nowy Jork jakby to naprawdę było nazwisko Nory, nie jego. Głównie jednak przeszkadzał mu pełen przeciągów, brzydki dom na bulwarze, biegnącym w dół od domu jej rodziców; nawet zanim zaczął spędzać większość weekendów w Nowym Jorku, wiedziała, że małżeństwo jest skończone, że wkrótce będzie mieszkała gdzie indziej, jak córka znów rzucona wolno... Ale córka z własnym dzieckiem.

Jak zacząć od początku, kiedy wkracza się w wiek średni?... Nie zaczynała od początku, kontynuowała projekt, nad którym pracowała od wielu lat, studium poetyckiej wizji starości, szczególnej natchnionej wiedzy sędziwego poety, kiedy staje w obliczu śmierci.

*...Potem z umysłem swoim walczył
Swe dumne serce na placu zostawił*

*A teraz zaczął swoje boje z Bogiem;
Bóg z wybiciem północy go pobił. **

* Wiersze w przekładzie Krzysztofa Karaska.

Praca ta nabrała dla niej nowego, strasznego znaczenia z nastaniem bólów głowy ojca, z pogarszaniem się jego wzroku, rosnącym pomieszaniem i powolną, upiorną, otępiającą deformacją — jego zapomnianiem o niej, w miarę pojawiania

się nowych wizji, rzucających wyzwanie jego śmiertelności. Kiedy czytała „Skalę” Stevensena na seminarium studentów ostatniego roku, poczuła, że zaślepiają ją lzy, nie mogła kontynuować. Jeden ze słuchaczy nie stracił przytomności umysłu i przeczytał wiersz do końca, ale właśnie sam początek owego utworu był dla niej tak przerażający, zdało jej się bowiem, że słyszy w nim znajome słowa wypowiedane głosem ojca

*To złudzenie, że byliśmy kiedykolwiek żywi,
Że mieszkaliśmy w domach matek, ustawialiśmy się
Ruchem własnych ciał w swobodzie powietrza.*

*Pomyśl o wolności sprzed lat siedemdziesięciu.
To nie jest już powietrze. Domy dalej stoją.
Ale stęzałe w tej stęzałej pustce.*

Czy dziadek jeszcze nie umarł? Pracowała w ogrodzie, kłęcząc na dodatek do „New York Timesa”, pracowała jak zwykle szybko, wrywała chwasty, nawet całkiem małe, wprowadzała do ogrodu ład. Kiedy tu zamieszkała, ogród był w strasznym stanie. Nie znosiła nieporządku, zatartych granic. Podobnie jak Yeats, Stevens i inni święci z jej panteonu odczuwała potrzebę potwierdzenia, dokumentowania dążeń jednostkowych do uczestnictwa w bujności wszechświata. A to puciołowate, rozgorączkowane dziecko w przepoconej piżamce chodzi po ogrodzie, apatycznie żując krakersa Ritz i próbuje doprowadzić ją do szaleństwa tak samo jak jego ojciec. Nie zwracała uwagi na jego desperackie zaczepki. Nie był zdrowy, kłamała, mówiąc o nim i mówiąc do niego. Kiedy Teodor zadzwonił z Kapsztadu — nie ulegało wątpliwości, że jego wizyta przebiegała bardzo pomyślnie (w tym najdziwniejszym z możliwych miejsc przeprowadzał wywiad z biologiem, laureatem Nagrody Nobla dla jakiegoś magazynu dla

mężczyzn) — skłamała, mówiąc mu, że wszystko jest w porządku, absolutnie w porządku jak zwykle. Nawet rozmawiając z nim przez telefon, czuła się nieswojo. Kiedyś się kochała. Dziesiątki lat temu. Wiele razy byli razem w łóżku, tak wiele razy, że na samą myśl o tym kręciło jej się w głowie — nie, nie będzie nawet o tym myślała. Ale teraz, rozmawiając z nim, odpowiadając na jego raczej porywcze pytania, miała wrażenie, że znali się w dzieciństwie, że łączyła ich jedynie niezręczna intymność brata i siostry, pragnących wyzwolić się od siebie.

Pragnących się wyzwolić...

Tak, zdania, które wypowiadał na pożegnanie zawsze były zdawkowe, wycofywał się tak jak panowie uwalniający się od jej towarzystwa na przyjęciach, jakby chciał powiedzieć: dosyć tej intelektualnej konwersacji, wracam do prawdziwego życia!

— Dlaczego już mnie nie zabierasz do dziadka? — zapytał Denny. Pochylił się nad nią nagle, wyglądał na poważnego, niemal wyniszczonego. Nie uczesane włosy unosiły się nad czaszką w pierzastych kępkach.

— Zwykle mnie zabierałaś. Tęsknię za dziadkiem. Mam prawo widywać dziadka. Mamo, kiedy pójdziesz następnym razem...

— Nie, Dennis.

— Mamo, obiecuję, że nie będę zdenerwowany i niegrzeczny. Nie wiem, co mi się stało, żeby się tak wygłupiać z tą windą. Obiecuję, że będę grzeczny. Będę się dobrze zachowywał. — Mówił szybko z ową bezpośrednią, raczej bezmyślną intensywnością, właściwą dzieciom przed jedenastym rokiem życia. Najwyraźniej zapomniał o tych wszystkich strasznych rzeczach, które wygadywał przez całe rano. — Chyba, że dziadek umarł, a ty trzymasz to w tajemnicy...

— Och, Dennis, uspokój się.

— ...tak jak zrobiłaś z ojcem...

— Co ty masz na myśli?
— ...jego samolot mógłby spaść do morza, a ciebie nic by to nie obeszło. I nie powiedziałaabyś mi ani słowa. Ty chcesz mnie odciąć od wszystkiego, chcesz mi wepchnąć głowę pod wodę...

— Kiedy Teodor zadzwonił, dawałam ci słuchawkę, ale uciekłeś — powiedziała spokojnie.

Dennis parsknął pogardliwie.

— Kochanie, proszę cię, idź się ubierz. Co będzie, jeżeli ktoś wpadnie do nas po południu? A ty w piżamie? Taki duży chłopiec w piżamie?

Powlókł się z powrotem do domu. Zauważyła, że zostawił tylne drzwi otwarte szeroko. *Nie będzie już nawet naszych cieni, ich cieni. Dobiega końca życie, jakie wiodły w naszej pamięci.*

Sprawdziła numer telefonu Grubera, ale nie zadzwoniła. Upływały dni. Tygodnie. Czasami Dennis był znowu sobą — pogodny, entuzjastycznie nastawiony do szkoły, skąd wracał z nowinami na temat skomplikowanej mapy szkolnych popularności, walk i zwycięstw, a potem ni z tego ni z owego mówił jej następnego ranka, że jest zbyt zmęczony, zbyt znużony, żeby się w ogóle ubierać. Patrzył na nią niepewny i zbity z tropu. *Próbował ją zniszczyć.* I w takie poranki zaczynał szlochać, kiedy nalegała, że musi, *musi* iść na uniwersytet i mówiła mu, że jedenastoletnie dziecko nie potrzebuje, żeby matka zostawała z nim w domu, nawet kiedy jest chore (w co zresztą wątpiła), a on wołał ją i krzyczał na nią ze swojej sypialni, podczas gdy ubierała się drżącymi rękami, starając się nie ustąpić. Na drugim piętrze ich miejskiego domu były tylko dwie sypialnie, a między nimi łazienka. Kiedy była w łazience, walił w ścianę, wykrzykiwał, najwyraźniej z rękami zwiniętymi w trąbkę przy ustach: *Jestem chory! Nie możesz wyjść! Nie możesz!*

A następnego dnia potrafił znowu zachowywać się normalnie, może trochę zbyt normalnie, przejawiał zbytnią chęć do rozmów o mądrych rzeczach, jakie tego dnia powiedzieli nauczyciele, o wysokiej ocenie, jaką dostał z historii, o głupstwach, jakie opowiedział mu jeden z chłopców, którego zresztą bardzo podziwiał. Nora zachowywała ostrożność, starała się zbyt łatwo nie ulec pokusie doznania ulgi. Głaskała go po włosach, słuchała jego paplaniny, uśmiechała się, kiwała głową, przytakiwała, szykowała mu potrawy, które lubił, proste, niewymyślne jedzenie, takie jakie lubił Teodor, zwykle befsztyki czy kotlety, kartofle purée. I zostawała z nim w domu przez cały wieczór. Jeśli przyjaciele zapraszali ją na kolacje lub przyjęcia, wymawiała się, wynajdując różne usprawiedliwienia. Mówiła, że ostatnio pracuje bardzo dużo, ale na szczęście kończy już książkę, którą zaczęła tak wiele lat temu. To na ogół ich przekonywało, ponieważ wiedzieli, że Nora Drexler pracuje przez cały czas.

— Kto to dzwoni, mamó?

Zakryła ręką słuchawkę.

— To nic, kochanie, proszę cię nie przerywaj.

— To Gruber, prawda?

— Nie. Proszę cię, nie przerywaj, kiedy rozmawiam...

— Odlóż.

— Denny, ostrzegam cię!

— Odlóż! Nie potrzebujesz z nikim rozmawiać!

Odlóż!

Usprawiedliwiała się więc pospiesznie, byle tylko nikt nie mógł się zorientować, o co naprawdę chodzi. Przez następne godziny, przez całe dni była niemal chora ze strapienia. *A jeśli przez telefon słycać było głos Denny'ego?* Kiedy poddawała się tak szybko, sprawiało mu to dziwną przyjemność, najwyraźniej mu w jakiś absurdalny sposób pochwlebiało, jak dziecku znacznie od niego młodszemu, a równocześnie całkiem niepodobnemu do prawdziwego Denny'ego sprzed lat.

Podchodził do niej, przytulał się, wachając ją i mamrocząc coś o tym, że „jest przestraszony”, nie było to wyraźne podziękowanie za to, że mu uległa... był trochę zawstydzony i ukrywał przed nią twarz.

Zdjęła mu okulary i bezmyślnie przeczyściła szkła dołem sukienki.

— To była tylko żona profesora z wydziału — powiedziała uspokajająco. — Nie znam jej zbyt dobrze, kochanie. Nikt ważny. Nikt.

Nawet, jeżeli dzwonił stary przyjaciel, ktoś, kogo bardzo chciała znowu zobaczyć, mówiła: — To nie był nikt ważny, kochanie. Nie martw się.

Zczasami kiedy spała, Dennis krążył po domu. Budziła się przerażona, słyszała jego kroki, chodził bosy, ale ciężko, niezdarne. — Dennis? — wołała — Dennis? — A on zatrzymywał się, zastygł w bezruchu. A potem odkrzykiwał coś o „sprawdzaniu okien”, „zamykaniu tylnych drzwi”. Kiedyś próbował ją przekonać, że ktoś jest w ogrodzie. Zapalił światła na tarasie i podniecony podskakiwał po kuchni. — Włóczęga, mamó! Widziałem go! Widziałem go! Nora zapytała, w jaki sposób włóczęga dostałby się do nich przez ogródki Feuchtów i Steinerów? — a potem, w jaki sposób tak łatwo by się wymknął? Ale Dennis był tak podniecony złodziejem i groźącym niebezpieczeństwem, że w miarę upływu czasu wydawał się sam wierzyć we własną opowieść. Siedziała znużona przy kuchennym stole i obserwowała go. Dlaczego? Co się stało? Zdawał sobie sprawę, że mu się przygląda i sprawiało mu to wyraźną przyjemność, ostatnio reagował tak na każdy rodzaj zainteresowania. Dennis, który jako małe dziecko zachowywał się z tak cudowną godnością, stał się teraz niemal ekshibicjonistą, lubił się popisywać. Nora zawsze źle się czuła w towarzystwie dzieci swoich przyjaciół, ponieważ większość z nich była niezbyt inteligentna, głupiutkie

dziewczynki i chłopcy, gaworzący o swoich całkowicie banalnych zainteresowaniach, nie tak, jak jej chłopiec — spokojny, milczący i grzeczny w towarzystwie. Teraz chichotał i opowiadał tak jak inne dzieci, dokładnie tak samo. Teodor byłby zadowolony... Nie, Teodor nie byłby zadowolony. Teodora także napawała dumą inteligencja, chociaż z własnej zrobił niewłaściwy użytek.

— Kochanie, muszę zadzwonić do doktora Grubera — wyszeptwała.

— W porządku, dzwoń.

— Muszę zadzwonić rano i umówić się na wizytę.

— Zamów wizytę dla siebie — powiedział impertynencko Dennis. — *Tobie* to jest potrzebne.

Przed wieloma laty żona Grubera była absolwentką Nory, pisała pracę magisterską na temat poprawek Yeatsa w *A Full Moon in March*, ale nigdy nie kontynuowała pracy naukowej, co stanowiło dla Nory wielki zawód. Gruber natomiast okazał się mądrym, dobrym człowiekiem. Nora początkowo obawiała się spotkania z nim, tak jak zwykła obawiać się spotkań z mężami kobiet, które podziwiała, jako że zazwyczaj sprawiali jej zawód, tak samo jak na ogół rozczarowaniem kończyła się znajomość z żonami podziwianych przez nią mężczyzn. Gruber był myślącym, skrupulatnym człowiekiem, starszym od żony co najmniej o piętnaście lat, jako student znał profesora Akenside'a i powiedział Norze, że czuje się zaszczycony spotkaniem z nią. Dopiero później, kiedy Teodor się wyprowadził, a Dennis po raz pierwszy zaczął zachowywać się „dziwnie” zwróciła się do niego o poradę fachową: wtedy pół żartem, pół strachliwie powiedziała, że jej zdaniem syn wyraża w ten sposób całkiem naturalny żal i oszołomienie, ale być może...

Gruber zachował się bardzo taktownie i wyrozumiale.

Zadzwoniła do niego ze swojego gabinetu na uniwersytecie. Początkowo wydawało się, że nie rozpoznał jej nazwiska,

recepjonistka musiała je źle usłyszeć, ale potem rozmawiał z nią ciepło, pytał jak się czuje, jak się czuje Dennis. — Robi się bardzo zachłanny i zazdrosny — powiedziała ostrożnie. — Bardzo dziwny... Jest tak wymagający jak cztero- czy pięcioletnie dziecko, ale nie zawsze... czasami jest wspaniały, a potem staje się bardzo... bardzo uczuciowy. — Gruber słuchał ze zrozumieniem. Przed rozmową zamknęła drzwi swego gabinetu, i teraz z rodzajem nonszalanckiej przyjemności wsłuchiwała się w logiczny tok własnych stwierdzeń i argumentów. Aż dziwne, że trzeba było właśnie to przekazać w formie tezy, bez tradycyjnych retorycznych chwytów... z pewnością nie jako syllogizm... raczej jak włoski sonet, pełen wdzięku, precyzji, nie do odparcia. Analiza krytyczna i ocena to także sztuka, choć ignoranci uważali, że tylko pisarze są twórcami, a więc artystami; Nora знаła wszak rytmy owej sztuki od wewnątrz, nieinstynktownie, bo wiele rzeczy robiła, kierując się instynktem, był to u niej raczej nawyk zdobyty przez lata świadomego wysiłku i pracy. Kiedy Teodor zdecydował się „walczyć” z nią zamiast racjonalnie argumentować, uświadomiła sobie pełna rozpacz, że wszystko przegrane... wybierał absurdalne, nieistotne powody kłótni, obrażając ją niemal przypadkowym charakterem ich sporów, był niesprawiedliwy, grał nie fair. Nienawidziła niesprawiedliwości. Jednak w przeciwieństwie do niego nigdy go nie oskarżała o te groteskowe, wyimaginowane problemy, nigdy nie była na niego zła, przynajmniej nie w jego obecności. Wszystko to działo się przed wieloma laty. A on oczywiście niemal natychmiast ożenił się powtórnie. Ale w jakiś sposób wydawało jej się, że dalej jest z nią, tak jak często wydawało jej się, że jest z nią ojciec, niewidoczny w tym ładnym, ciasnym gabinecie czy na sali wykładowej; obydwaj zasłuchani, będący pod wrażeniem jej wykładu, przytakujący, *tak, tak* ten punkt jest nie do obalenia... *tak...* krok po kroku rozwijała

się argumentacja jak fragment doskonale logicznej muzyki... *tak, tak*, tego punktu nie da się podważyć. Tego nie. Tak...

Tłumaczyła Gruberowi niemożliwy do przewidzenia sposób zachowania Dennisa. Gruber zapytał, czy Dennis o coś ją oskarżał. Oskarżał? Nie, chyba nie. — Przed kilkoma laty, kiedy pan go widział... to chyba bardzo dobrze mu zrobiło — powiedziała wspaniałomyślnie. — Oczywiście, teraz jest pan bardziej zajęty... przypuszczam, że jest pan bardziej zajęty... i prawdopodobnie nie pamięta pan Dennisa tak dobrze...

— Noro, wtedy chłopiec miał powody, by czuć się wystraszone — mówił Gruber — ale teraz sytuacja jest inna... miał trochę czasu, żeby się przyzwyczaić do rozbitego domu i...

Głos w słuchawce kontynuował. Nora zaczęła czuć się nieswojo, słysząc w nim te same zdecydowane, nieustępliwe rytmy, co w swoim. *Rozbity dom?* To wyrażenie było wulgarne, obraźliwe... a teraz Gruber mówił, że rzeczywiście jest dosyć zajęty, ale z pewnością postara się znaleźć czas dla Dennisa jak najszybciej, może w przyszłym tygodniu, sekretarka wyznaczy wizytę... — Proszę mi powiedzieć, o co on panią oskarża?

— Och, to absurdalne — powiedziała, czerwieniąc się — zastanawiam się, czy w ogóle jest z nim coś nie tak, może po prostu domaga się uwagi, ma mi za złe moje życie zawodowe... Może o to chodzi?

— Czy on panią w ogóle o coś oskarża?

— Pamiętam tylko jedno — powiedziała nie całkiem zgodnie z prawdą. Zastanawiała się, co może powiedzieć: Gruber będzie słuchał uważnie. Będzie analizował jej słowa. Będzie ją analizował... — ...nie przypominam sobie, żeby tamtym razem zadawał mi pan tak wiele pytań osobistej natury — powiedziała. — Oczywiście, zadawał mi pan pytania, ale nie przypominam sobie, żeby były tak... — Zawahała się,

nie chcąc używać określenia wścibskie. Był zawodowym psychiatrą, psychoanalitykiem wyspecjalizowanym teraz w psychiatrii dziecięcej, wspaniałym człowiekiem, nie brał tak wysokich honorariów jak psychiatrzy, do których chodzili jej przyjaciele, czy do których prowadzili swoje dzieci, był rozsądny i nawet całkiem miły, pod warunkiem, że nie musiało się przeprowadzać z nim takich rozmów. Ze zdenerwowania zaczęła drapać się po szyi, było to nieświadome przyzwyczajenie, na które zwrócił jej uwagę Teodor, z trudem zapanowała nad tym, jak gdyby Gruber lub ktokolwiek inny mógł ją widzieć.

— ...on miał, ach, takie absurdalne sny czy marzenia... koszmary senne. Myślę, że to jest... to było... Nie są to oskarżenia, ponieważ nie ma nic takiego, o co mógłby mnie naprawdę oskarżyć... rozwód to wyłącznie pomysł mojego męża, jak pan pewnie pamięta. ... Więc... On jest naprawdę bardzo dziecinny, mówi takie głupstwa... mówi w żartach, że to ja zabiłam Teodora,... a kiedyś, pewnej nocy, to była chyba trzecia czy czwarta rano, obudził się z krzykiem ze złego snu, opowiadał coś o tym, że puszczałam wodę do wanny i obudziłam go... — Zrobiła przerwę, ale doktor Gruber milczał. Najwyraźniej to milczenie, to denerwujące, pełne wyższości milczenie, miało ją zachęcić, ale odczuwała jedynie tępą złość. Usilnie się starała nie nadawać swemu głosowi ironicznego brzmienia, którym tak często się posługiwała, kiedy przychodziło jej omówić punkt po punkcie niedostatki i błędne wywody w pracach studentów seminarium magisterskiego. Była cierpliwa, tak, ale nic więcej. Uprzejma, tak, ale nic ponadto. — ...cały ten sen wywodzi się z prostego wypadku, który się wydarzył, kiedy dziecko miało nie więcej niż piętnaście miesięcy, próbowałam sobie uprzytomnić, ile miał wtedy naprawdę, to był zwykły wypadek. Kąpałam go przed snem jeszcze w tamtym domu... nie wiem, czy pan kiedyś widział tamten dom?... więc kąpałam go i jakoś tak się stało,

że ześlizgnął się i dostał się cały pod wodę... był wtedy naprawdę niemowlęciem... Pamiętam, jak do tego doszło, miałam rodzaj tacy, plastikowej tacy, którą kładłam w poprzek wanny... dużej emaliowanej staroświeckiej wanny... a na tej tacy były kolorowe mydła i pływające zabawki i tak dalej, i coś się musiało stać, nie pamiętam dokładnie, ale... Nie, naprawdę nie pamiętam tego dobrze — powiedziała.

— Twierdził, że słyszał lejącą wodę i że to go obudziło?

— Obudził go sen — powiedziała ostrożnie.

— Tak...

— I potem nie można już było go uspokoić, musiałam siedzieć przy łóżku. Przy jedenastoletnim chłopcu z takim wskaźnikiem inteligencji, dużo powyżej przeciętnej. Na pewno ma pan tę informację w swojej kartotece, jeżeli ma pan kartotekę... Więc oczywiście siedziałam przy jego łóżku. Pocieszałam go. Wreszcie usnął, a ja siedziałam tak przez resztę nocy, chociaż na drugi dzień miałam trzy seminaRIA. — Gruber wydawał się pełen zrozumienia, więc powiedziała jeszcze z rozżaleniem, że Teodor widuje chłopca tylko wtedy, kiedy nie ma nic innego do roboty, co jest dla niego typowe, stał się taki wkrótce po czterdziestce. A kiedy Teodor tracił zainteresowanie czy zapominał zapytać o jakieś lekcje Dennisa, na przykład o jego wspaniałe postępy na skrzypcach, stopniowo sam Dennis przestawał się tym interesować, nawet nie zdając sobie sprawy, dlaczego. Jeżeli przypominała mu o lekcjach, jeśli zauważyła, że nowej książki, którą mu kupiła, nie przeczytał tak szybko jak zwykle, wydawał się bardziej zdziwiony niż zawstydzony, jakby mówiła o sprawach całkowicie mu nie znanych. Ich jedyną wspólną czynnością było teraz jedzenie; usłyszała gorzką ironię w swoim głosie i poczuła, jak obwisają kąciki jej warg. Chlubiała się zawsze tym, że była dobrą kucharką, ale Dennis chciał oczywiście jeść tylko amerykańskie potrawy, wystarczały mu

rozmrożone hamburgery, szybkie befsztyki... czy krakersy Ritza, które hałaśliwie wyjadał z pudełka, całymi garściami. W miarę jak mówiła, przychodził jej na pamięć jeszcze inny jego sen, który napenił ją obrzydzeniem... *usta... mówił o ustach, które są razem z nim w pokoju, w ciemności, usta żujące, zgrzytające, wydające wilgotne dźwięki...*

Teraz mówił Gruber, mądrze, logicznie, tonem pełnym wyższości. Uświadomiła sobie, że mówił do słuchawki telefonu jak do zwykłego urzędnika, podsumowując, spekulując, analizując, być może miał półprzymknięte oczy, przenikliwy i sprytny wyraz twarzy. Najwyraźniej nie pochwycił jej ironii, ponieważ mówił poważnie, nawet uroczyście. Nie czuła się już tak zdenerwowana, złość pozwalała jej myśleć bardziej precyzyjnie. — ... zazwyczaj to trudne do wytłumaczenia, choć oczywiście w pani przypadku, to jest znacznie prostsze... fakt, że nie istnieją w rzeczywistości jednostki z zaburzeniami jako takie. I oczywiście tym bardziej dzieci z zaburzeniami. Są tylko nienormalne domy... otoczenia... sytuacje rodzinne. Toteż myślę, że na początku będę musiał zobaczyć i panią, i Dennisa, a może potem każde z was osobno... to zależy od tego, jak się potoczy pierwsze spotkanie. A jeżeli te seanse nie pomogą waszym stosunkom, może będziemy nawet musieli poprosić Teodora... Ale zobaczymy... Proszę się nie martwić, pani Drexler. Jestem pewny, że wszystko będzie dobrze.

— Nie jestem zmartwiona — powiedziała Nora.

— W takiej sytuacji zupełnie normalne jest odczuwanie niepokoju, a nawet lęku — powiedział denerwująco ojcowskim tonem, jakby tysiąc razy miał do czynienia z taką sytuacją. *Co za niemożliwy człowiek...* — Myślę jednak, że powinna pani wierzyć w podstawowe związki z synem, bez względu na to, jak ekscentryczne formy zdają się teraz przybierać. Może pocieszy panią to, że miałem już do czynienia z podobnym przypadkiem, tylko że była to nad wiek rozwinięta

dziewczynka, a jej matką była tancerka, kobieta sławna...

— Ja się nie martwię — powtórzyła Nora.

Po chwili Gruber przekazał słuchawkę sekretarce i Nora zdołała jedynie oznajmić krótko, że nie może teraz umówić się na żaden konkretny dzień, ale na pewno zadzwoni później.

Odłożyła słuchawkę.

Gdzie on jest? Co z nim zrobiłaś?

Miała ochotę wrzasnąć, czy zdajesz sobie sprawę, że jest czwarta rano? Ale uspokajała go. Głaskała wilgotną, rozpaloną twarz. Tak, był rozgrzany... nie, nie będzie się złościć... *Te usta wraz z nim w pokoju, żujące i wilgotne, zęby zgrzytające, żujące*, czuła, jak bije jego serce, jakby to wszystko działo się naprawdę, jakby sobie tego wszystkiego nie wyobraził, nie wymyślił. Powiedział, że jeśli ona nie zostanie z nim przez całą noc, te usta go zjedzą. Nie mógł spać. Nie mógł sobie pozwolić na zaśnięcie.

— *...wszystko wchodzi w te usta, one wszystko wsysają* — powiedział.

Po chwili, jak zwykle, się uspokoił.

Zapytała, czy chciałby pastylkę nasenną, pół pastylki, z tych, które ona bierze? Włoży pigułkę do soku pomarańczowego, pigułka się rozpuści tak, że nic nie poczuje... skoro nie może normalnie połykać pastylek, bo z jakiegoś powodu się krztusi. Czknął, pociągnął nosem, ale się zgodził. Był całkiem rozsądny, jeżeli mówiła do niego wystarczająco spokojnie, wystarczająco cierpliwie, przeczekując wszystkie te historyczne nonsensy. Zastanawiała się, czy nie polegało to po prostu na słowach, na wyjaśnianiu mu rzeczywistości — tak jak każdemu dziecku — na ciągłym powtarzaniu kilku prostych prawd. Jednak Dennis, chociaż wyraźnie zgnębiony swoim zachowaniem, błagał nieustannie: — Ale jeśli teraz usnę, to nie wyjdiesz?

— Nie mogę znów siedzieć przez całą noc — odpowiadała.

— Ale...

— Dennis, proszę cię! Sen już minął, prawda? Teraz nie śpisz i nie ma żadnego niebezpieczeństwa, a kiedy znów zaśniesz, będziesz całkowicie bezpieczny.

— To zostaw światło. To na górze.

— Nie bądź śmieszny!

— I zostaw otwarte drzwi do pokoju.

— Dobrze.

— I drzwi do twojego pokoju.

— Dobrze.

Posłusznie zamknął oczy. Leżał na środku łóżka, z głową na środku poduszki. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo się starał być grzeczny, posłuszny, toteż roześmiała się jakby nie przydarzyło się nic dziwnego — postanowiła nie zrażać go swoimi przejściowymi niepokojami — i powiedziała pogodnie, że bez wątpienia wkrótce zapomni o tych wszystkich głupstwach. — Może o tej porze w przyszłym roku. — Twarz Dennisa nie wyrażała nic. — Może wcześniej, może już na twoje urodziny — kontynuowała zachęcająco. — Będziesz już wtedy w dziewiątej klasie... skończysz szkołę średnią... i wszystko ułoży się bardzo dobrze, bez żadnych złych snów. Nawet nie będziesz pamiętał tego głupiego okresu swojego życia, kochanie, i tylko po latach ja ci czasami o tym przypomnę... powiedzmy w noc przed twoim weselem... i będziemy się razem z tego śmiali, i zrozumiemy, jacy byliśmy niemądrzy...

— Nie zamykaj drzwi do twojego pokoju — wyszeptał Dennis.

— Nie zamknę — obiecała.

Forsycje, zimozielone krzewy i bujne mirty rosły wzdłuż ogrodowych murów ze starej czerwonej cegły, wyniszczonej przez zmienne pogody. Rosły tu już wtedy, kiedy Nora kupiła

dom i nie bardzo się nimi interesowała. W głębi ogrodu posadziła kilka krzaków róż, a bliżej, wokół niewielkiego ceglano-tarasu, grządki maków, stokrotek i pierwiosnków. Pomarańczowe, białe, różowe... Ale najbardziej lubiła kwiaty w donicach, wspaniałe kompozycje kwitnących cebuli i lilii wodnych; gliniane doniczki wkładane jedna w drugą składały się na całość, którą zachwycali się wszyscy. Jaka artystyczna dusza ta Nora Drexler. I chociaż zazwyczaj czuła się dotknięta tonem komplementów — jak gdyby ona, znany naukowiec i krytyk, *nie miała* zdolności artystycznych — ale słowa te sprawiały jej przyjemność, wypowiedano je na ogół tak spontanicznie, były takie szczerze. Większość pochwał, jakimi darzono ją w świecie akademickim i literackim, miała charakter bardzo przemyślany, niemal teatralny. Należała teraz do komitetu, zajmującego się przyznawaniem awansów i podpisywaniem kontraktów na wydziale, wiadomo było powszechnie, że pracowała jako lektorka dla wielu wydawnictw uniwersyteckich, choć tożsamość owych lektorów zawsze utrzymywano w tajemnicy... oczywiście pisała też mnóstwo recenzji, pisała je niemal bez przerwy, oceniała nie tylko publikacje krytyczne i naukowe z własnej dziedziny, ale także poezję i biografie. Toteż kierowane pod jej adresem pochwały mogły równie dobrze być interesowne. Przyjmowała je oczywiście, ponieważ nienawistna jej była fałszywa skromność, jaką czasami zauważała u innych, ale część niewinnej przyjemności psuła świadomość, że nawet za prawdą kryć się mogą motywy osobiste... Tak, w ustach pewnych ludzi nawet prawda nie jest bez skazy.

Co innego ogród! Zawsze stanowił zaskoczenie, nawet dla starych przyjaciół, którzy od jednej wizyty do drugiej zdawali się zapominać o różnorodności kwiatów i roślin, jakie uprawiała, i nagle wpadali w zachwyty.

— Wyrywaniu zielska musisz poświęcać całe godziny... Kiedy ty znajdujesz czas?

— ...ile czasu to ci musi zajmować, Noro! ...jakie piękne stokrotki!

— Co za kwiaty? Nie poznaję ich. Szczypiorek? Mason, spójrz, kwitnący szczypior, nawet nie wiedziałam, że szczypior kwitnie. Co zrobiłaś z tymi brzegami? Nasz taras jest cały w chwastach, to beznadziejne, a chłopak, który zajmuje się trawnikiem, w ogóle się do tarasu nie dotyka. To wygląda jak sałata. Zobacz, zobacz, co Nora tutaj ma — nigdy sobie nie wyobrażałam, że jest tyle gatunków i kolorów sałaty. Czy to nie pomysłowe?

Nora śmiała się, mówiła, że to całkiem proste, wie to wszystko z podręczników. Każdy może to zrobić. Ale oni tłumaczyli, że sami nigdy by nie mogli, żyją w takim pośpiechu, wśród nigdy nie realizowanych planów, a potem przychodzi lato i wyjazd do Cape Cod, i ten okropny domek i straszni ludzie po obu stronach, a kiedy wracają na jesieni, zaczynają się zajęcia, kiedy to było w tym roku? — w trzecim tygodniu września.

— Niczego nie mogę skończyć — skarżył się pogodnie mężczyzna o nazwisku Colebrook. Pochylił się nad kwiatowymi kompozycjami Nory, która właśnie mu wytłumaczyła, że takie maleńkie ogródeczki w skrzynkach były bardzo popularne w XVII wieku. Skomplikowane geometryczne wzory w rozmaitych kolorach, tworzyły w jej ogródku pory, sałata i marchewka. Zadowolenie zaróżowiło policzki Nory, chociaż Colebrookowie zaskoczyli ją. Była trzecia po południu, niedziela, raczej zbyt późno na wpadanie bez zapowiedzi. Miała na sobie nieforemną suknię, wystające gołe kolana nie prezentowały się zbyt atrakcyjnie, a stopy w sandałach nie odznaczały się przesadną czystością. Przynajmniej Dennis był ubrany i nie dokuczał nikomu. Przeglądał „New York Times” udając, że czyta.

Colebrook był specjalistą od współczesnej literatury brytyjskiej, a jego żona, rówieśnica Nory, od czasu do czasu robiła tłumaczenia dla niewielkiego wydawnictwa z Bostonu,

i zwykle zazdrościła Norze „wolności”, choć Nora zawsze zastanawiała się, o co właściwie może tamtej chodzić. Colebrook, człowiek niezwykle inteligentny, dobiegający sześćdziesiątki, był autorem co najmniej jednej wspaniałej książki, i przez lata Nora na zmianę litowała się nad nim z powodu żony, kobiety pełnej zapału i entuzjazmu, ale na ogół niezbyt wykształconej, albo odczuwała pełne zrozumienie dla jego sytuacji. Tak, rozumiała to doskonale. Ona także wyszła za kogoś, kto niezupełnie dorównywał jej intelektem. Dziś jednak akceptowała niemal bez zastrzeżeń przesadny entuzjazm Sary Colebrook, ponieważ zaplanowała tak starannie owe pudełkowe ogródki, a inni goście naprawdę nie zwrócili na nie dostatecznej uwagi... Była więc zadowolona, kiedy Colebrookowie zgodzili się zostać trochę dłużej i wypić koktajl.

Dennis, siedzący o kilka metrów dalej, podniósł głowę znad gazety. Nic nie powiedział, ale na jego twarzy malował się wyrzut.

— Nie widzieliśmy cię od dawna, młody człowieku — zagadnęła Sara. — Ukrywacie się chyba z mamą, co?

Denis wzruszył ramionami.

— Jest zmęczony — wyjaśniła Nora. — To dziwne, ale niedziela bardzo go wyczerpuje. Upiera się, żeby przeczytać całą tę gazetę. Nie może to być dobre na wzrok.

— Nasz Mark też to czyta — powiedział Colebrook. — Lubi po prostu tracić czas... jaki sens ma przedzieranie się przez te wszystkie kolumny druku? Saro, usiądź, denerwujesz mnie. Odpocznijmy. Nora przygotowuje nam jakieś drinki, prawda?, i następnym punktem programu będzie relaks.

Tajemniczo dowcipny Colebrook był zawsze w humorze.

Przygotowała drinki, gawędząc z nimi przez rozsuwane drzwi. Zdumiewające, jak bardzo była spragniona gości,

towarzystwa dorosłych. Koledzy na uniwersytecie zawsze się spieszyli, a teraz po zakończeniu semestru, przekonała się, że jest osamotniona. Nie było naprawdę nikogo, kto wyraziłby zainteresowanie jej pracą, pogratulował artykułu lub recenzji, która się właśnie ukazała... Na szczęście korespondowała z licznymi uczonymi, krytykami i przyjaciółmi w Stanach i za granicą, to jednak nie wystarczało. Teraz, kiedy zajęcia się skończyły, większość czasu spędzała w domu z Dennisem.

— ...któregoś wieczoru spotkałem Teda — mówił Colebrook.

— Tak?

— ...wygląda dobrze, nie zmienia się. Wcale się nie zmienia — zaśmiał się Colebrook.

— Och, nie powiedziałabym, że wygląda zupełnie tak samo — wtrąciła Sara.

— Nie powiedziałabyś. Toteż nie powiedziałaś — oświadczył Colebrook brutalnie i pogodnie zarazem. — Ach, dzięki ci, droga, słodka, kompetentna Noro... wiesz, to naprawdę dzielnie z twojej strony, że sobie radzisz z tym wszystkim...

— ...z tym wszystkim? Co masz na myśli? — Nora usiadła obok.

Colebrook zagadkowo uniósł brwi. Był mężczyzną średniego wzrostu, sprawiał jednak wrażenie wysokiego, może ze względu na sposób, w jaki zakładał nogę na nogę, z przesadną nonszalancją, opierając kostkę jednej nogi na kolanie drugiej. Kiedy poznała go po raz pierwszy, wiele lat temu, był ambitny, niepewny, zbytnio starał się wywrzeć wrażenie na przełożonych. Teraz jako profesor zachowywał się cynicznie, lekceważąco, nonszalancko, choć Norze zawsze okazywał szacunek. Miał okulary z przyćmionymi, prostokątnymi szklami i mimo że dzień był ciepły i duszny nosił jasną sportową marynarkę, a pod nią koszulkę polo. Żona ubrana była w prostą lnianą suknię i kilka sznurków pereł. Na nogach

miała pończochy. Nora zauważyła to, i pomyślała, że zatrzymali się u niej w drodze na przyjęcie, pewnie gdzieś w sąsiedztwie. Zastanawiała się tylko, czy miało to być przyjęcie u kogoś ze wspólnych znajomych.

— Beniam Edwards pytał o ciebie — mówił Colebrook.
— Powiedział: pozdrów ode mnie Norę Drexler! Więc pozdrawiam cię, Noro! Czy ci to nie pochlebia?

Nora roześmiała się. Edwards przygotowywał u niej pracę dyplomową jakiś czas temu, podjął ambitny, niemal heroiczny zamiar napisania studium o poetyce Eliota, ale jego rozprawa nigdy naprawdę nie nabrała kształtu, przerzucił się więc na inny temat u innego profesora i w końcu poproszono go, by zrezygnował. Od tej pory opublikował tomik wierszy, chropawych i sentymentalnych, został nawet zaproszony z powrotem na uczelnię przez wydział twórczości pisarskiej, nie przez całą anglistykę, do wygłoszenia odczytu. Nora nie mogła pójść na ten odczyt z powodu Dennisa, ale prawdę mówiąc nie potrafiłaby wysiedzieć, słuchając takich bzdur.

— On nie jest taki zły — powiedziała Sara. — Ja go lubię.

— Och, my wszyscy go lubimy — odparł Colebrook.

— Nigdy nie mieliśmy nic przeciwko niemu — oznajmiła Nora.

— Z pewnością — powiedział Colebrook. — ...Okazał się całkiem złośliwym draniem. Nie czytałaś tego o sobie, co?

— Ja? Co masz na myśli?

— Przestań — ostrzegła Sara.

— *Jak Leda zdobyła łabędzia* — Colebrook uśmiechnął się, pobrzękując lodem w szklaneczce. — Złośliwy geniuszyk, ten Benje Edwards, szkoda, że nie poznaliśmy się na tym w porę... w porę, żeby go zniszczyć, cholernego drania... Gdybyś nie była wobec niego taka zasadnicza, moja pani Drexler,

mógłby napisać końcową pracę o... o czym to u diabła było?... Mauberleyu? o *Cantos*?... i zdobyć te same nagrody, jakie my zdobyliśmy... i to byłby jego koniec. Ale twoje surowe kryteria...

— Przestań, Mason. Przestań — wtrąciła Sara. Mówiła spokojnie i mechanicznie, jak przeciwiczony tekst. Serce Nory zabiło szybciej, spojrzała na Sarę Colebrook w taki sposób, jakby oczekiwała jakiegoś wyjaśnienia, tak jak często patrzyła podczas seminariów na studenta, lepszego od innych, z którym nawiązała rodzaj magicznego kontaktu, wykluczającego wszystkich pozostałych. Ale Sara niezupełnie pasowała do tej roli, i nie odwzajemniła spojrzenia Nory.

— Moja droga, kiedy marszczysz brwi, pojawiają się te wszystkie niezwykle zmarszczki na twojej twarzy — zwrócił się Colebrook do żony — a na szyi wychodzą żyły... trzy, w każdym razie tyle mogę policzyć. To bardzo nieefektywne. Czy nie możesz naśladować pani Drexler, moja droga? Zachowywać się z wdziękiem, jak dama? Pełna rezerwy?

— Mam nadzieję, że nic się nie stało — powiedziała niepewnie Nora.

Żadne z małżonków nie odpowiedziało. Nora spojrzała w stronę Dennisa, najwyraźniej nie czytał gazety, ale pochylał się nad nią, przykucnął niemal nad rozrzuconymi po tarasie stronicami, wychylony w przód na płóciennym krzeselku, jego białe pulchne nogi pokryte puszką widoczne były poniżej starych szortów w kolorze khaki. Ostentacyjnie odwrócony był od matki i jej gości. Nad ich głowami niebo miało zamglony szarobłękitny kolor, nie można było się spodziewać niczego lepszego przy takim skażeniu środowiska... a ogród wyglądał pięknie. Nora zdawała sobie sprawę, że dotyczy to zwłaszcza roślin, które sama wyhodowała. A jednak coś było nie tak. Wiedziała, że za chwilę zdarzy się coś strasznego.

Colebrook odchrząknął, zapytał ją o pracę, mówił normalnym głosem, co Nora przyjęła z ulgą. Była absurdalnie wdzięczna za to pytanie, bała się, że może ono nie paść, i nie przeszkadzało jej, że Colebrook zadał jej to samo pytanie przed kilkoma tygodniami na uniwersytecie w czasie przyjęcia na cześć gościa — angielskiego poety. Kiedy mówiła o swojej pracy, zdawała się przenosić w zupełnie inny wymiar, nie była za grubą, spoconą, raczej zbyt troskliwą panią domu, była jedynie świadomością całkowicie uwolnioną od ciała i wszystkich ograniczeń czasowych, i wydawało jej się ostatecznym gestem miłości, ostatecznym aktem miłości, jeżeli jakkolwiek mężczyzna, a zwłaszcza mężczyzna tak inteligentny i uzdolniony jak Mason Colebrook, po prostu zadał jej prawidłowe pytanie. *Nad czym pracujesz...?* W wieku dwudziestu siedmiu lat opublikowała rozprawę doktorską napisaną w Harvardzie na temat poetyki Eliota, pracę pięćsetstronicową, z niezliczoną liczbą przypisów, której tezą była wizja poety jako istoty transcendentnej — tryumfującej nad osobowością, nad ograniczeniami samego ciała. Za tę pracę zdobyła nagrodę Amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury (Colebrook otrzymał podobną nagrodę za książkę o chwytach retorycznych we współczesnej powieści), a potem zaproponowano jej wspaniałe stanowiska na licznych uniwersytetach, choć oczywiście w ogóle nie mogło być mowy o tym, by miała kiedykolwiek opuścić region bostoński, rozstać się ze środowiskiem swego dzieciństwa. Małżeństwo w wieku lat trzydziestu było dla niej przyjemną niespodzianką, bardzo kochała Teodora Drexlera. Jeśli cokolwiek nie udało się w ich związku, to nie z jej winy... ale myślenie o tym nie miało sensu, myślenie o tym wciąż na nowo, skoro sam Teodor najwyraźniej zapomniał... Małżeństwo, dziecko, w końcu rozwód nie przeszkodziły naprawdę w jej pracy, awansowała, od czasu *Poetyki Eliota* opublikowała trzy inne

książki, niezliczone eseje i recenzje. Recenzje Nory Drexler były wprawdzie zazwyczaj esejami, niezwykle długimi i przemyślanymi, dobrze uargumentowanymi, czasami raczej okrutnymi, ale niezmiennie odznaczały się abstrakcyjną purytańską gorliwością, która zmuszała czytelnika, by się zgodził, by powiedział *Tak, tak, to musi być tak...* W miarę upływu lat i pojawiania się nowych książek na tematy, o których pisała, zwłaszcza o Eliocie, ponieważ ciągle wpływały nowe szczegóły biograficzne, Nora musiała energicznie bronić swej pozycji, musiała bronić Eliota przeciwko tym wszystkim, którzy próbowali powiązać jego dzieło z ponurymi, nieważnymi szczegółami z jego prywatnego życia, jak gdyby sztuka rodziła się ze zwykłego, rutynowego, emocjonalnego życia, a nie z wyższej świadomości!... Chociaż podejrzewała, że inni krytycy akademicy napiszą o tych książkach miążdzące recenzje, na jakie owe niewątpliwie impertynencje dzieła zasługiwały, to jednak czasami sama prosiła o książki do recenzji, żeby mogła rozprawić się z nimi odpowiednio. Ale robiła to z absolutnym brakiem osobistego zaangażowania, jak uczennica purytanka broniąca jedynie Kościoła przed obcymi.

Mówiła do Colebrooka raczej namiętnie. Nie, nie wierzy w to, że sztuka znaczy wiele dla większości ludzi, niewątpliwie jest własnością bardzo nielicznych. Zwłaszcza poezja jest własnością bardzo nielicznych, zaspokaja potrzeby wrodzone pewnym tylko ludziom, żeby słowa pasowały do miejsca, wspaniałe, najlepsze słowa w najlepszym porządku... Jak powiedział Hopkins... Jak powiedział Stevens... — Jak w muzyce, kiedy słyszysz kadencje podobające się publiczności, które zawsze można przewidzieć, wystarczy tylko, żeby rytm był podkreślony, naprawdę przez całe życie nie zdołałbyś odkryć związku pomiędzy ich gustem a twoim. To po prostu niemożliwe. — Nora była podniecona, dziewczęca. Podobało jej się to, że Colebrook wydawał się słuchać z taką uwagą.

Wyglądał na człowieka zmuszonego do myślenia: *Trzeba to przyznać. Tak, ona ma rację.*

Poszła do kuchni i przyniosła mu nie tylko kolejnego drinka, ale także solone orzeszki, a on podziękował jej szerokim uśmiechem. Kiedy chciał, potrafił być taki chłopięcy, taki ujmujący. Opowieści o jego cynizmie czy braku litości były tak samo plotkami, jak pogłoski o Norze, czyste kłamstwa, wysane z palca. Dzisiaj był na tyle miły, że wspomniał ostatnią recenzję Nory dla „American Scholar”, miażdżącą krytykę jednej z tych nowych psychologiczno-poetyckich książek, których Nora nie cierpiała. Nawet tytuł *Niespękana wyobraźnia* złościł ją z jakiegoś powodu. Nora potrząsała głową, mówiąc, że pisanie tego właśnie eseju sprawiało jej niewymowną przykrość, zdawała sobie bowiem sprawę, jak bardzo zrani autora, naprawdę nie znosiła mówienia takich brutalnych, nieodwołalnych rzeczy na temat inteligencji, która książkę stworzyła, ale niestety... — Ktoś musiał to zrobić — powiedziała. — Książkę mogliby przydzielić komuś innemu, kto by ją pochwalił... Możesz to sobie wyobrazić? To by było...

Colebrook zaśmiał się. Łapczywie zjadał orzeszki.

— Trzy tygodnie zajęło mi uporządkowanie myśli na temat tej książki możliwie najlogiczniej — wyznała Nora. — Przypuszczam, że to strata czasu, ale czułam, że muszę to zrobić. Nawet jeśli mam coraz mniejszą nadzieję, że nauczę kochać kadencje ludzi pozbawionych słuchu... Przykro mi, że moje teksty tak często muszą wydawać się okrutne, ale jak ci doskonale wiadomo, Mason, nie mamy w tych sprawach wielkiego wyboru. Widzę już, jak otwierają się śluzy... nasze uczelnie zostają zniszczone... nasze programy zakażone groteskową „literaturą”, tworzoną przez rozmaitych ludzi... nawet literaturą ustną, nawet... dziełami analfabetów... Jeżeli nie będziemy odważni i nie zwalczymy tych spraw

natychmiast, wkrótce będziemy uczyli pieśni indiańskich. Zanim się zorientujemy!

— W jakich sprawach? — pytał ze śmiechem Mason. — Gdzie? Ja sam lubię być sadystycznym draniem — powiedział pogodnie. — Dla mnie nie ma problemów. Po prostu lubię — i tu wykonał ręką niezręczne ruchy, parodiujące uderzenia karate. Może zamierzał być zabawny, ale ani Nora, ani jego żona się nie śmiały. Zaczerwienił się, uśmiechając się głupkowato z własnego niezbyt udanego dowcipu, a Nora zdała sobie sprawę, że jest pijany. Coś z nim było nie w porządku: albo był pijany, albo pod wpływem narkotyków. Sara zadała Norze jakieś pytanie, próbując zmienić temat, ale przerwał jej brutalnie: — Czy to sól czy pocziwy stary kurz na tych orzeszkach?

— Noro, po prostu nie zwracaj na niego uwagi — błagała Sara. — Ja nie chciałam przyjść, to był *jego* pomysł... powiedział, że nie będzie się tak zachowywał... wiem, Noro, że cenisz sobie spokój, nie znosisz, żeby ludzie ci przeszkadzali i...

— Ależ bardzo się cieszę, że was widzę — powiedziała Nora. Przenosiła wzrok z Sary na Masona, absolutnie zaskoczona. — W tym roku pracowałam tak ciężko, że moje życie towarzyskie praktycznie przestało istnieć... Doskonale wiecie, że zawsze możecie wpaść, o każdej porze. Ja sama niewiele wychodzę, ale zawsze jestem bardzo rada... rada, kiedy mam gości... Co ty miałeś na myśli, Mason? Co powiedziałaś?

— Niewinny żarcik! Orzeszki. Za każdym razem, kiedy byliśmy u ciebie, Noro, zawsze ta sama zakąska... te same orzeszki, ta sama fajansowa waza... Nie zrozum mnie źle, bardzo je lubię i ciebie bardzo lubię...

— Nie, nie chodzi mi o orzeszki — przerwała Nora, niemal ze złością. — Chodzi mi o...

— Lepiej już chodźmy — powiedziała Sara, odstawiając kieliszek na taras.

— Proszę, powiedzcie! O co chodzi? Co się stało? — pytała Nora.

— *Wpakujmy się do Nory! Podniecimy ją trochę!* — przedrzeźniała Sara.

Colebrook podniósł garść ziemi i cisnął jej w twarz. Sara z krzykiem rzuciła się na niego. Wywrócił się niewielki wiklinowy stolik, posypało się szkło.

Wszystko to zdarzyło się tak szybko, że Nora nie miała pojęcia, co się dzieje. Wszyscy siedzieli spokojnie, chociaż bez wątpienia między Colebrookami wyczuwało się pewne napięcie, a po chwili całe to straszne zamieszanie, obrzydliwe krzyki Sary, śmiech Colebrooka. Skoczył na równe nogi, wycofał się w pojemnik z drewna sekwoi, w którym rósł kwitnący szczypior.

— Ty skurwysynu! — powiedziała Sara.

Zaśmiał się, machając do niej ręką. Trunek wylał mu się na rękaw. Oszołomiona Nora wstała nie bardzo wiedząc, co zrobić, co powiedzieć, patrzyła na nich w osłupieniu. *Co się działo? O co chodzi?* I wtedy Sara zaczęła przeproszać, mówiąc że jej bardzo, bardzo przykro, że nie powinna była z nim tu przychodzić, bo jest chory i na pół szalony, a Colebrook oddalał się mrużąc *idźcie do diabła, obydwie*. Wszedł do kuchni. Sara oświadczyła, że muszą wyjść, porwała swoją torbę i poszła za nim. Miała dziki wzrok, a jej włosy jasno czy szaro-blond wymykały się z węzła na szyi, kiedy Nora szła obok niej w stronę kuchni. — Sary, o co chodzi? Co takiego się stało? — pytała.

— Nic — odpowiedziała Sara.

Drzwi frontowe były otwarte, Colebrook stał na chodniku, pocierając ręką twarz. Zatoczył się jak ktoś naśladowujący pijaka. Kiedy Sara się odwróciła, by raz jeszcze przeprosić Norę i pożegnać się z nią, ryknął, żeby się zamknęła, dlaczego do diabła zawsze się usprawiedliwia! — Przecież Nora, ta stara, zawsze ta sama paskudna, sadystyczna egoistka, i tak nie dba

o to. Prawda, Noro? Nora i ja rozumiemy się nawzajem. Jak bliźnięta, Mutt i Jeff! Chodź Saro, chodźmy już!

— Nie rozwodzimy się — wyjaśniła Sara, schodząc ze stopni. — Wiem, co ludzie mówią, znam plotki. Ale on nie czuje się dobrze. Przypuszczam, że zaraz podejdziesz do telefonu i opowiesz wszystkim, ale to są tylko pozory. To bardzo powierzchowne. On coś gra. Naprawdę wcale tak nie myśli.

Nora obserwowała, jak szli do samochodu.

Stała tak jeszcze, kiedy odjeżdżali, Sara prowadziła. Colebrook przycupnął na siedzeniu obok. Nora patrzyła za nimi w absolutnym zdumieniu, ciągle trzymając kieliszek. *Co się stało? Czy świat był szalony, że taka straszna rzecz wtargnęła do jej ogrodu, do jej życia?*

Gdzieś za nią skomlał Dennis: — Mamo, mamo!

Odwróciła się.

— Nie idziesz z nimi, prawda? Na jakieś przyjęcie czy coś? Idziesz? Powiedziałaś, że dzisiaj cały dzień będziemy w domu sami... powiedziałaś... obiecałaś...

Zamknęła drzwi. Czowała, że drży.

— Nie puszczę cię na górę, żebyś się przebrała — powiedział Dennis, pociągając nosem. — Nie pojedziesz za nimi taksówką? Nie lubię tego człowieka, nienawidzę tego człowieka. Nienawidzę też tej kobiety. Nienawidzę ich wszystkich! A ty? Nie lubię żywych ludzi. Muriel jest ładna, ale jej też nienawidzę. A ty?

— Tak, tak — powiedziała obejmując go. Podniecone, pulchne dziecko... jej syn... musi go chronić, z pewnością musi go chronić przed szaleństwem ludzi typu Colebrooka. Jaki ordynarny, jaki niemożliwy! Czowała się niemal zdradzona, raz jeszcze zdradzona przez mężczyznę, któremu w jakiś sposób wierzyła... w jakiś sposób wierzyła, że ją podziwia. — Tak, kochanie. Tak, tak, w porządku. Zostanę z tobą... Żadne z nich nie jest lepsze od twojego ojca, prawda?... tak, nienawidzę ich, masz absolutną rację... nienawidzę ich wszystkich.

— ...czy ustaliliście szeptem jakieś plany? Masz się z nimi spotkać później?

— Nie, kochanie. To nie jest normalne, racjonalne pytanie, prawda?

— ...nie idziesz jutro do szkoły? W szkole jest przerwa?

— Dennis, w szkole są wakacje już od tygodni. To też nie było racjonalne pytanie, prawda?

— Ale ja... ja się tak boję...

— Prawda?

— Chyba nie, mamo. Chyba nie było racjonalne.

Objęła go znów, nareszcie zadowolona.

Nareszcie.

Niewielkie lawiny

Nie przestawałam nudzić matki, żeby mi dała dziesięć centów, więc dała mi dziesiątkę, i poszłam w dół naszym podjazdem, a potem skrót do szosy i dalej do stacji benzynowej. Mój wuj Winfield prowadzi tę stację. Są tam dwa automaty i musiałam się zdecydować na któryś z nich: automat z napojami czy ze słodyczami. Nie, właściwie są trzy maszyny, ale trzecia sprzedaje papierosy, więc mnie nie interesuje.

Podjęcie decyzji zajęło mi kilka minut i w końcu kupiłam butelkę pepsi coli.

Czasami zjawiał się człowiek, który otwierał te automaty i wyjmował monety. Jeżeli akurat byłam na stacji, bardzo mnie ciekawiło, jak szybko można było opróżnić i znów załadować te maszyny, potrzebny był tylko odpowiedni klucz, żeby je otworzyć. Ten człowiek przyjeżdżał białą ciężarówką z tablicami rejestracyjnymi z Kansas, które miały inny kolor niż nasze, otwierał automaty, wyjmował pieniądze i znowu kładł do automatów towary. Kiedy byliśmy młodszy, lubiliśmy tkwić na stacji i przyglądać się. Było w tym coś dziwnego, jak szybko zmieniał się wygląd maszyn, front się otwierał,

ukazywało się wewnątrz, tylko dlatego że przyjechał mężczyzna, który miał właściwe klucze.

Poszłam na tył garażu, gdzie mój wuj pracował przy samochodzie. Był właśnie pod samochodem, leżał na czymś takim zrobionym z drzewa, co miało pod spodem kółka, tak żeby mógł wjechać pod samochód. Widziałam tylko jego nogi. Miał na sobie wielkie ciężkie buciorzy, całe w smarze. Zapytałam, czy moja kuzynka Georgia jest w domu – mieszkali dwie mile dalej i mogłabym tam podejść, ale wuj powiedział, że nie ma jej, pilnuje dziecka w Stratton przez trzy dni. Wiedziałam o tym, ale miałam nadzieję, że może ci ludzie zmienili zdanie.

— Czy ten człowiek przyjedzie dzisiaj, żeby wyjąć pieniądze?

Wuj nie usłyszał. Popijałam pepsa colę, macając językiem brzegi butelki. Zawsze lubiłam smak tego napoju, zwłaszcza pierwszych dwóch czy trzech łyków. Potem czułam się już nasycona i musiałam pić powoli. Czasami nawet wylewałam resztę, ale tak, żeby nikt nie widział.

— Czy przyjeżdża dzisiaj ten człowiek, co się zajmuje maszynami?

— Kto? Nie. W przyszłym tygodniu.

Wuj wytoczył się spod samochodu. Był bratem mojej matki, kilka lat od niej starszym. Miał gęste ciemnoblonde włosy i umorusaną twarz.

— Czy dzwoniłaś do Georgii wczoraj wieczorem?

— Nie. Mama mi nie pozwoliła.

— Ktoś tam dzwonił, bo Betty próbowała ją sprawdzić, ale telefon był zajęty cały wieczór. Wtedy Betty chciała nawet pojechać całe sześć mil aż do Stratton, nie wiadomo po co, bo pewnie wszystko było w porządku. Więc to nie ty dzwoniłaś do niej?

— Nie.

— Rano Betty zadzwoniła i nieźle jej nawymyślała, a Georgia próbowała wmawiać matce, że nie rozmawiała z nikim przez cały wieczór, że coś musiało być z połączeniami.

To cholerna mała kłamczucha, ale jeśli tylko ją na czymś złapię...

Szedł w stronę wnętrza garażu. Z tylnej kieszeni kombi-
nezonu wystawała brudna szmata. Zawsze ją wyciągał i wy-
cierał nią twarz, nie zwracając w ogóle uwagi na to, że szma-
ta jest wysmarowana. Patrzyłam, czy teraz też tak robi.
Oczywiście, tak właśnie zrobił.

Niemal się roześmiałam z powodu tej szmaty i tego, jak
się Georgii upiekło. Domyślałam się, kto mógł rozmawiać z
nią przez telefon.

Język swędział mnie od coli, ten mocny słodko-kwaśny
smak sprawiał niemal ból. Usiadłam i patrzyłam na drogę. W
samym sercu Colorado, przy drodze przelotowej, na zachód i
na wschód. Dzień był gorący. Wypiłam jeden, dwa, trzy,
cztery niewielkie łyżki coli. Przycisnęłam butelkę do kolan,
ponieważ było mi gorąco. Próbowalam ustawić butelkę na
jednym kolanie i spadła, patrzyłam jak cola rozlewa się po
betonie.

Byłam zbyt leniwa, by odsunąć stopy, więc moje gołe pal-
ce robiły się mokre.

Drogą przejechała furgonetka. Pan Watkins. Nacisnął
klakson, żeby pozdrowić mnie i wuja. Jechał do Stratton.
Pomyślałam: *Do diabła, mogłam się z nim zabrać.* Nie
wiem, dlaczego w ogóle zawracałam sobie głowę taką myślą,
ponieważ i tak musiałam szybko wracać do domu. Matka by
mnie zabiła, gdybym pojechała do miasta, nic jej nie mówiąc.
Zrobiłyśmy to raz z Georgią w czerwcu po zakończeniu szko-
ły, wyszłyśmy na szosę i zatrzymałyśmy jakiegoś faceta w
dość zdezelowanym samochodzie, który wydawał się nam
znajomy, ale kiedy przystanął, żeby nas zabrać, okazało się,
że go nie znamy, było już jednak za późno. Ale nic się nie
stało, facet był w porządku. Całą drogę z powrotem przeszły-
śmy piechotą, ponieważ bałyśmy się jeszcze raz korzystać z
autostopu. Ani moi rodzice, ani rodzice Georgii nie dowie-
dzieli się o tym, ale więcej już nie próbowałyśmy.

Poszłam za wujem na stację benzynową. Budynek był ze zwykłego drewna, pomalowany przed kilkoma laty na biało, ale farba już zaczęła odpryskiwać. Wewnątrz znajdowało się tylko jedno pomieszczenie. Betonowa podłoga poplamiona była smarem i popękana. Znałam to miejsce na pamięć: deski sufitu i czarne gumowe przedmioty wiszące na wielkich porzewiałych kołkach na ścianach, reklama Cat's Paw, którą tak lubiłam, i te wszystkie inne stojące reklamy piwa i papierosów z kawałków błyszczącego kartonu. Kiedy się na nie patrzyło, trudno było zgadnąć, że przysłano je złożone na płask i trzeba je było dopiero rozłożyć i ustawić, jak ozdoby na choinkę. W automacie ze słodyczami stały za szkłem różne batony: Droga Mleczna, O'Henry, Miętówki, Ślazowy Bąbelek, Trzej Muszkieterowie, Hershey. Lubiałam je wszystkie. Czasami moim ulubionym batonem była Droga Mleczna, a czasem przez całe tygodnie pod rząd kupowałam tylko Ślazowy Bąbelek, próbując zdobyć wystarczającą liczbę kartonowych liter, żeby ułożyć całą nazwę. W każdym batoniku była jedna litera, i jeśli ułożyło się całość, można ją było wysłać, żeby dostać nagrodę. Ale najtrudniej szło ze znalezieniem litery „w”. Było za to pełno „l”, i to był przeklęty pech, kiedy odwijano się opakowanie, a wewnątrz błyszczało następne „l”, a już się miało dziesięć.

- Czy mogę pożyczyć pięć centów? — zapytałam wuja.
- Nie mam drobnych.

Akurat, pomyślałam. Wuj zawsze był sknerowaty.

Nacisnęłam guzik „zwrot monety”, ale nic nie wypadło. Nacisnęłam następny pod Ślazowym Bąbelkiem, ale też nic nie wypadło.

- Nancy, nic nie majstruj przy maszynach!
- Nie mam co robić.
- Matka może ci znaleźć coś do roboty.
- Może to zrobić sama.

- Chcesz, żebym jej to powiedział?
- Śmiało, mów!
- Słuchaj, czy ojciec dowiedział się czegoś więcej o tym facecie w Polo?
- Jakim facecie?
- Nie wiem dokładnie, no, o tym, co się wplątał w bójkę i został aresztowany, był z twoim ojcem w marynarce. Nie pamiętam jego nazwiska.
- Nie wiem.

Wuj ziewnął. Poszłam za nim na zewnątrz budynku, przeciągnął się i znowu ziewnął. Było bardzo gorąco. Na jezdni tworzyły się takie fałszywe kałuże, które wyglądały tajemniczo i zawsze się odsuwały, kiedy się do nich podchodziło. Mogły człowieka zahipnotyzować. Naprzeciwko garażu wisiała na słupie skrzynka na listy, a dalej ciągnęły się porośnięte zaroślami pola, całkiem nieciekawym widok, zwykle pastwiska i wielkie skaliste wzgórza.

Zastanawiałam się, może by tak zajrzeć do skrzynki, czy wuj nie dostał żadnej poczty, ale wiedziałam, że w środku nic nie będzie. My w porannej poczcie dostaliśmy tylko prospekt informujący o tym, jak można zarobić pieniądze, sprzedając biżuterię jako domokrażca, sama prosiłam o przysłanie tej broszury, ale już mnie to przestało obchodzić. — Georgia to ma szczęście — powiedziałam. — Mnie też by się przydało kilka dolarów.

- Tak — przytaknął wuj. Wcałe nie słuchał.

Przejrzałam się w zewnętrzny lusterko samochodu, który reperował. Nie wiem, jaki to był samochód, nigdy nie pamiętałam marek, nie tak jak chłopcy. Ciemnobrązowe auto miało wielkie ciężkie błotniki i zderzak, na którym było kilka plam rdzy, przypominała ona iskry. Szczeliny progów wypełniało stare zaschnięte błoto. Próg pokrywała mata z czarnej gumy. Miałam potargane włosy. Były gęste i miały kolor, który wszyscy nazywali pomyjowaty blond. Na moich zdjęciach z dzieciństwa widać, że kiedyś miałam włosy jasno-blond.

— Chciałabym dostać taką pracę jak Georgia — powiedziałem.

— Georgia jest o rok od ciebie starsza.

— Niech to diabli...

Miałam trzynaście lat, ale byłam tego wzrostu co Georgia i wyglądałam zgrabniej. Byłyśmy podobne. Obydwie miałyśmy gęste, rozwiewające się włosy, które skręcały się, kiedy tylko w powietrzu była wilgoć, ale trzymały bardzo dobrze zakręcone loki, kiedy na przykład szłyśmy do kościoła. Zapomniałam o włosach i przysunęłam się bliżej do lustra, żeby obejrzeć swoją twarz. Ułożyłam usta w niewielkie kółko, i zobaczyłam, jak się marszczą. Mogły się zmarszczyć do bardzo małych rozmiarów. Wysunęłam koniuszek języka.

Usłyszałam chrzęst żwiru, obejrzałam się i zobaczyłam podjeżdżający samochód. Przy samej szosie do stacji prowadził tylko zwirowy podjazd, beton był dopiero koło pomp benzynowych. Samochód miał biały, rzadko spotykany kolor, a tablice rejestracyjne z Kansas.

Mężczyzna poprosił, żeby wuj nalał mu benzyny do pełna, a sam wysiadł i wyprostował ręce.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. — Cześć — powiedział.

— Cześć.

Zagadnął wuja na temat upału, a wuj odpowiedział, że nie jest tak źle. Już taki ma zwyczaj i zawsze każdemu zaprzecza. Za to właśnie moja matka go nie cierpi. A potem zapytał: — Czytał pan o nadchodzącej suszy? Aż do września? — Wujowi chodziło o biuro informacyjne dla farmerów, ale mężczyzna nie miał pojęcia, o czym on mówi. Miał na myśli „Biuro informacji i prognoz”. To mnie doprowadziło do wściekłości, że wuj jest taki głupi i wyobraża sobie, że ten człowiek z innego stanu, i do tego pewnie z miasta, będzie coś wiedział o tym biurze, albo że go to w ogóle cokolwiek może obchodzić. To mnie rozwścieczyło. Zobaczyłam butelkę po coli w tym

miejscu, gdzie upadła, ale postanowiłam iść do domu i nie zawracać sobie głowy wkładaniem jej do skrzynki, gdzie powinno się ją odłożyć.

Szłam skrajem drogi, po asfalcie, ponieważ na poboczu były kamienie, kolce i zielsko pełne robactwa i nie chciałam chodzić po tym boso. Było mi gorąco i z jakiegoś powodu odczuwałam złość. Zbierało mi się na ziewanie, to ziewnięcie rosło jak bańka gazu w lemoniadzie. A tymczasem moja kuzynka Georgia siedziała sobie w mieście i nie miała nic innego do roboty, jak tylko uważać na małą dziewczynkę w grubych okularach, która była wprawdzie trochę dziwna, ale spokojna, grzeczna i niekłopotliwa. I za to Georgia dostanie dwa dolary! Pomyślałam z wściekłością, że gdyby ktoś teraz przejeżdżał drogą, to podniosłabym kciuk i pojechała autostopem do Stratton i niech diabli porwą matkę!

I wtedy usłyszałam nadjeżdżający samochód, ale po prostu usunęłam się na bok, żeby go przepuścić. Powodowana uporem postanowiłam się nie oglądać, żeby zobaczyć, kto to jest, ale samochód nie minął mnie, więc spojrzałam przez ramię. Był to ten mężczyzna w białym samochodzie, który brał na stacji benzynę. Jechał bardzo wolno. Odsunęłam się dalej od drogi, czekając aż przejedzie. Ale facet pochylił się w moją stronę i zapytał przez otwarte okno:

- Chcesz, żeby cię podwieźć do domu? Wsiadaj!
- Nie, nie trzeba — powiedziałam.
- Wsiadaj, zawiozę cię do domu. Nie ma sprawy.
- Nie, nie potrzeba. Jestem prawie w domu. Byłam zmieszana i nie chciałam na niego patrzeć.

Ludzie tego nie robią, dorośli mężczyźni w samochodach nie przejmują się podwożeniem. Albo zatrzymujesz samochody, żeby cię podwiozły, albo nie, a jeśli nie, to nikt nie zwolni, żeby ci to zaproponować. Ten facet jest rąbnięty, pomyślałam. Czułam się bardzo dziwnie. Próbowałam patrzeć dalej na pola, ale naprawdę nie było na co, nie było

nawet bydła, po prostu pola, nędzne drzewka i rozwalające się ogrodzenie z drutu kolczastego.

— Pokaleczysz sobie stopy, jeśli będziesz tak chodziła — powiedział mężczyzna.

— Nic mi nie będzie.

— Hola, uważaj na węże!

Wiedziałam, że nie ma tu żadnych węży, udałam więc, że się śmieję, chciałam mu pokazać, że poznałam się na żarcie, ale tak naprawdę to nie wydawał mi się szczególnie śmieszny.

— Nie ma tu w okolicy grzechotników? Co?

— Nie wiem — odpowiedziałam.

Ciągle jechał równoległe do mnie, bardzo wolno. Nie jest się przyzwyczajonym do tak wolno jadących samochodów, to wygląda bardzo dziwnie. Staralam się nie patrzeć na mężczyznę. Ale nie było nic innego, na co można by patrzeć, tylko pola i droga, góry w dali i kilka chmur.

— Człowiek na stacji był wściekły, kiedy podnosił butelkę, którą zostawiłaś.

Próbowałam trzymać zamknięte usta, ale wargi miałam suche i znowu się otworzyły. Zastanawiałam się, czy moje zęby z przodu nie są zbyt duże.

— Dlaczego odeszłaś tak szybko? To nie było zbyt przyjazne — powiedział mężczyzna. — Zapomniałaś o butelce po coli i mężczyzna na stacji powiedział, że ktoś mógłby na nią wjechać i złapać gumę. Był zły.

— To mój wuj — powiedziałam.

— Co?

Nie usłyszał albo udawał, że nie usłyszał, musiałam więc odwrócić się w jego stronę. Wyglądał normalnie, uśmiechał się.

— To mój wuj — powtórzyłam.

— Ach tak? Wcale nie jesteś do niego podobna. Czy twój dom stoi tu gdzieś niedaleko?

— Tam wyżej. — Byłam zmieszana i zaczęłam się śmiać. Sama nie wiem dlaczego.

— Nie widzę tam żadnego domu.

— Stąd nie można go zobaczyć — powiedziałam ze śmiechem.

— Co cię tak śmieszy? Moja twarz? Wiesz, że kiedy się uśmiechasz, jesteś bardzo ładna. Powinnaś się cały czas uśmiechać... — Zwracał na mnie uwagę w taki sposób, że to mnie coraz bardziej rozśmieszało. — To prawda. Dlaczego się rumienisz?

Rumieniłam się łatwo jak moja matka, obydwie nienawidziłyśmy tego i nienawidziłyśmy też, kiedy ludzie się z nas śmiali. Ale jakoś nie mogłam się rozzłościć.

— Martwię się o twoje stopy i o grzechotniki. Naprawdę nie ma tu grzechotników?

— Och nie wiem.

— Tam, skąd pochodzę, są jezdnie i chodniki i żadnych węży, oczywiście, ale to nie jest ciekawe. Nie jest niebezpieczne. Myślę, że chciałbym tu mieszkać, nawet z tymi węzami, to bardzo piękna, dzika okolica, prawda? Lubisz tamte góry? A może ich po prostu nie dostrzegasz?

Nie zwróciłam uwagi, w jakim kierunku pokazywał. Przyglądałam mu się i zobaczyłam, że się uśmiecha. Był w wieku mojego ojca, ale nie wyglądał tak surowo, jak ojciec, który ma pomiędzy brwiami jakby nożem wyciętą linię od ciągłego marszczenia się. Ten człowiek ubrany był w koszulę, prawdziwą białą koszulę, tutaj na wsi! Włosy miał mokre i szesane z czoła do tyłu, nawet teraz robiły wrażenie wilgotnych, jakby przed chwilą je czesał...

— Chętnie bym się przespacerował, żeby mieć trochę ruchu — powiedział. Jego głos brzmiał bardzo pogodnie. — Bez względu na węże! Odmówiłaś mi przejażdżki, to ja się z tobą przespaceruję.

To mnie naprawdę rozśmieszyło: *ja się z tobą przespaceruję.*

— Hej, co w tym śmiesznego? — zapytał, sam się śmiejąc.

Ludzie nie rozmawiają w ten sposób, ale tego mu nie powiedziałam. Zaparkował samochód w zatoczce przy drodze, wysiadł i słyszałam, jak wpuścił kluczyki do kieszeni... Draapał się po policzku.

— Wspaniałe, zdrowe, cudowne wiejskie powietrze. Zadowolona jesteś, że tu mieszkasz?

Nie. Pokręciłam głową.

— Nie chciałabyś chyba zamienić tego wszystkiego na miasto?

— Oczywiście. W każdej chwili.

Szłam szybko, żeby iść przed nim, ale nie mogłam się powstrzymać od śmiechu, byłam tak zażenowana, ten mężczyzna w białej koszuli naprawdę schodził z szosy, naprawdę zamierzał zostawić swój samochód zaparkowany w ten sposób! Nigdy nie widziało się tu żadnego samochodu zaparkowanego na drodze, chyba że samochód rybaków koło wąwozu, albo jakiś wrak. Wszystko to sprawiało, że moja twarz płonęła coraz bardziej.

Szedł szybko, żeby mnie dogonić. Słyszałam, jak w jego kieszeniach brzęczały monety i inne przedmioty.

— Nie powiedziałaś mi, jak ci na imię. To niezbyt przyzajne zachowanie.

— Nancy.

— Nancy, i co dalej?

— Och, nie wiem — zaśmiałam się.

— Nancy Nie Wiem? — zapytał.

Nie zrozumiałam tego. Uśmiechał się twardo. Był niższy od mojego ojca i teraz, kiedy znalazł się w jasnym słońcu, widziałam, że jest starszy. Nie miał opalonej twarzy, a jego usta nie przestawały się układać w miękki uśmiech. Mężczyźni, mój ojciec, wujowie i wszyscy inni, nigdy nie zadawali sobie trudu, żeby uśmiechać się do mnie w ten sposób, nigdy

właściwie nie zadawali sobie trudu, żeby w ogóle na mnie patrzeć. Czasami patrzyli tak jacyś obcy, czekający w Stratton na autobus Greyhound czy Denver, czy Kansas City, ale nie byli tak przyjacielscy i nie uśmiechali się tak długo.

Kiedy doszłam do ścieżki, powiedziałam: — No to do widzenia, ja przejdę tędy. To jest skrót.

— Skrót dokąd?

— Och, nie wiem — odparłam zażenowana.

— Do twojego domu, Nancy?

— Tak. Nie, to do naszego podjazdu, nasz podjazd ma pół mili długości.

— Co ty powiesz? To jest bardzo długi...

Podszedł bliżej. — No więc, do widzenia — powtórzyłam.

— To długi podjazd, prawda? W zimie chyba was zasypuje? Macie tu chyba dużo śniegu?

— Tak.

— A więc twój dom musi być tam z tyłu? — zapytał, wskazując ręką. Uśmiechał się. Kiedy tak stał wyprostowany, patrząc ponad moją głowę, bardziej przypominał innych mężczyzn. Ale potem znów spojrzał w dół i uśmiechnął się do mnie, tak przyjaźnie. Pomachałam mu ręką na pożegnanie, przeskoczyłam przez rów, wdrapałam się na płot, diabelnie niezręcznie, co oczywiście przydarzało mi się zawsze, kiedy ktoś mnie obserwował. Drut kolczasty zaczepił o moje szorty i mężczyzna powiedział: — Pozwól, że to odczepię. — Ale ja wyszarpnęłam się i zeskoczyłam. Znów pomachałam mu ręką na pożegnanie i ruszyłam ścieżką przed siebie. Mężczyzna coś powiedział i kiedy się obejrzałam, on też przechodził przez płot. Tak mnie to zaskoczyło, że stałam bez ruchu.

— Lubię skróty i sekretne przejścia — powiedział. — Pójdę z tobą kawałek.

— Dlaczego... — zaczęłam. Przestałam się uśmiechać, ponieważ coś było nie w porządku. Spojrzałam dokoła, za mną biegła dróżka, którą zawsze chodziły dzieciaki, trochę kamieni i suchego bydłęcego gnoju, trochę nędznych krzaków. Na szczycie wzgórza rosło olbrzymie drzewo, w które tyle razy już uderzył piorun. Patrzyłam na to wszystko i nie mogłam zrozumieć, dlaczego w ogóle się temu przyglądam.

— Jesteś bardzo dzielną dziewczynką, że tak chodzisz bosą — powiedział mężczyzna tuż obok mnie. — Czy stwardniały ci podeszwy?

Nie bardzo wiedziałam, o czym on mówi, ponieważ byłam trochę zakłopotana, a potem dotarło do mnie jego pytanie i odpowiedziałam mętnie: — Wszystko jest w porządku. — I zaczęłam iść szybciej. Czułam swędzenie w całym ciele, podobne do tamtego mrowienia w ustach po pepsi coli.

— Czy zawsze chodzisz tak szybko? — zaśmiał się mężczyzna.

— Och, nie wiem.

— To wszystko, co umiesz powiedzieć? Nancy Nie Wiem! To śmieszne nazwisko. Czy to cudzoziemskie?

To mnie znowu rozśmieszyło. Szłam szybko, a potem zaczęłam biec; przebiegłam kilka kroków. Nagle zabrakło mi tchu. To było dziwne — ni z tego, ni z owego zabrakło mi tchu.

— Hej, Nancy, dokąd idziesz? — zawołał mężczyzna.

Ale ja biegłam dalej, niezbyt szybko. Przebiegłam kilka kroków i obejrzałam się, widziałam jak stał i dyszał, dostrzegłam przypadkiem, że postawił nogę na ruchomym kamieniu. Wiedziałam, co się stanie, i rzeczywiście kamień się przesunął, a on omal nie upadł. Roześmiałam się. Spojrzałam na mnie do góry z uśmiechem zaskoczenia. — Ta dróżka to prawdziwa pułapka, co? Nancy ma dla mnie cały szereg pułapek i niespodzianek, prawda?

Nie wiedziałam, o czym on mówi. Biegłam po stoku wzgó-
rza, starając się nie nadepnąć na gnój ani na nic ostrego, i
choć ciągle brakowało mi tchu, czułam siłę w nogach. Tak
jakby gotowe były do biegu na długi dystans. — Schodzisz ze
ścieżki — powiedział udając złość. — Hej, to wbrew regulom.
Czy to jakaś nowa sztuczka?

Zachichotałam, ale nie przyszła mi do głowy żadna odpo-
wiedź.

— Czy ty sama wytyczyłaś tę ścieżkę? — pytał mężczyzna.
Oddychał ciężko z powodu podchodzenia pod górę. Patrzył
na mnie, popychając rękami kolana, jakby to mu pomagało
we wspinaczce. — Mała Nancy, jesteś jak dzika kłacz czy sar-
na, masz tyle wdzięku. Czy to twoja prywatna, sekretna
ścieżka? Czy inni też jej używają?

— Och, tylko mój brat i inne dzieciaki, kiedy są tutaj —
wyjaśniłam niejasno. Podchodziłam teraz tyłem pod górę,
żebym mogła go obserwować. Włosy na czubku głowy były
mocno przerzedzone, widać było skórę czaszki. Na czole wy-
dawał się mieć dwa guzy, niezbyt wielkie, ale tak, jakby kość
trochę wystawała i ta część była jasnoróżowa, opalona, pod-
czas gdy reszta twarzy i skóra czaszki były białe.

Nadepnął na następny ruchomy kamień, kilka kamieni i
trochę błota poleciało w dół. Upadł ciężko na kolano. — Je-
zus! — wykrzyknął. Kiedy tak klęczał, wyglądał śmiesznie.
Musiałam przycisnąć rękę do ust. Kiedy spojrział na mnie do
góry, miał już inny uśmiech. Podniósł się, odpychając się
rękami, uśmiechając się, a potem wytarł ręce o spodnie. Wi-
dać było na nich brud. Wyglądał zabawnie.

— Czy moja twarz jest śmieszna? Czy to jakiś dobry żart?

Nie miałam zamiaru się śmiać, ale już nie mogłam prze-
stać, więc mocno przycisnęłam rękę do ust.

Patrzył na mnie. — Nancy, co takiego widzisz w mojej twarzy? Czy widzisz moją duszę, czy widzisz *mnie* i dlatego się śmiejesz? — Szybko ruszył w moją stronę, ale ja odskoczyłam. To przypominało grę. — Nancy, poczekaj, zwolnij, po prostu zwolnij. Proszę cię, Nancy...

Nie wiedziałam, o czym on mówi, ale musiałam mu się śmiać w twarz. Była tak napięta i dziwna, taka ważna.

Dostrzegłam wyżej wielki kamień, podeszłam od tyłu i zepchnęłam go, potoczył się prosto na mężczyznę, który musiał zejść mu z drogi. — O, Jezus! — zawył. Kamień leciał razem z ziemią i grudka suchego błota trafiła mężczyznę w nogę.

Śmiałam się tak, że zaczął mnie boleć brzuch.

On także się śmiał, ale inaczej niż przedtem.

— To taka mała próba dla mnie, co? — powiedział. — Takie wstępne zawody. Takie są reguły gry? To twoja gra, Nancy?

Wbiegłam wyżej na wzgórze, na tę stronę, która była bardzo stroma. Skały i drobne kamyczki oderwały się od podłoża i leciały w dół. Oddychałam tak szybko, że zaczęłam się zastanawiać, co się ze mną dzieje. W dole za mną postępował mężczyzna, pochyłony, patrzył na mnie, a rękę przyciskał do przodu koszuli. Widziałam, jak jego ręka przemieszczała się w górę i w dół, ponieważ oddychał tak ciężko. Mogłam nawet widzieć jego język poruszający się po brzegach wysuszonych warg... Zaczęłam się bać, a potem znów poczułam to swędzenie, zaczynające się od języka, i rozchodzące się po całym ciele, i nie mogłam się powstrzymać od chichotania.

Powiedział coś, co zabrzmiało jak „nie będziesz się śmiała”, ale nie mogłam dosłyszeć całości. Włosy z tyłu głowy miałam zupełnie mokre, trudno mi będzie je rozczesać szcztoką. Mężczyzna zbliżył się chwiejnym krokiem, a ja żartem kopnęłam go, chcąc go nastraszyć, on zachwiał się, próbował złapać za gałązkę krzewu, ale wymknęła mu się z rąk, stracił równowagę i przewrócił się. Coś mruknął. Upadł tak

ciężko, że przez chwilę leżał bez ruchu. Chciałam powiedzieć, że mi przykro albo zapytać go, czy wszystko w porządku, ale po prostu stałam tam uśmiechając się.

Podniósł się, dłoń mu krwawiła. Zdawał się jednak tego nie zauważać, ja odwróciłam się i pobiegłam do szczytu wzgórza, pokonując ostatnią część drogi niemal błyskawicznie, tak silne były moje nogi i tak dobrze się czułam. Na szczycie przystanęłam, ledwie utrzymując równowagę, mógłby mnie chyba przewrócić podmuch wiatru, ale czułam się dobrze. Roześmiałam się głośno, moje nogi były tak pełne siły, jak na sprężynach.

Spojrzałam w dół z tej strony, gdzie on się wspinał, na rękach i kolanach. — Lepiej wracaj do Kansas! — zaśmiałam się. Podniósł na mnie wzrok i czekałam, że się znów uśmiechnie, ale nie zrobił tego. Miał bardzo bladą twarz. Patrzył na mnie, ale zdawał się widzieć coś innego, wyraz jego oczu był bardzo poważny i dziwny. Widziałam, jak pasek wrzyna się w jego brzuch, jak wydyma się jego biała koszula. Znów przycisnęła rękę do piersi.

— Lepiej jedź do domu, wsiądź do tego cholernego starego grata i jedź do domu, jedź do domu — podśpiewywałam. Wyglądał tak poważnie, kiedy na mnie patrzył. Udawałam, że znów go chcę kopnąć, a on się cofnął, oczy mu się zmniejszyły.

- Nie zostawiaj mnie — zaskomlał.
- Och, daj spokój — powiedziałam.
- Nie odchodź, jestem chory... myślę, że...

Jego twarz zdawała się wysychać. Oddychał powoli, ostrożnie, jakby sprawdzając, jak bardzo to boli, a ja czekałam, aż obróci się to w kolejny żart. Wreszcie zmęczyłam się czekaniem i przykucnęłam na piętach. Mój uśmiech stawał się coraz bardziej wąły, tak jak i jego.

- Do widzenia, idę — powiedziałam machając ręką.
- Odwróciłam się, a on coś powiedział — brzmiało to jak

krzyk — ale nie chciałam sobie zawracać głowy wracaniem, swędzenie w moim ciele stawało się niemal słyszalne.

Przeszłam na drugą stronę wzgórza i zesłam ścieżką do podjazdu. Było bardzo gorąco. Wiedziałam, że moja twarz jest rozgorączkowana i rozpalona. — Przeklęty stary dureń — powiedziałam. Musiałam jednak śmiać się na myśl o tym, jak wyglądał, jak się drapał na wzgórze, w końcu na kolanach i na rękach. Wyglądał tak zabawnie, pochylony i trzymający się za pierś, udając, że ma atak serca, a może nawet miał atak, niewielki, ale zawsze. To będzie dla niego nauczką, pomyślałam.

Kiedy doszłam do domu, twarz mi trochę ostygła, ale włosy wyglądały jak stóg siana. Zatrzymałam się przy starym samochodzie zaparkowanym na podjeździe, karoseria stała na bloczkach, i spojrzałam w zewnętrzne lustro, dziwacznie wykrzywione, bo wszyscy się w nim zawsze przeglądali. Próbowałam przyczesać włosy, przyglądając je mocno rękami, ale bez powodzenia. — Do diabła — powiedziałam głośno i podeszłam do schodów z tyłu domu, pamiętając, żeby nie trzasnąć drzwiami, bo matka by na mnie krzyczała.

Prasowała w kuchni, przyskajac wodą jakieś rzeczy na desce do prasowania. Używała pomalowanej na niebiesko butelki po coli z gumowym psikaczem na szyjce, który zrobiłam dla niej w szkole dawno temu na prezent gwiazdkowy; potrząsała butelką nad prasowaniem i patrzyła na mnie.

- Gdzie byłaś? Mówiłam, żebyś wróciła prosto do domu.
- Wróciłam prosto do domu.
- Jesteś cała brudna. Wyglądasz okropnie. Co się stało?
- Och, nie wiem — powiedziałam. — Nic.

Rzuciła czymś we mnie, chyba koszulą brata, złapałam ją i przycisnęłam do rozpalonej twarzy.

— Do roboty, skończ prasowanie — powiedziała matka.
— Tu musi być z dziewięćdziesiąt pięć stopni i mam już tego dosyć. Tylko zrób to porządnie, bo naprawdę mam wszystkiego dosyć. Słyszysz mnie, Nancy? O czym ty do diabła, myślisz?

Przyjemnie było czuć na twarzy wilgotną koszulę.

— Och, nie wiem — odpowiedziałam.

Przedwczesna autobiografia

Breuer w Akademii Sisleya, 1954

Ten niepokój w nim, napięte ciało, gestykulujące ręce, oczy rozbiegane po całym audytorium, nie mogące znaleźć żadnego miejsca odpoczynku. Nie sposób wyobrazić sobie koloru tych oczu. Siedzę za daleko.

Za mną jakiś mężczyzna zaczyna kasłać.

Breuer mówi szybko i miękko. Jego uśmiech zapala się i gaśnie, nie dotykając nas. Dlaczego jest taki niespokojny? Dlaczego przeprosza za siebie? Ubrany niechlujnie. Ramiona zaokrąglone. Mówi o Schoenbergu i Webernie, a potem głos jego cichnie. Za mną ten mężczyzna znowu kaszle, a w jednym z pierwszych rzędów zaczyna kasłać ktoś inny.

Breuer znów mówi. Szybki, niepewny potok słów... Breuer przypomina człowieka pochylonego do przodu, lecącego w przód. Wymawia niektóre słowa ze specjalną precyzją, sprawia, że brzmią jak wpuszczanie do wody niewielkich, cennych ciężarków, wyraźnie i czysto, niepowtarzalna kombinacja dźwięków, bezcennych dźwięków. Jest to świat unikalnej kombinacji dźwięków! Dźwięków bezcennych!

Tak, jego głos jest jak muzyka. Teraz dopiero to słyszę.

Z tej odległości nie widzę wyraźnie rysów Breuera, dostrzegam, jednak lekko przyciemnione worki pod oczami, a także inne cienie, niemal linie, które znaczą jego kości policzkowe. Jego ręce unoszą się w powietrzu, żeby nam coś zademonstrować — wyciągnięte palce — pokaz magii. „Chodzi o odwrócenie zwykłej procedury w mojej trzeciej sonacie fortepianowej — mówi nieśmiało. — Chodzi o podjęcie prostej wersji tematu, która przychodzi na drugim miejscu, drugorzędnie... żeby uczynić ją wariacją samej siebie... trzeba najpierw usłyszeć i zrozumieć wariacje. Ale teraz sam nie jestem pewien. Harmonia jest trochę zbyt podstawowa”.

Jest wrzesień, wilgotno, park otaczający budynki Akademii jest także wilgotny i cichy, niewielka oaza utrzymująca ruch miejski jakby w innym wymiarze. Ale towarzyszy nam upał. Czuję jak narasta we mnie, ogarnia twarz. Jestem sama, po obydwu stronach są wolne miejsca, podkreśla to mają odrębność.

W pierwszym rzędzie siedzi doktor Taggart z miną kogoś intensywnie zasłuchanego; jest to mężczyzna z białymi włosami przystrzyżonymi krótko przy czaszce, tył głowy ma ogolony. On sprowadził Herberta Breuera do Stanów, do Buffalo w stanie Nowy Jork. Kiedy Breuer mówi, kiwa potakująco głową, krótkimi, niecierpliwymi skinieniami, a kiedy Breuer dochodzi do konkluzji, skinienia głowy stają się głębsze, jakby doktor Taggart odczuł ulgę. Jakże przykra była ta godzina! Teraz wszyscy zaczynamy klaskać, co powoduje, że Breuer jakby lekko się cofa, jakby zdawał sobie sprawę, że chcielibyśmy zagłuszyć te jego słowa, które nie miały większego sensu.

Wychodzę ze wszystkimi do foyer. Będąc tak samotną, czuję się nierzeczywista. Ludzie wydają się patrzeć przeze mnie. Pan Reiff, jeden z moich nauczycieli, macha do mnie ręką, ale jest zbyt daleko, nie może się spodziewać, że się do

niego odezwę. Teraz odbędzie się przyjęcie na cześć Breuera. Wszyscy posuwają się w tę samą stronę, rozmawiają, wzajemnie sobie przytakują. Osoba, która nie ma do kogo mówić, nie jest całkiem rzeczywista. Dźwięki są bardzo ważne, jesteśmy jak nietoperze atakujące się wzajemnie dźwiękami, upewniamy się, że ktoś jest obok, szukamy po omacku. Dźwięki, zgłoski. Uderzenia muzyki. To dziwny strumień, który można usłyszeć, tylko jeżeli samemu się mileży.

Doktor Taggart spodziewał się, że przyjdę na przyjęcie, żeby być przedstawiona Breuerowi, ale nie jestem zdolna do przejścia na drugą stronę placzyku, do pójścia za tymi wszystkimi ludźmi ścieżką i potem do hallu. To dla mnie za dużo. Zamiast tego idę szybko do damskiej garderoby, która jest pusta. Smutny, ciemny zapach. Akademia Sisleya jest smutna, ciemna, obskurna... wszędzie indziej w mieście Buffalo jest hałaśliwie i złowieszczo. Za dużo autobusów, za dużo samochodów. Lustro nad umywalnią w garderobie wibruje od hałasu Buffalo. W umywalni leży kilka kosmyków długich czarnych włosów, które także zdają się wibrować, przyciągają mój pelen nienawiści wzrok.

Breuer przy fontannie na Robinson Memorial Square

Moje serce bije i popycha mnie po schodach do klasy, w pośpiechu. Jest poniedziałek rano. Gdzieś ktoś gra na fortepianie — miesza się to z biciem mojego serca — do góry, do góry, nie ma sposobu, żeby zawrócić! Drzwi są otwarte. Powiew ciepłego powietrza, znajomy zapach stęchlizny, książek i czasopism na ciemnych, wysokich półkach, zapach samej Akademii. Pan Reiff rozmawia z Breuerem i obydwoj zwracają się w moim kierunku.

Prezentacja. Breuer ściska moją rękę, jego dłoń jest silna i wilgotna.

— Więc pani jest tą stypendystką? Jestem głęboko zaszczycony — mówi Breuer.

Teraz widzę, że jego oczy są niebieskie, bardzo jasne. Twarz ma szczupłą. Tak, w ogóle jest szczupły, ubranie jest na niego za duże, jakby należało do kogoś innego. Bardzo niespokojny. Surowa struktura jego twarzy rysuje się wyraźnie pod skórą.

— Bardzo chciałem panią poznać. Czytam właśnie to — Breuer wskazał na jakieś papiery. Nagle czuję, że robi mi się słabo. Z wielkiego okna, które wychodzi na park, zalewa nas kaskada światła słonecznego, dla mnie jest zbyt jasno. Pyłki kurzu wirujące w świetle są jak moje własne myśli, mają wielkość atomu i są bardzo wzburzone.

— Wszyscy tutaj tak panią chwala, poznać panią to prawdziwa przyjemność — mówi oficjalnie Breuer.

Jesteśmy sami. Przegląda sonatę, którą napisałam przed kilkoma miesiącami. Właśnie dzięki owej sonacie dostałam te lekcje, lekcje u Herberta Breuera. Ale teraz nie mogę sobie przypomnieć sonaty, nie mogłabym jej zagrać. Patrzę na twarz Breuera, a on pochyla się nad nutami jakby był krótkowidzem. Kiwa głową i wydaje miło brzmiące pomruki. — Tak, właśnie tak. Tak, rozumiem. To, co pani zrobiła, jest bardzo zimne. — Patrzy na mnie i uśmiecha się — Ale *zimne*, to pewnie złe słowo? Chodzi mi o to, że to logiczne, raczej niedziweczące. Nie to, czego można by się było spodziewać. Jest pani córką Bacha...? Proszę zagrać dla mnie, porozmawiać ze mną o tym. Proszę mi coś powiedzieć swoją grą.

Zaczynam grać dla niego i muszę przerwać. Jestem zbyt zdenerwowana.

Za moimi plecami Breuer chodzi po sali. Myślę, że chciałby, żebym dobrze wypadła, stara się towarzyszyć mojej muzyce przyjemnymi pomrukami. I to mnie powstrzymuje, paraliżuje. — Na co pani czeka? — krzyczy.

— Dlaczego się pani boi? Już cztery razy sprawdzała pani

tę chusteczkę przewiązującą włosy, jest bardzo ładna, i teraz może pani o niej zapomnieć!

Znów zaczynam grać i teraz, tak, teraz muzyka wróciła, czeka na mnie. To mój własny język. Osiem czy dziesięć minut, które teraz przeżywam, to mój własny język, moja muzyka i nawet Herbert Breuer nie jest dla mnie ważny.

— Aż tyle pani powiedziała? To bardzo dużo! — wykrzykuje Breuer.

— Dziękuję.

Moja ręka mknie uszczęśliwiona na tył głowy, do chusteczki związanej w małą kokardkę. Przeżyłam to pierwsze spotkanie, jestem uczennicą Herberta Breuera! Do końca życia będę uczennicą Herberta Breuera, jedną z jego amerykańskich uczennic. Życie dopchało mnie spokojnie do tego momentu, a teraz odepchnie mnie w drugą stronę, a jednak całe moje życie uległo zmianie.

— Teraz musimy usiąść i zastanowić się, w jaki sposób można wydobyć z pani coś więcej. To, to i to — mówi, uderzając palcem w nuty. — To wszystko jest zbyt ciasne, za bardzo zamknięte. Będę panią uczył.

I będę także uczył się od pani. Tutaj, w tym mieście, nauczę się różnych rzeczy i zabiorę je ze sobą. A może już nigdy stąd nie wyjadę? Zobaczymy, czego możemy od siebie oczekiwać.

Lekcja trwa dłużej niż godzinę, robi się późno. Breuer mówi szybko. Jego nerwowy i grymaśny uśmiech nie dotyka mnie. Pochyla się nad fortepianem i kościstymi palcami coś podgrywa, mówiąc do mnie, ale dźwięki nie trafiają nigdzie i jego słowa nie trafiają nigdzie, są jak schody prowadzące donikąd.

Breuer wyciera czoło. Wydaje się bardzo zmęczony.

— A teraz lunch. Zjemy lunch.

— Czy nikt nie przychodzi o jedenastej?

— Nie, pora na lunch. Wyjdziemy stąd. Wstaję codziennie o piątą, więc już pora na lunch.

Wolno podnoszę się ze stołka. — Ale czy nikt...?

— Nie, nie, tu w Buffalo słońce świeci tylko przez chwilę. Muszę wyjść na słońce — mówi Breuer. Po raz pierwszy słyszę ponaglenie w jego głosie, nie jest już taki miękki i muzykalny. — Pójdzie pani ze mną.

Idziemy przez park i nikt nas nie widzi. To cudowne, mój spacer z Breuerem w tym słońcu wczesnej jesieni, oboje przechodzimy przez ociążałe powietrze jak pływacy. Nagle przychodzi mi do głowy, że *jesteśmy jak pływacy*, i ta myśl mnie zaskakuje. Czuję się zawstydzona sobą. Herbert Breuer idzie obok mnie, mężczyzna przeciętnego wzrostu w przeciętnym ubraniu. Mówi szybko, niemal gorączkowo, a ja nie rozumiem wszystkiego, co mówi. Jest w nim coś wspaniale bujnego, teraz kiedy wyszedł z klasy... i we mnie także rodzi się coś podobnego, banieczki podnoszące się we krwi, niepokój. Jestem pewna, że ktoś ma przyjść tam do klasy... zapuka w otwarte drzwi, zajrzy do środka... może nawet wejdzie zaskoczony. Gdzie jest Herbert Breuer?

Breuer przystaje na starym placyku w śródmieściu. Woda z fontanny leci cienkim strumyczkiem, a samą fontannę zdobią liczne warstwy brudu i zielonej pleśni, myślę, że to pleśń, ale może to mech. Breuer patrzy na fontannę. — Jest takie zdjęcie mojej żony na placu w Rzymie. Fontanna. Teraz mi się przypomniało, to bardzo dobre zdjęcie, była wtedy w pani wieku. Jeszcze zanim się poznaliśmy.

Poszarpuje swój krawat. Odpina kołnierzyk i koszula przybiera natychmiast beztroski, rozwiązły wygląd.

— Małżeństwo, wszystko to przed panią. Nie rozumie pani. W tym wieku wszystko jest przed panią, całe życie. Dlaczego jest pani przy mnie taka zażenowana?

Musimy rozmawiać ze sobą szczerze, jeżeli mamy razem pracować. — Patrzy na mnie z uśmiechem. — Moja żona i ja, niewiele między nami zostało. Ona pójdzie teraz swoją drogą. Myślę, że tak się stanie.

— Przykro mi...

— Dlaczego moja obecność panią żenuje? Ależ tak, tak, to wszystko jest zbyt osobiste — mówi ponuro Breuer. — Jeszcze za wcześnie, żebyśmy byli przyjaciółmi.

Breuer w zamglonym wrześnieowym świetle. Breuer przy tej starej fontannie, człowiek po czterdziestce, dość stary, by być moim ojcem. Czuję wokół nas surowość Buffalo, popychającą nas ku sobie. Widzę nas oczyma pięciu czy sześciu starszaków siedzących dokoła fontanny na parkowych ławkach, milczących, niechlujnych, obserwujących. Ten mężczyzna i ta dziewczyna razem stanowią oazę.

Drugi koncert Breuera na fortepian i orkiestrę

Muzyka to strumień. Jest szalona i wymagająca. Cykle przemijają, przechodzą znowu, powtarzają się. Słyszę ślad melodii, której przedtem nie słyszałam. Znajdujemy się pod działaniem nieznanego, kiedy słuchamy tej muzyki, niewiadomej wielkich kompozytorów, przerażającej obecności, która jednak nie powoduje przerażenia. Jest bardzo formalna. Dlatego właśnie jest przerażająca, ale nie przeraża. Dla nas przetworzona została na muzykę, żebyśmy mogli słuchać jej w spokoju.

Wewnątrz muzyki odpoczywamy.

Gwałtowne wybuchy jak ataki. A potem asymilacja w strukturę, w architekturę. Tak, wiem bardzo dobrze, że *adagio* każe myśleć o Mahlerze... opadająca oktawa skacze... cała ta moc, cała samotność. Ale to muzyka Breuera.

Słucham tej płyty w moim pokoju w październikowy wieczór. Na okładce płyty — to nagranie Columbii w wykonaniu orkiestry symfonicznej z Baden-Baden — czytam o życiu Breuera, czytam to wciąż i wciąż od nowa, i uderzają mnie jedynie te słowa: *Dzieło to dedykowane jest Eugenii*

Halbreich, która później miała zostać żoną kompozytora.

W szkole nigdy nie widzieliśmy żony Breuera. Podobno przez jakiś czas była w Buffalo, ale teraz wyjechała.

Breuer na próbie jednego ze swoich kwartetów smyczkowych, siedzi zupełnie nieruchomo w głębi audytorium w palcie i w kaloszach. Dyryguje doktor Taggart. Kilkoro z nas w różnych miejscach sali, mamy świadomość obecności siedzącego nieruchomo Breuera, i rosnącego zdenerwowania Taggarta. U doktora Taggarta zdenerwowanie i wściekłość zawsze występują razem.

Buffalo kreśli dziwne smugi, podobne do siniaków, na policzkach Breuera.

Moje lekcje z nim trzy razy w tygodniu — podniecenie, bicie mojego serca, jego zamglone, niewyraźne oczy. Gram dla niego. Gram jemu, mówię do niego. Temat trochę jego, z jednego z wczesnych jego utworów, on to rozumie. — Ach, moja przyjaciółko — mówi, kładąc mi rękę na ramieniu — jest pani taka dobra jak na kobietę, nie do uwierzenia. Dlaczego chce pani być taka dobra? To nie jest przyszłość dla pani, jeśli będzie pani taka jak ja. Musi pani wyjść za mąż, mieć dzieci.

Uśmiecham się ukradkowo, beznadziejnie.

Jego ręka na moim ramieniu.

Breuerowi wcale nie pracuje się dobrze w Akademii, opuszcza lekcje, jest „niezdrowy”, „przemęczony”, nie jest „w nastroju”, jest nieobecny. Ale zawsze czeka w klasie o dziewiątej na moją lekcję, ma zawsze kawę dla nas obojga, kiedy przychodzę, mówi uszczęśliwiony: — Nie śpię już od pięciu godzin. Teraz zjemy razem śniadanie.

Więc pijemy razem kawę, ten udręczony mężczyzna i ja, sławny człowiek i nieznaną dziewczyną, mężczyzna czterdziestodwuletni i osiemnastoletnia dziewczyna, we dwoje. Nie myślę jeszcze o chwili, kiedy opuści Akademię Sisleya w drodze do innej części swego życia, innego zespołu studentów,

jakiegoś innego zamówienia, czegoś nieznanego. — Jakie plotki słyszała pani o mnie w tym tygodniu? — pyta ze swoim słodko-gorzkim uśmiechem. — Proszę mi opowiedzieć wszystkie ich tajemnice. I doktora Taggarta też, proszę mi go zdradzić!

— Niczego nie słyszałam.

— Jest pani zbyt dobra, moja słodka, mała przyjaciółko. Nie chce pani, żebym się poczuł zawstydzony.

A teraz siedzę na brzegu swojego łóżka i słucham jego muzyki. Jest tu ze mną w pokoju, tłumaczy mi poszczególne części, trzyma moją rękę w obu swoich dłoniach... pochyla się do mnie, miękki, niechlujny, spocony mężczyzna, którego życie się rozpada, a twarz nabiera jastrzębiego wyrazu... Wiem, że jest niemal sławny, a jednak, kiedy idziemy gdzieś razem, ludzie patrzą na mnie, nie na niego. Mężczyźni rzucają na mnie spojrzenia. Nie znoszę tych spojrzeń, owego niby przypadkowego zatrzymania wzroku na mojej twarzy, na moich nogach... jest obyczajem mężczyzn w dużych miastach otwarte przyglądanie się, przyglądanie się kobietom, jakby kobiety nie mogły ich widzieć. Jakbyśmy były tylko przedmiotami, na które można patrzeć. Breuera w ogóle nie zauważają, jest naprawdę niczym. Wiatr rozwiewa połę jego palta.

Matka otwiera drzwi do mojego pokoju. — Znowu to puszczasz?

— Ściszę.

Matka ma udreżony, niespokojny wygląd. Mieszkamy same w tym jednopiętrowym domu, niedaleko Delaware Avenue. W dzień matka pracuje w banku na jakimś tam stanowisku, chociaż nigdy do niczego nie dojdzie. Nie ma wykształcenia. Brak specjalnego przygotowania. Jest samotną kobietą, kobietą, którą mąż opuścił przed laty, a fakt jego zdrady przydał jej ustom gorzkości, nawet jej ubrania wyglądają na używane i zgorzkniałe.

— Wyłącz to, jestem zmęczona. Chcę spać — mówi matka.

Wyłączam gramofon. Muzyka milknie.

Moja matka jest kobietą, która skończyła swoje życie. Jest już przeżyte, zakończone. Nigdy nie myśli o mężczyznach, i dokończy żywota nie myśląc o nich, jej życie już się dla niej dokonało.

Breuer przy telefonie

Pewnego zimowego poranka biegnę do klasy, ale nie zastaję nikogo. Nikogo. Przez dwa dni pod rząd Breuer nie przyszedł.

Podchodzę do fortepianu i automatycznie siadam. Jest on ośrodkiem klasy i ośrodkiem mojego życia. Breuer jest tu obecny, jego zapach, jego naleganie. Mówię do niego: *Czy mam przyjść dzisiaj do pana?* Z klasy na drugim piętrze dobiega dźwięk skrzypiec, fortepian, skrzypce. Stop. Zaczynaj jeszcze raz. Dwa dźwięki razem, zaczynają od początku, urywają się. Na muzykę jest zawsze czas, całe wieki. Przestrzeń się rozciąga. Czas się rozciąga.

Po chwili schodzę powoli na dół, wychodzę na wiatr, przechodzę przez park na ulicę. Do drugstore'u. Breuer i ja, jesteśmy owinięci dokoła siebie, oboje. Między nami przepływa muzyka. Moja muzyka, napisana dla niego, dzięki niemu, mój sposób przemawiania do niego. Napisałam już kilka utworów, bardzo szybko, to do mnie niepodobne, pisać tak szybko, pracuję teraz nad dłuższym utworem dedykowanym jemu. Zadedykuję mu wszystko! Kiedy piszę, nie jestem sobą, nie jestem tą drobną, ciemną, wystraszoną dziewczyną, jestem samą jasnością nut, głosem, wolnością. We wszystkim, co robię, jest siła. Nawet moja gra na fortepianie nie może temu sprostać, moja moc przekracza moje możliwości wyjaśniania.

Dzwonię do Breuera i słucham sygnału.

W jakiś sposób jest tu ze mną w budce telefonicznej, blisko, jego uśmiech zapala się i gaśnie, jego ręce lekko dotykają moich, pochyla się nade mną i dotyka moich pleców swoją pierśią, przypadkiem. To tajemniczy moment, dzwoniący telefon, obecność Breuera, nieobecność dźwięku, który jest częścią muzyki, jakiej większość ludzi nigdy nie słyszy.

Odbiera telefon: — Słucham? Tak?

I tego ranka poszłam do Breuera.

Breuer w życiu prywatnym, luty 1955

Prowadzi mnie po tych czterech pokojach. Pokojach jego mieszkania, po czterech znajomych pokojach.

W jednym z jego kufrów znalazłam fotografię w staroświeckiej pozłacanej ramce, pod jakimiś nie rozpakowanymi ubraniami. Wyjęłam ją, żeby się jej przyjrzeć. *Eugenie, 1941*. Breuer mówi: — Odłóż to. Dlaczego zawsze na to patrzysz? — Ona jest młodą kobietą, ciemną i urodziwą, pozującą na tle samochodu. Nie, nie jest naprawdę ładna. Obracam fotografię z boku na bok, tak żeby złapać odpowiednie oświetlenie, bo światło odbija się od szkła.

— Odłóż to. Ty nie jesteś taka — mówi Breuer. Ciągłe nie czuje się dobrze. Bierze moją dłoń i podnosi do ust, a mnie się wydaje, że wyczuwam suchość tych warg, ich rozpalenie. — Ty jesteś dziewczyną z obrazu Renoira, jedną z tych młodych dziewczyn... ty nie jesteś taka jak ona. — Ale prawdą jest, że przypominam ową kobietę, jestem ciemna, szczupła i ładna, nie przestaję przyglądać się fotografii mimo zniecierpliwienia Breuera. — O co chodzi, czy jej nienawidzisz? Czy nienawidzisz siebie? — Breuer otacza ramieniem moją szyję i zmusza mnie, żebym na niego spojrzała. Tak blisko tego mężczyzny nie jestem rzeczywista, przepływam przez niego,

przemieniam się w niego i ze mnie nie pozostaje nic.

Nigdy nie miałam czasu, żeby mu powiedzieć, że go kocham. Był zawsze tak blisko, przytulał się do mnie, najpierw w budce telefonicznej, a potem tu w mieszkaniu.

— Nie, z tobą wszystko jest muzyką. To piękne, co ty mi dajesz — mówi powoli, jakby oceniając fragment utworu, który dla niego napisałam. Jest moim nauczycielem, jest Herbertem Breuerem. Ocenia mnie, a ja stoję blisko niego, patrzę na niego, moje serce wali. — Jesteś piękną młodą dziewczyną i wcale o tym nie wiesz.

To dobrze. Ale ja o tym wiem. I od początku wiem, co mi mówisz swoją muzyką. Nigdy nie byłem taki młody jak ty, nigdy nie byłem w wieku, w którym nie znałem siebie. Zawsze siebie znałem. Jestem zmęczony tym facetem Breuerem! A teraz wiem, że przeżyję ten rok dzięki tobie, tylko dzięki tobie. I pojedziesz ze mną w to nowe miejsce...

Zamykam oczy.

— Tak, pojedziesz ze mną — mówi Breuer. Przytula swoją twarz do mojej. Jestem skąpana w powodzi ciepła, miłości, a jednak czuję się w tym odizolowana, zbyt przestraszona, by się poruszyć. Już od trzech miesięcy przychodzę do mieszkania Breuera, kochając go. A jednak jestem teraz zbyt przestraszona, by się poruszyć.

Zamykam oczy i widzę nas: Breuer i dziewczyna, objęci, dziewczyna w biało-niebieskiej sukience, z włosami gładko szczesanymi do tyłu z drobnej bladej twarzy, związanymi niebieską wstążką, tak że przedziałek jest wyraźny na środku głowy, jak biały ruch szczotki. Jest na to za młoda, nie jest nawet żoną tego mężczyzny, a jednak jej ciało nagina się do jego ciała, poddaje się naciskowi jego twardych, zdecydowanych palców.

Moje serce wali do granic wytrzymałości.

A potem on mnie znów ściga, atakuje mnie swym głosem: — Kochasz mnie, więc ze mną pojedziesz. Cóż dla ciebie znaczy to miejsce, Buffalo? Tak, pojedziesz ze mną. Muszę stąd wyjechać. Tu jest nie do wytrzymania, oni wszyscy chcą mnie zabić. Więc pojedziesz ze mną.

Mam zupełnie suche oczy od płaczu. Siadam na krześle, krzesło stoi na środku tego zagraconego pokoju, na środku niczego i mówię do Breuera: — Nie mogę jechać z tobą. Nie mogę jechać z tobą.

— Tak. Pojedziesz ze mną.

— Ja...

— Czy chcesz, żebym znowu był chory? Żebym znów leżał w łóżku, brudny i chory? Chcesz, żebym tutaj umarł, tutaj, w tym twoim mieście?

Zakrywam twarz dłońmi i wolno potrząsam głową. Nie, nie.

— Więc dzisiaj, od razu, wyjaśnisz to jej. Jesteś w takim wieku, że możesz ogłosić swoją wolność. Powiedz jej. Powiedz jej, że teraz już nie należysz do niej, tylko do mnie.

— Nie mogę.

— Dlaczego się boisz? Zawsze się boisz! Sprawiasz mi zawód.

Jeżeli otworzę oczy., zobaczę wyniszczoną, zniecierpliwioną twarz Breuera, twarz, która zaledwie kilka minut temu przytulała się do mojej. To jest ciągle ta sama twarz. Jest ciągle blisko mnie, pali mnie, tak że kiedy jestem sama, biegnąc przez śnieg do tego domu, czy myjąc się w moim pokoju, czuję dotyk jego twarzy na mojej, jego ostrą skórę przy mojej, niszczącą mnie, wyczerpującą.

— Jeżeli spróbuję jej to powiedzieć, będzie na mnie wrzeszczała — mówię do Breuera, nie odrywając rąk od twarzy. — Zatrzaśnie mi przed nosem drzwi. Będziemy się klócić całą noc.

— Kobiety nie powinny mieszkać razem. To dla nich bardzo niezdrowe.

Breuer kładzie ręce na moim ramieniu i wolno obejmuje mnie za szyję. Tak, kocham go, to prawda. Kiedy dotyka mnie w ten sposób, wyzwala we mnie miłość. Przytula swoje ciepłe czoło do mojej głowy i sprawia, że ustępując pod jego ciężarem lekko pochylam głowę. Stoi nade mną. — Kochasz mnie? Tak jak przedtem?

— Tak.

— I nie jesteś na mnie zła z powodu doktora Taggarta i innych?

— Nie.

— Myślisz, że jestem podły, że ich tak porzucam?

— Nie.

— Bo prawdą jest, że ten klimat mnie rujnuje. W ogóle Stany nie są dla mnie dobre, ale Buffalo jest fatalne. Nie chodzi mi wyłącznie o pieniądze. W Nowym Jorku mam więcej pieniędzy, ale nie myślę o tym. Tylko ty pomogłaś mi przeżyć, uratowałaś mi życie, wiemy o tym obydwójce. Uratowałaś moją pracę. Teraz już ją skończę, wierzę w to, nie umrę. Musisz więc jechać ze mną w to nowe miejsce.

Pięści palcami moją twarz. Zarysowuje moją twarz tak, że mogę ją zobaczyć, mogę widzieć nas razem, Breuer pochyłony nade mną, ja odchylona do tyłu, dziewczyna, której twarz została właśnie tak precyzyjnie odrysowana.

— Twoja żona...

— Co moja żona? Dlaczego zawsze o niej mówisz?

Milczę.

— Gdybyś rzeczywiście myślała o tym, żeby puścić mnie samego do Nowego Jorku, to byś teraz płakała — mówi sprytnie Breuer. — Ale nie płaczesz. Gdybyś chciała mnie porzucić, pozwolić mi odejść jak komuś obcemu, nie byłabyś tu dzisiaj w takiej ślicznej sukience! A twoja twarz, ta piękna twarz! Drobna, delikatna, ona należy do mnie. Przecież

mnie nie zostawisz? Nigdy, dla żadnego młodego mężczyzny? Do końca życia?

— Nie.

— Dla żadnego mężczyzny?

— Nie.

— Ponieważ uratowałaś mi życie. W grudniu uratowałaś mi życie. — Mówi głośno, gorączkowo. Jego głos jest zbyt donośny. Dlaczego mówi tak głośno, kiedy jesteśmy we dwoje? — Taka piękna jak jedwab, młoda dziewczyna jest biała i delikatna jak jedwab... jesteś dzieckiem, należysz do mnie, wyprowadzisz się z tego domu, gdzie wszystko jest brzydkie, pojedziesz ze mną do nowego miejsca, gdzie będą mnie traktować z szacunkiem. W końcu jestem Herbertem Breuerem, czy mam udawać, że jestem nikim?

— Ale twoja żona...

— Co moja żona? Nie ma jej tutaj! Ty jesteś tutaj, tylko ty! Dlaczego zawsze pytasz o moją żonę?

To, co chcę mu powiedzieć, nie da się powiedzieć. Jest zbyt blisko mnie, przytłacza mnie. Jego ciężar jest bardzo ciepły. Nagle czuję, że mu się poddaję, tak, pojedę z nim, zacznę z nim nowe życie.

Kiedy mnie uwalnia, zdaję sobie sprawę, że jestem w jego mieszkaniu, w dużym frontowym pokoju, że siedzę na krześle. Ściany są białe i puste. Podłoga jest goła, pudełka, książki, papiery złożone są w głębi pod ścianą. Fortepian jest zarzucony rzeczami. Rozgardiasz. Breuer wychodzi z pokoju, idzie albo czegoś poszukać, albo do łazienki.

Breuer w Nowym Jorku, kwiecień 1955

Teraz mówi do mnie ze złością: — Ale twoje zdanie jest ważne. Innych ja nic nie obchodzę. Tylko ty interesujesz się mną. Musisz iść!

— Wszyscy na mnie patrzą...

— Oczywiście, że patrzą, jesteś piękną dziewczyną! To co z tego?

Ale ja leżę w łóżku. W tym pionowym, wznoszącym się, oszalamiającym mieście powietrze na zewnątrz jest zbyt nieważkie. Wszystko jest za wysokie. Kiedy jestem sama na ulicy, moje oczy biegną do szczytów budynków i czuję, że zostanę wessana do góry.

— Wstawaj! Ubieraj się!

Breuer rzuca coś na łóżko, nawet się nie odwracam, żeby zobaczyć, co to.

— A potem porozmawiamy. Pójdziemy na próbę, potem na drinka i porozmawiamy, we dwoje.

Breuer mnie porzuci.

Idzie do łazienki, słyszę lejącą wodę. Wodę pełną złości. Coś trzaska. Czekam, żeby złagodniał, żeby wrócił, wziął moją rękę w swoje dłonie, jak robił często, żeby powiedział: — Wybacz mi, żartuję tylko. Nigdy nie będę z tobą żartował. — Ale on nie wróci i nie powie tego, nie weźmie już tak moich rąk. Myślę, że ta część mojego życia dobiegła końca.

Zdjęcie Breuera na okładce „Saturday Review”, ten prosty natarczywy nos, kości policzkowe, oczy, które są zarazem ciepłe i pełne podejrzliwości, jasnoniebieskie. Nie, to nie jest ktoś, kto wziąłby moje ręce w swoje dłonie.

Spuszcza wodę w łazience i wybiega, wpada do pokoju, ubierając się. — Jeszcze leżysz! Jesteś chora i chcesz, żebym ja znowu zachorował, jak przedtem, w Buffalo! — Ale nie patrzy na mnie, już jest gotów do wyjścia, zapina koszulę, nerwowo uderza wyprostowanymi palcami dłoni o pierś.

Kiedy Breuer pali, pozwala żeby na końcu jego cygara zebrała się długa tutka popiołu. Popiół jest jedwabisty i delikatny. Jest piękny. Pozwala, żeby zebrało się dużo popiołu i obserwuje go, a potem uderza w cygaro palcem wskazującym i popiół opada...!

Sama w mieszkaniu wyobrażam sobie siebie, spacerującą samotnie po ulicach. Pójdę Czterdziestą ósmą ulicą w stronę Park Avenue. Będę patrzyła na te wszystkie śliczne budynki, budowle ze szkła, metalu i przestrzeni... a potem spojrzę ku ich wierzchołkom, moje gałki oczne wywrócą się do góry, zagubią się. Dziewczyna bez Breuera. Zagubiona. Bez niego zostanę wessana na szczyty owych budynków, pozbawiona ciężaru. Leżę więc w łóżku i patrzę w przestrzeń, gdzie jeszcze przed kilkoma minutami stał Breuer, na zjawiskowy obrys postaci Herberta Breuera...

Breuer mnie porzuci. Przypuszczam, sądząc z telefonicznych rozmów, jakie podsłuchałam, że jego żona przylatuje do Nowego Jorku.

Breuer w Anglii, 1955-1956

Mam jasnoniebieską papeterię. Jestem z powrotem w Buffalo, ale ciągle jestem ukochaną Breuera. Piszę do niego codziennie.

On jest w Londynie.

Pewnego wieczoru zadzwonił do mnie, telefon odezwał się w Buffalo o ósmej trzydzieści. — Co robisz? Gdzie jesteś? A twoje zdrowie? Co z twoim zdrowiem? — Wydawał się krzyczeć na mnie poprzez ocean, a jednak głos jego był bardzo cichy. — Tak, tak, wracam za kilka tygodni! Wkrótce! Kompletny sukces tutaj, czytałaś? Wreszcie jestem bardzo szczęśliwy! Bardzo mi przykro, że nie jesteś tu ze mną, ale twoje zdrowie! Jak się czujesz?

Boi się choroby we mnie, swojej własnej choroby, która jego opuściła.

Lekarz mówi mi: — Elektrokardiogram nic nie pokazuje. Skurcze tego rodzaju nie są organiczne. Nie ma się czego bać! Nie umrze pani.

Nigdy nie umrę.

Moja matka mówi mi to samo. Niska, potargana, udreńczona, ironiczna, ciągle w pośpiechu, nosi pantofle na szpilkach według najnowszej mody, w kuchennym linoleum jest już tysiące dziurek, tak małych, że niemal trudno je dostrzec. Słyszając jej kroki, zatykam uszy palcami.

— Co dzisiaj jadłaś? Czy trochę o siebie dbasz? Czy znowu myślisz dzisiaj o nim, dlaczego dręczysz się z jego powodu? Twoje życie się nie skończyło tylko dlatego, że on cię porzucił.

To nieprawda, że on mnie porzucił, niezupełnie. Nie mieszka ze swoją żoną.

— Czy mam się znowu umówić z doktorem Bartem?

Marzę o niebie, chmury się rozstępują. Marzę o tym, że zostaję wessana pomiędzy te chmury, w owym delirium miłości, jakie przeżywałam kiedyś przez pięć miesięcy. Pięć miesięcy. Ale to sen, należący do kogoś innego, życie, należące do kogoś innego, do jakiejś innej dziewczyny.

Breuer o Breuerze, 1969

Książka ma sześćset stron i przygina mnie na jedną stronę jak pijaną. Mam ochotę śmiać się głośno. Idąca do przystanku autobusowego kobieta po trzydziestce, która czuje się lekko podchmielona. *Breuer o Breuerze*. Niosę cenny ciężar, nie taki jak inne książki i papiery w mojej torbie, które zwykle noszę.

Uczę muzyki w stanowym seminarium nauczycielskim, fortepianu i teorii, uczę młode kobiety, które później uczyć będą w szkołach średnich i podstawowych, będą prowadziły zespoły i chóry, a także grać na fortepianie na zebraniach dzieci w szkołach tego miasta. To bezpieczna praca. Nieźle płatna, ponieważ najaktywniejsi działacze na rzecz Uniwersytetu Stanowego Nowego Jorku agituja w sprawie podwyżek dla wszystkich nauczycieli college'ów w całym stanie.

Kiedy myślę o mojej pracy, automatycznie myślę o przyszłości: o awansie, starym kontrakcie, pensji, emeryturze. Moje życie jest urządzone.

Jest zimny, suchy, grudniowy dzień.

Dlaczego jestem taka przerażona? To ta książka. Książka, którą zamówiłam przed kilkoma tygodniami, zachłannie, jak tylko zobaczyłam zapowiedź reklamową. A w księgarni Doubledaya, kiedy księgarz podał mi książkę (na tydzień przed terminem oficjalnej publikacji, jakby ten egzemplarz był specjalnym prezentem od autora), poczułam zawrót głowy, słabość... Czułam się rozgorączkowana, myśląc o tej książce i o sekretach, które mi wyjawi na temat Herberta Breuera.

Kilka kobiet czeka ze mną na autobus, trudno się domyślić, kim są. Czym są. Może sprzedawczynie, ale to chyba trochę za wczesna pora, dopiero za piętnaście piąta. Wracają z zakupów? Mężatki, mające domy, dzieci, mężów... a jednak wyglądają tak samotnie jak ja, trzęsą się w swoich paltach, wiedzą, że w Buffalo jest zawsze zimno.

Pojawiają się autobusy, ale niedobre. Nie zatrzymują się na tym rogu.

Wreszcie nadjeżdża właściwy autobus. Próbuję się odprężyć, naprawdę jestem rozgorączkowana. Pierwszą lekcję miałam o dziewiątej rano, i przez cały dzień pracowałam, rozmawiałam z ludźmi, spieszyłam się z miejsca na miejsce... a potem do księgarni Doubledaya po tę książkę... i wreszcie jestem w drodze do domu. Kiedy wrócę do domu, zadzwoni moja matka, jak zawsze: *Jak ci minął dzień? Jesteś zmęczona? Co jadłaś na lunch? Co zrobisz na kolację?*

Już przed laty wyprowadziłam się z jej domu na drugi koniec miasta.

Książka leży na moich kolanach, drażni mnie. Uderzająca złotobiała okładka: *Przedwczesna autobiografia wielkiego kompozytora*. Fotografia Breuera, jest na niej dojrzały i

łysiejący, ma podcienione oczy, ale robi wrażenie człowieka silnego, skupionego. Jego czaszka lekko świeci pod kępkami włosów. *Herbert Breuer*. Na obwolucie znajdują się słowa, które pływają w mojej głowie, jakby cały chór głosów usiłował przyciągnąć moją uwagę: *szczerza i bez zahamowań! prawdziwa niespodzianka! publiczne i prywatne życie geniusza!*

Słabość rośnie we mnie jak miłość.

W domu powoli wchodzę na schody. Spieszyć się, przyspieszać bieg wydarzeń może być niebezpiecznie. *Breuer o Breuerze*. Znalazłszy się w mieszkaniu, siadam i nerwowo przerzucam książkę. Moje oczy skaczą — jestem przerażona, że zbyt szybko natknę się na swoje nazwisko. A jeśli opowiada o wszystkim, co robiliśmy razem? O tym, co on robił ze mną? Ale wiersze druku skaczą mi przed oczami, strona po stronie, i nie wynika z nich żaden sens. Na górze strony 348: ...”dziesięciodniowa rzymska sekwencja minęła bez żadnych dalszych wydarzeń...” Wracam do końca książki, szukam indeksu. Nie ma indeksu. Na drugim skrzydełku obwoluty: „Herbert Breuer, urodzony w Berlinie w 1911...” Urodzony w 1911! Świat stał się o tyle młodszy, wszędzie teraz pełno ludzi, którzy urodzili się w 1950, w 1969 i nawet ja sama, choć nie jestem młoda, jestem jednak dużo młodsza od Breuera.

Siedzę w zapadającym zmroku i przeglądam książkę. Mój umysł wypełniają szept. Słowa. Zdania są z książki, sentencje wydrukowane czystą, czarną czcionką, bardzo wyraźne. Niewiele emocji w wyglądzie owych słów. Próbuje czytać książkę od początku, ale pierwsze rozdziały o ojcu Breuera i jego dużej, muzykalnej, klócej się rodzinie wprawiają mnie w zmieszanie... zaczynam przepuszczać akapity, potem strony... Breuer w latach dwudziestych, Breuer w latach trzydziestych, uderza mnie dziwne zdanie na górze jednej strony: *W tym okresie mego życia rośłem pod każdym względem*

— *wszechświat poszerzał się wokół mnie, czułem jak wra-
stam weń, stając się sobą.* — To był głos Breuera. Bez żadnej
wątpliwości. Teraz doszłam do rozdziału zatytułowanego
„Amerykanizacja Breuera, 1954-55”. Mówi o sobie w trzeciej
osobie, potem w pierwszej, potem znów w trzeciej. Dlaczego?
Utrzymuje siebie na dystans, krytycznie. Ale za tym ode-
rwaniami kryje się jego uparta duma, jego ego, *Breuer*, zaw-
sze *Breuer!* W którym momencie swego życia geniusz zdaje
sobie sprawę, że jest geniuszem, że musi oddać się tamtej
drugiej osobowości, która mieszka w jego życiu, w jego ciele?
Musi ją nazwać w sposób nieodwołalny, nadając jej imię,
które stanie się sławne, bez względu na to, czy imię to brzmi
Breuer, czy jakoś inaczej.

Tutaj, Akademia Sisleya. Zaduch Buffalo. Tak, tak i tu
krótka wzmianka o jego tutejszych kolegach, nieżyjący
Lawrence Taggart... A co o...? Serce bije mi gwałtownie, te-
raz naprawdę jestem rozgorączkowana, wiersze skaczą mi
przed oczami, skręcają się, co o mnie, co powie. Słowa ukła-
dają się w okrzyki:

Breuer w Buffalo musiał walczyć o przeżycie. Pił nad-
miernie, rozchorował się i nawet nie mógł sam się umyć, nie
było mowy o pracy. Mijały tygodnie bez pracy. Koncert na
skrzypce i orkiestrę leżał nie tknięty, tylko pierwsza część
była skończona. Ale ta pierwsza część...

Przeskakuję na następną stronę: W tym okresie pielę-
gnowała Breuera studentka z Akademii. Przypomina sobie,
że była to młoda dziewczyna bardzo utalentowana i bardzo
przywiązana do Breuera. W pewnym stopniu jej zawdzięcza
wszystko, co udało mu się zrobić wówczas (i później). W
istocie od czasu do czasu Breuer mówi do siebie: „spróbuję
sobie przypomnieć jej nazwisko, spróbuję sobie przypomnieć
jej twarz”.

Przewracam stronę, która skrzypi jak metal. Nie ma nic więcej. Tylko to:

Cóż możemy powiedzieć o ludziach, którzy uratowali nam życie w jakimś zapomnianym okresie naszej egzystencji? To tajemnica, owe znaki x, które kreśliłyśmy wraz z innymi. Robimy owo x, cenimy i szanujemy się nawzajem, a potem przechodzimy dalej. Cofam się i czytam jeszcze raz: *Breuer w Buffalo musiał walczyć o przeżycie. Pił... młoda dziewczyna bardzo utalentowana i bardzo przywiązana do Breuera... A więc to ja! Siedzę bezmyślnie z książką na kolanach. Nie mogę myśleć o tym, co przeczytałam. Nie ma sensu czytać dalej, moje nazwisko nigdy się nie pojawi... ale za chwilę znów kartkuję książkę... inne nazwiska, dziesiątki nazwisk, setki nazwisk... konkretnych nazwisk.*

Ale czasami Breuer myśli: „Muszę sobie przypomnieć to nazwisko, muszę sobie przypomnieć tę twarz”. I teraz ogarnia mnie poczucie spokoju. Moje życie z Breuerem jest dopełnione, skończone. Książka ustala to na zawsze. Nigdy do mnie nie napisze, nigdy nie zadzwoni. Nigdy mi nawet nie zadedykuje żadnej ze swoich kompozycji, skoro nie może sobie przypomnieć mojego imienia. A jednak w pewnym momencie wkroczyłam w jego życie, w pewnym momencie jego biografii, i być może przywróciłam mu zdrowie, może to prawda, że jego późniejsza praca powstała dzięki mnie, dzięki mojemu przywiązaniu... Opuściło mnie już uczucie rozgoryczowania. Wszystko się dopełniło.

Przez lata próbowałam nienawidzić Breuera, potem próbowałam wcale o nim nie myśleć, ale teraz widzę, że kochałam go wtedy i, że Kocham go teraz. Kocham go teraz. Moim przeznaczeniem nie było komponowanie ani rozwinięcie techniki pianistycznej do jakiejś niezwyklej perfekcji, nie było nim nawet normalne życie z mężem i dziećmi. Moim przeznaczeniem było skrzyżować się w pewnym momencie

z życiem Breuera, wykonać owo x, a potem odejść na zawsze.

Ta pewność przynosi radość. Nie da się jej zakłócić. Przeglądam ostatni rozdział książki, zatrzymuję się nad fotografią Breuera i jego drugiej żony, skrzypaczki Esther Kovenski, kobiety dwadzieścia lat młodszej od Breuera, kobiety o uderzającym wyglądem, i wcale nie jestem poruszona. Wszystko się teraz dopełniło, to pewne. To moja egzystencja. Przez całe życie żyłam tak jak inni ludzie, którzy są jeszcze dosyć młodzi — oczekując na zaistnienie, na stanie się czymś — ale teraz wiem, że istnieję pełna, kompletna, bez najmniejszej wątpliwości. Jestem. To moje istnienie, moja egzystencja.

Dzwoni telefon! Uświadamiam sobie, że jestem w domu, dostrzegam ponure, grudniowe światło, dzwoniący telefon. Kto do mnie dzwoni? Siedzę jeszcze ciągle w palcie! Podnoszę się z trudem, jakby budząc się ze snu, jestem otepiąła, mrugam powiekami, kto do mnie dzwoni? Kto mi przerywa? I w momencie, kiedy podnoszę słuchawkę, wiem, że to moja matka, oczywiście, że to matka. — *Halo* — mówi. — *Dlaczego tak długo nie odbierałaś?*

Ostrożnie odkładam słuchawkę. Nie mogę z nią teraz rozmawiać, nie teraz. Nie zrozumiałaby mojego szczęścia. Nie potrafiłabym jej tego wytłumaczyć. Jak może kobieta wytłumaczyć komuś innemu, że jej życie jest skończone, przeżyte, kompletne? Że wolna jest od niepokoju, że nie potrzebuje już niczego do końca swoich dni, że wie, iż jej życie się dopełniło?

Honeybit

Honeybit w domu

Stała na progu sypialni matki nasłuchując.

Słyszała ten ciężki, chrapliwy oddech. Wdech, przerwa, wydech. Honeybit stała w progu słuchając, ale nie zaglądała do pokoju, chociaż matka zostawiła drzwi szeroko otwarte.

Znowu i znowu. Powolny, utrudniony, urywany oddech. Straszne było słuchać tego nieregularnego oddechu, który pojawiał się w zasięgu słuchu i zamierał. Kilka sekund ciszy. Żadnego oddechu. A potem zatrzymanie w gardle, bulgoczący dźwięk, i znów wciąganie powietrza, wdech. Honeybit stała w jasnoniebieskim pikowanym szlafroku, mankiety szlafroka były pobrudzone, a welwetowego paska nigdy jej się nie chciało zawiązać na kokardkę. Jeszcze nie wyszczotkowała włosów, opadały więc proste poniżej ramion, jasne włosy w kolorze miodu, które myła co wieczór i umyła też poprzedniego wieczoru. Pachniały bardzo przyjemnie, pachniały mydłem, cytryną.

Sypialnia matki śmierdziała.

Dochodziło stamtąd tyle zapachów, że nawet nie miało sensu ich wyodrębnianie. Perfumy pomieszane z odorem nie pranych pończoch, ciężki odorujący smród dymu papierosowego połączony z jakąś ostro-słodką, niemożliwą do opisanania wonią. Honeybit wbrew własnej woli podniosła oczy i zajrzała do pokoju, ale nie groziło jej to, że zobaczy matkę, ponieważ łóżko stało bardziej w prawo, poza zasięgiem wzroku. Honeybit zobaczyła własne bladoniebieskie odbicie w oszklonych drzwiach szafy, stojącej naprzeciwko. Drzwi były lekko uchylone, tak na dwa centymetry, toteż i odbicie Honeybit wypadło trochę ukośne. Sprawiała wrażenie jeszcze szczuplejszej niż w rzeczywistości. Wyglądała na przestraszoną. Aby ożywić obraz, Honeybit podniosła szybkim ruchem rękę do włosów, zaciesała je za ucho i uniosła podbródek, a dziewczyna w lustrze zrobiła to samo.

Honeybit, spóźnisz się do szkoły.

Nie mogła jednak ruszyć się z progu. Stała nasłuchując. Kiedy o 7.45 zadzwonił budzik, sięgnęła po niego ręką po omacku i strąciła go ze stolika przy łóżku, znowu odpadł plastikowy front zegarka, tylko że tym razem pękł na dwie części i Honeybit obawiała się, że może to przynieść pecha. Wiedziała, że przyniesie pecha. Próbując złożyć razem rozbite części zauważyła, że trzęsą jej się ręce i wtedy dopiero pozwoliła sobie na usłyszenie odgłosów dochodzących z końca korytarza. Zdała sobie sprawę, że już od jakiegoś czasu była ich świadoma. Była ich świadoma przez całą noc, przez sen.

Chrapliwy oddech. Nieregularny oddech. Zatrzymanie w gardle. Dźwięk, przypominający zdławiony śmiech. I znowu, i znowu.

I jeszcze raz.

Honeybit, robi się późno...

Dziewczyna w lustrze podniosła głowę, jakby chciała pokazać twarz. Twarz ta miała miękkość kwiatowych płatków, ich delikatne piękno. Będzie jeszcze ładniejsza, kiedy użyje

szminki. Honeybit nigdy nie wierzyła, że jej skóra pozostanie ładna, kiedy była w ósmej i dziewiątej klasie na skórze pojawiły się jakieś plamy, toteż teraz uśmiechnęła się niepewnie do siebie samej. Spoglądała na swe odbicie spod rzęs, jakby pytając, czy ta dziewczyna o słodkiej buzi to rzeczywiście Honeybit Mason. *Czy to ty, Honeybit?*

Wiele lat temu nazywano ją Betty. Pamiętała, jak ojciec ją tak nazywał. Matka z jakichś sobie tylko znanych powodów przemieniła to na Betsy, a jedna z babek zawsze nazywała ją Betsy-Honey, w średniej szkole imię zmieniło się na Bittsy, ponieważ była mała jak na swój wiek, potem zrobiło się z tego Honeybittsy, teraz było po prostu Honeybit i prawie wszyscy ją tak nazywali, nawet większość nauczycieli. Zresztą sama Honeybit zawsze myślała o sobie jako o *Honeybit*. To była naprawdę ona. Czasami szeptała po cichu to imię, czasami siedziała w szkole rozmarzona i nieobecna nie myśląc ani o matce w domu, ani o ojcu gdzieś w Seattle, ani o niczym realnym, nawet nie o swoich problemach z tym czy innym chłopakiem, tylko powoli przesuwiała dłonią po skórze przedramienia, wyczuwając miękkie, jasne, sprężyste włoski i mówiąc do siebie *Honeybit, Honeybit, to ty*. Ojciec nigdy nie używał tego imienia. Powiedział, że go nienawidzi. Matka twierdziła, że nienawidził jej, nienawidził ich obydwu, Honeybit podejrzewała jednak, że matka kłamie, w każdym razie, kiedy zbyt dużo piła, nie bardzo można było wierzyć jej słowom. Wówczas lepiej było po prostu przytakiwać, powtarzać *tak, mamo* i udawać.

Honeybit mogła udawać do woli.

Ciągle jeszcze drżała od owego szoku, jakiego doznała, słysząc w sąsiednim pokoju głośny oddech matki, ale potrafiła udawać, że nie drży. Mogła udawać, że wszystko jest w porządku. Budzik zadzwonił o zwykłej porze, ubrała się spokojnie i poszła jak zwykle do szkoły, bez pośpiechu, bo

dlaczegoż miałyby się spieszyć, był to wszak zwyczajny czwartkowy ranek. Mogła to udać. Mogła udać cokolwiek.

Stała jednak w progu, patrząc na dziewczynę w lustrze, którą widziała trochę ukośnie, w pewnym zniekształceniu. Dziewczyna w lustrze prawdopodobnie mogła widzieć łóżko matki. Zdawała się na nie patrzeć. Łóżko było podwójne, choć teraz sypiała w nim tylko jedna osoba, ale prześcieradła i koce też musiały być podwójne, a to znaczyło drogie, ciężka futrzana narzuca też była kosztowna, ale bardzo już poplamiona i w wielu miejscach powypalana papierosami. Zwykle leżała na podłodze, zsunięta w nogi łóżka, matka słała łóżko nie częściej niż raz, dwa razy w tygodniu, a czasami wcale. Dziewczyna w lustrze dobrotliwie przypatrywała się krępe-
mu ciału w pościeli, jedna noga wystawała prawdopodobnie poza łóżko, jedna ręka odrzucona była do tyłu na satynowy zagłówek tak jak ostatnim razem; na tle workowatej, trupio-
bladej cery odbijała się niezwykle jaskrawa szminka z poprzedniego dnia... Usta prawdopodobnie otwarte, łapiące powietrze. Musiały być wewnątrz bardzo wysuszone po całej nocy tych chrapliwo-dusznych zmagają. I twarz, i ciało pokrywają pewnie kropelki potu, wszystko jest wilgotne, napięte, pulsujące desperackim życiem.

Honeybit wyszeptała: — Mamo?

Nie było odpowiedzi. Jej odbicie naprzeciwko wydawało się patrzeć obojętnie na ciało na łóżku, na lampę z purpurowym abazurem na nocnym stoliku — lampa ta paliła się przez całą noc — i na wszystkie inne przedmioty, pewnie takie same jak ostatnim razem, pusta butelka po burbonie, kubeczek do zębów, popielniczka pełna popiołu i niedopałków, flakonik z proszkami nasennymi. Pusty tym razem? Czy tylko na pół pusty? Honeybit nie mogła jednak zobaczyć, co się dzieje w rogu pokoju, więc nie wiedziała. I nie zamierzała spojrzeć.

Ostatnim razem spojrzała.

Honeybit w szkole

Wyszła z domu o zwykłej porze i poszła do szkoły, nie szła jednak zwykłą drogą, ponieważ nie chciała natknąć się na chłopaka, który czasami czekał na nią w samochodzie zaparkowanym w miejscu niewidocznym z frontowych okien jej domu. Dotarła jednak do szkoły punktualnie i weszła głównym wejściem razem z kilkoma znajomymi dziewczynami. Wszystkie ubrane były podobnie: krótkie spódniczki, swetry, kolorowe rajstopy, wszystkie były rozbrykane i pełne energii. Honeybit musiała trochę udawać, żeby sprawić wrażenie podekscytowanej pogłoską, jakoby poranny kącik satyryczny miał dotyczyć chłopaka, którego wszystkie znały. Poszła razem z dziewczętami do skrzydła B na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się sale młodszych klas, zdążyła otworzyć swoją szafkę i obejrzeć się w lusterku przyczepionym do wewnętrznej strony drzwiczek.

Honeybit, uśmiechnij się!

Przez dwa lub trzy tygodnie września w szkole panowała moda zagadywania. *A teraz uśmiechnij się!*, jeżeli tylko ktoś wyglądał na zaszępionego. Zaczęło się to na górze w korytarzu starszych klas i rozprzestrzeniło się po całej szkole, a potem zwyczaj zanikł, ponieważ wszystkim się znudził, a ponadto niektórzy nauczyciele zaczęli używać tego zwrotu podczas lekcji. Honeybit uważała jednak, że to wcale nie jest zły pomysł, czasami więc szeptała do siebie: *A teraz uśmiechnij się!*

Odezwał się pierwszy dzwonek, była 8.40. Honeybit podeszła do grupki uczniów, rozmawiających przed drzwiami klasy, stanęła po prostu obok i robiła wrażenie zaszuchanej. Jakiś chłopak zapytał ją, jak się ma Jamie Brodie. Honeybit roześmiała się obojętnie i powiedziała: — Sam go zapytaj. — Wtedy chłopak spytał, czy słyszała, jak w świetlicy starszych

klas zostało wybebeszone pianino i pozatykane automaty, a to wszystko stało się poprzedniego popołudnia. Dyrektor robił wrażenie cholernie tym rozwścieczonego, ale w gruncie rzeczy był całkiem rad, ponieważ pozwalało mu to wreszcie zamknąć świetlicę. Honeybit udawała, że słyszy to pierwszy raz, podnosiła delikatnie zarysowane brwi i patrzyła na chłopca. W tym momencie zabrzmiał ostatni dzwonek i wszyscy razem weszli do klasy.

Zajęcia wychowawcze trwały dziesięć minut. Nauczycielka, pani Stanley, odczytała ogłoszenia, ale Honeybit nie potrafiła skupić uwagi. Kiedy rozległo się w głośnikach rozporządzenie dyrektora, Honeybit drgnęła, ponieważ jak zwykle było za głośne, a wszyscy zachichotali, kiedy dyrektor chrząknął, bo zabrzmiało to jak grom. Mówił z wielką powagą o wandalizmie w świetlicy seniorów, takim tonem jakby ktoś umarł. Honeybit poczuła w oczach łzy. Potem przyszła kolej na poranny kącik satyryczny, przygotowali go starsi uczniowie z kółka dramatycznego, ale wcale nie wydawali się wykiwać chłopaka z drugiej klasy. Honeybit uznała, że chodzi o dziewczynę z ostatniej klasy, ale nie wiedziała nawet, jak się ona nazywa. Nie знаła w ogóle ludzi z tamtej paczki i musiała zapytać siedzącą z tyłu dziewczynę, o kogo to chodzi.

Pierwsza lekcja odbywała się po przeciwnej stronie korytarza. Przyroda. Honeybit siedziała nad otwartym zeszytem, starając się skoncentrować na wyjaśnieniach panny Jaeger. Wszyscy prowadzili „Notatniki przyrodnicze” i panna Jaeger cierpliwie tłumaczyła, jak powinni to robić. Panna Jaeger była brzydką kobietą koło trzydziestki, twarz jej robiła wrażenie topornej i poważnej. Honeybit nie mogła zrozumieć, dlaczego inni uczniowie nie lubili tej nauczycielki, ona uważała, że panna Jaeger jest bardzo miła. Tego dnia wpatrywała się w pannę Jaeger z takim zapamiętaniem, że omal nie popadła w trans i do rzeczywistości przywróciło ją dopiero

pytanie chłopaka z ostatnich rządów, które miało być wyzywające, a zabrzmiało po prostu głupio i cała klasa jęknęła. - Przyjdź do mnie po lekcji, Bob — powiedziała panna Jaeger, starając się uśmiechać i nie pokazać po sobie, jak bardzo jest zła.

Następne zajęcia, „społeczeństwo i historia”, odbywały się na drugim piętrze, więc Honeybit starała się trzymać razem z grupą dziewcząt, ponieważ w tej części korytarza czasami czekał, na nią Jamie. I rzeczywiście był tam. Musiała z nim porozmawiać. Chodził do starszej klasy, należał do najlepszych futbolistów, był przystojny, jedynie nos miał trochę za duży w stosunku do twarzy, w dodatku nos ten wydawał się spłaszczony, jakby ktoś wyrznął w niego pięścią. Honeybit wyjaśniła, że nie mogła się z nim spotkać przez cały poprzedni dzień, była bardzo zajęta, a w ogóle to zaczęło ją boleć gardło. Jamie powiedział, że zaraz po szkole musiał iść do pracy — rozładowywać gazety z ciężarówki — ale czekał na nią tego ranka i gdzież ona, do diabła, się podziewała? W końcu Honeybit po prostu się roześmiała i wycofała się do klasy, zostawiając go na korytarzu ciągle w nią wpatrzonego.

Podczas zajęć „społeczeństwo i historia” podzieleni byli na grupy, sześć czy siedem biurek zsuniętych w koło. Tego dnia mieli dyskutować o uprzedzeniach rasowych, ale uczniowie w grupie Honeybit cały czas żartowali i nauczyciel, który pracował w ich szkole dopiero pierwszy rok, rozłościł się, kazał im rozsunąć biurka i siedzieć cicho do końca lekcji. On sam siedział przy katedrze i chyba oceniał wypracowania, bo był czerwony na twarzy i sprawiał wrażenie obrażonego. Honeybit i innym zrobiło się przykro. Potem opadła nowa fala śmiechu. Honeybit, podniecona niebezpieczeństwem, wyraźnie słyszała własny chichot. Z jakiego powodu pan Speicer spojrział prosto na nią i zapytał: —

Dlaczego jest pani taka rozhisteryzowana, panno Mason? — To, że nazwał Honeybit panną Mason rozśmieszyło wszystkich od nowa. Honeybit tak się śmiała, że aż po policzkach popłynęły jej łzy.

Trzecia lekcja to gimnastyka, na parterze. Honeybit omal nie poturbowano w zatorze, jaki powstał w drzwiach, tak się spieszyła, by znaleźć się na schodach, zanim pojawi się Jamie. Wyszła tak szybko i sprytnie, że pierwsza znalazła się w szatni. Był czwartek, dzień pływania. Honeybit nie znosiła pływania ze względu na włosy, ale w zeszłym tygodniu tłumaczyła się przypadłościami miesięcznymi, nie mogła więc użyć tej wymówki przez najbliższe trzy tygodnie, jako że panna Bidelman starannie zapisywała takie szczegóły w dzienniku. Z niechęcią wybrała z pojemnika jeden z żółtych kostiumów, najmniejszy, ale widok tego kostiumu, a może zapach szatni czy kałuże wody na podłodze przyprawiły ją o zawrót głowy. Przyszło jej na myśl, że może zemdleć w basenie, wyciągną ją i zawiozą do szpitala w tym obrzydliwym żółtym kostiumie, wszyscy będą się na nią gapić, a w szkolnej gazetce znajdzie się jej zdjęcie z jakimś drwiącym podpisem.

Poszła do boks, w którym urzędowała panna Bidelman, i wyjaśniła, że boli ją gardło i głowa. Panna Bidelman uśmiechnęła się i zauważyła sarkastycznie, że dokładnie takiej wymówki użyła Honeybit w ubiegłym tygodniu. — Nie mogłabyś wymyśleć czegoś nowego? — Honeybit zaprotestowała, że wszak w ubiegłym tygodniu chodziło o okres, panna Bidelman zaprzeczyła, wówczas Honeybit poprosiła ją o zajrzenie do dziennika i w ten sposób potwierdziła się sprawa okresu. Panna Bidelman oświadczyła ironicznie: — W porządku. Zwolniona. — Doprowadziło to do dziesięcominutowej przemowy na basenie, skierowanej do około piętnastki dziewcząt, które tego dnia nie ćwiczyły, na temat nieudanych wykrętów i zwykłych kłamstw, a także na temat

tego, że panna Bidelman zupełnie się nie przejmuje, czy ktośkolwiek korzysta z tego basenu który kosztował 90 000 dolarów. Może to interesować jedynie płatników podatków. W ów czwartek pływało tylko pięć dziewcząt, musiały więc stać i czekać, wpatrując się w swoje blade, kościste palce u nóg. Honeybit czuła się trochę zażenowana całą tą sprawą i nie mogła nie zauważyć nieżyczliwości we wzroku panny Bidelman, kiedy wzrok ten zatrzymał się na niej.

Była więc trochę zdenerwowana, idąc na lekcję francuskiego, która to lekcja odbywała się przed i po przerwie na lunch, połowa lekcji w klasie, potem zejście do stołówki i znów powrót do klasy. Podczas pierwszej części rozwiązywano test i Honeybit i nie mogła sobie niczego przypomnieć, niemal się rozpląkała, ponieważ nie pamiętała nawet odmiany czasownika *être*, którą umiała przecież bardzo dobrze. Madame Tyler będzie zawiedziona, bo to wszak cały materiał z powtórzenia. Honeybit podziękowała Bogu, kiedy rozległ się dzwonek na lunch i pobiegła na dół, żeby się ustawić w kolejce. Wcale jej nie przeszkadzało, że stoi na końcu, ale Jamie zawołał, żeby stanęła obok niego, a że cieszył się przywilejami ucznia starszej klasy, miał prawo wyjść z lekcji pięć minut wcześniej.

Siedzieli sami na końcu stołu seniorów, niemal za estradą, na której grała czteroosobowa orkiestra. Jednym z muzyków był chłopak na wózku inwalidzkim, który cierpiał na jakąś chorobę niszczącą jego nogi i bardzo dobrze grał na trąbce, choć robił to tak głośno, że Honeybit musiała czasami przykładać ręce do uszu. W połowie lunchu podjęła decyzję, że mimo wszystko spotka się z Jamiem, przynajmniej będzie miała o czym myśleć. Może przestanie być tak zdenerwowana i wytrącona z równowagi.

Umówiła się więc z nim i wróciła na lekcję francuskiego, przez cały czas zajęć patrzyła na zegarek. Madame Tyler

musiała być zaziębiona, bo nie przestawała pociągać nosem, co przypomniało Honeybit tamto poranne oddychanie, wdech, wydech, wdech, wydech, toteż patrzenie na zegarek i opanowanie zdenerwowania wymagało od niej pełnej koncentracji. Wreszcie jednak wskazówka zegara wykonała ostatni cudowny skok i zadzwonił dzwonek.

Kolejna godzina poświęcona była indywidualnej nauce w wielkiej sali przylegającej do biblioteki. W czwartki zajęć tych doglądał jeden z nauczycieli przedmiotów artystycznych, ale zajmował się chłopakami, których uczył. Był to człowiek bardzo miły i niezbyt surowy, pod warunkiem, że nie zachowywali się zbyt głośno i bibliotekarze nie zaczęli się skarżyć. Toteż Honeybit bez większych trudności zwolniła się po dziesięciu minutach. Pan Singer wydał jej żółtą przepustkę, nie pytając nawet, dlaczego chce wyjść. Poszła przede wszystkim do damskiej toalety, gdzie dokładnie obejrzała swoje odbicie w lustrze i pomalowała usta. Niedopałki walały się po podłodze i w kilku umywalniach, na poszczerbionych kafelkach nie brakowało maźnięć szminką, ale łazienka była naprawdę bardzo przyjemna i Honeybit zawsze czuła się w niej bezpieczna.

Następnie zeszła na dół, minęła audytorium, w którym słychać było próbującą orkiestrę, a potem na tyły szkoły, gdzie w skrzydle A znajdował się dziwny korytarz, przypominający tunel. Magazynowano w nim składane krzesła i inne przedmioty, wyjście awaryjne w głębi prowadziło prosto na parking, ale podobnie jak wszystkie zapasowe wyjścia i to było zamknięte na łańcuch. Jamie machał do Honeybit z końca korytarza, rzuciła więc okiem na główny hall, ale widać było tylko jakąś niewyraźną postać w pewnym oddaleniu; długość owego hallu sprawiała, że trudno było dostrzec, co się dzieje na przeciwległym krańcu. Jednak osoba znajdująca się w hallu, może jedna z sekretarek, nie zauważyła

Honeybit wchodzącej do wąskiego przejścia. Jamie złapał ją i pociągnął do tyłu, za krzesła.

Nie potrafiła jednak skupić uwagi na Jamiem, myśl jej bardziej uparcie niż kiedykolwiek ześlizgiwała się z powrotem na tamten próg, do tamtego głośnego, chrapliwego oddechu. *Och, nie, nie*. Honeybit wymknął się nawet cichy, pełen zaskoczenia jęk przy słowie „Jamie”, ale on nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Później Honeybit odczuła ulgę na myśl, że jej nie usłyszał. Kiedy matka zrobiła to po raz pierwszy, Honeybit zalana łzami opowiedziała wszystkemu swojemu chłopakowi, zachowywała się jak histeryczka, a chłopak ją pocieszał „*biedna Honeybit, biedna Honeybit*”. Musiał się jednak czuć zażenowany sytuacją, ponieważ porzucił ją tydzień później. Honeybit nawet nie miała mu tego za złe; to wszystko było takie obrzydliwe i zawstydzające, stawiało ją w dziwnym położeniu. „Ocaliłaś życie własnej matce”, powiedzieli jej w szpitalu. — Ocaliłaś życie *swojej własnej matki* — powiedział powoli chłopiec patrząc na Honeybit, jakby jej w ogóle nie rozpoznawał.

Nie poruszyła więc tego tematu z Jamiem.

Ostatnią lekcją tego dnia była sztuka komunikacji. Honeybit z zadowoleniem odnotowała składany ekran i projektor, bo to znaczyło film, czyli możliwość skoncentrowania się na czymś innym. Pan Hemick jednak poświęcił piętnaście minut na wprowadzenie filmu i w jego monotonnym głosie Honeybit zaczęła słyszeć czyjś chrapliwy oddech, rozejrzała się dokoła, ale nikt nie spał, nawet siedzący za nią Butch, który czasami drzemał po prostu dlatego, że była to ostatnia lekcja. Honeybit nerwowo poprawiła się na krześle. Założyła nogę na nogę i z powrotem ją zdjęła. Otworzyła ukradkiem puderniczkę za plecami Ginny Brand i w owalnym lusterku zobaczyła lekko upudrowaną Honeybit wyglądającą tak samo, jak zwykle. Niebieski cień na lewej powiece był ciemniejszy niż na prawej, potarła powiekę kciukiem, i wówczas

prawa była za ciemna, musiała więc i to poprawić. Wtedy już pan Hemick był gotów do wyświetlania filmu.

Film miał tytuł „Region jezior” i trwał do 3.30, kiedy zadzwonił dzwonek.

Kiedy Honeybit podniosła się z krzesła, czuła sztywność w nogach i nagły przypływ wilgoci w kroczu — o Boże — ale wyszła z klasy do szatni razem z innymi, rozmawiając mechanicznie ze świadomością, że jest coś, czego musi się dowiedzieć. Mieli napisać pracę na temat filmu, ale naprawdę nie zwracała uwagi na polecenia pana Hemicka, kiedy jednak zapytała, gdzie ten film nakręcono, czy w północnym Michigan, wszyscy się roześmiali, udawała więc, że był to żart. W szatni przy szafce usiłowała zdecydować, jakie książki powinna wziąć do domu. Francuski, oczywiście francuski, z francuskiego zawsze coś było zadane. Poczowała, jak bardzo ma poobcierane uda i znów ta napływająca wilgoć, nagle zaczęła myśleć o tym, jak to pewnego dnia matka straszliwym wrzaskiem przywołała ją do sutereny. Stała tam przy pralce, trzymając w ręku jej majtki. Matka wykrzykiwała coś o tym, że zamierza je wysłać do tego drania, ojca Honeybit i zapytać go, co myśli o swojej drogiej córeczce, o której nigdy nie zapomina ani na Boże Narodzenie, ani na urodziny. Sukinsyn, może też to pokazać swojej żonie i zasięgnąć jej opinii. Honeybit stała jak sparaliżowana, w kompletnym oszłomieniu. Był to najgorszy moment w jej życiu. Nic pamięta nawet, jak w końcu dostała się na górę i jak wyszła z domu, uciekając przed głosem matki.

Teraz zbliżała się czwarta.

Cztery godziny plus sześć do południa, plus ile godzin? — trzy lub cztery. Jeżeli matka zasnęła, powiedzmy, o trzeciej, to byłoby teraz trzynaście albo czternaście godzin.

Spojrzała na siebie w lusterku przyczepionym do drzwi szafki i uznała, że powieki wyglądają dobrze. *Honeybit*, *uśmiechnij się*.

Honeybit z wizytą u Trish

- Jak się ma Jamie? — zapytała Trish.
- Dobrze.
- A co w szkole?
- To samo. Tęsknisz za szkołą?
- Jak diabli! — roześmiała się Trish.

Jednak ilekroć *Honeybit* mówiła o szkole, Trish robiła ponurą i wyzywającą minę, chyba że *Honeybit* narzekała. *Honeybit* narzekała więc, mówiąc, że martwi się o swoje stopnie, że chciałyby dobrze wypaść u panny Jaeger, ale jeszcze nawet nie zaczęła tego notatnika. Niektórzy mieli liście, robaki i motyle powlepiane do swoich dzienniczków, jeden chłopak umiał nawet usypiać zwierzęta chloroformem, oprawiać je i wypychać, będzie miał myszki i jakieś ptaki, a ona, *Honeybit*, nie miała absolutnie nic i bardzo się martwiła...

Trish podjęła ten temat: — Coś złego w domu?

- W domu? Nie.
- A jak matka? Jak zwykle?
- Tak.
- Ciągle wściekła z powodu Jamiego?

Honeybit zachichotała.

Opowiadała Trish o scenie, jaka rozegrała się przy pralce i teraz obydwie zaczęły się śmiać. Siedziały na tapczanie, który był w istocie rozkładanym łóżkiem, obok stały puszki z lemoniadą i puszka Trish przewróciła się. To jeszcze bardziej je rozśmieszyło.

- Psiakrew! — wykrzyknęła Trish.

Była o rok starsza od *Honeybit*, miała pełną, ładną buzię, długie blond włosy, które zakręcały się na końcach. Znały się

z Honeybit od piątej klasy. Co najmniej dziesiąty raz Honeybit widziała Trish w tych samych niebieskich džinsach, które już były za ciasne i nie zapinały się w pasie. Patrzyła z zażenowaniem na sterczący brzuch dziewczyny, ale nie ośmieliła się zasugerować, że Trish powinna ubierać się inaczej. W szkole Trish zawsze ubierała się dobrze, ponieważ miała starszą siostrę tego samego wzrostu i mogła czasami przez dwadzieścia pięć dni nie włożyć dwa razy tego samego zestawu rzeczy. Jednak od czasu zamążpójścia przeważnie leżała na łóżku w niebieskich džinsach, a włosy jej wygładzały, jakby myła je najwyżej raz czy dwa razy w tygodniu.

— Czy Eddie przychodzi prosto po pracy? — spytała Honeybit.

— Najpierw ma iść do matki — wyjaśniła Trish ziewając. Poklepała się po brzuchu i wykrzywiła ironicznie twarz. — Do twojej matki i mojej teściowej — powiedziała. Honeybit czekała, co jeszcze powie, ale najwidoczniej nie miała już nic do powiedzenia.

— Czy jeszcze czasami jada tam kolację? — zapytała Honeybit.

— Nie wiem. Mówi, że nie, ale nie wiem. Jest wystarczająco łakomy, żeby zjeść dwie kolacje. Niech ona go karmi, nie mnie to nie obchodzi. — Trish sięgnęła do niewielkiej lodówki, by wyjąć kolejną puszkę Tabu, szarpnęła przy otwieraniu i udało jej się tym razem wylać więcej płynu, i to na siebie. Zachichotała. — Wiesz co? Doszłam do wniosku, że nie cierpię tego miejsca.

— Nie cierpisz? Dlaczego? Myślałam, że je lubisz.

— Lubiałam. Ale teraz nie cierpię.

Trish z mężem wynajmowali niewielkie mieszkanie na drugim piętrze domu w dzielnicy domków jednorodzinnych, był to w rzeczywistości strych. Miał jednak izolację i prawdę mówiąc, było w nim zbyt ciepło. Honeybit zawsze czuła się tu trochę kołowata. Próbowała skupić uwagę na Trish, która wyjaśniała, dlaczego nie cierpi mieszkania i ludzi mieszkających

na dole. Patrzyła na zarumienioną buzię Trish, na jej sweterki i pękające niebieskie dżinsy, na jej stopy w wielkich kapciach z różowego pluszu. Z jakiegoś powodu znowu czuła się zdenerwowana. Nie lubiła pić z puszkki, napoje zawsze miały dziwny smak. Matka mówiła, że to wulgarne, że tylko świnię tak piją i czasami mężczyźni żłopiają piwo z puszkki, ale nigdy dziewczęta. Wszystko ma wtedy dziwny smak. Przez chwilę Honeybit zastanawiała się, czy picie w ten sposób może być trujące. Poczowała lekkie mdłości.

Trish była jedyną osobą, której powiedziała, jak nieprzyjemnie zachowała się matka po okresie rekonwalescencji, po wszystkich łzach i pocałunkach, wspólnych wyprawach do kina. Kiedy po raz pierwszy matka znów się upiła, powiedziała Honeybit o tym, jak się obudziła tam w szpitalu i przez długi czas nie mogła sobie uświadomić, co się u diabła dzieje, a poza tym, że czuła się paskudnie, a potem doszło do niej, co się wydarzyło. *To ty*, powiedziała matka, *ty*.

Honeybit usiłowała się skoncentrować na utyskiwaniach Trish, ale czuła, że coś się w niej skręca... coś, jakby chichot. Przypomniała sobie, jak pan Speicer zapytał: Dlaczego jest pani tak rozhisteryzowana, panno Mason? i w popłochu pomyślała, że w tej chwili po prostu nie może popaść w histerię. Nie potrafiła jednak wysiedzieć spokojnie. Albo zaczęła się śmiać, albo płakać, ale skłaniała się raczej do płaczu. Patrząc na nią Trish zamilkła. Honeybit mówiła: — Nie wiem, dlaczego nienawidzisz tego mieszkania. Uważam, że nie powinnaś go nienawidzić. Nie powinnaś. Trish, to mieszkanie jest wspaniałe, tak, wspaniałe. To najwspanialsze miejsce na świecie.

Trish patrzyła na nią jak na wariatkę.

— To? Tutaj?

— Nie powinnaś tego nienawidzić Trish — Honeybit szlochała. — Nie powinnaś. Nie powinnaś odczuwać nienawiści do niczego.

Spis treści

Dziewczyna	7
Dotyczy sprawy Bobby'ego T	20
Opaska na oczy	43
Córka	60
W magazynie	86
Rut	97
Wolność	127
...i odpowiedzi	160
Magna Mater	176
Niewielkie lawiny	209
Przedwczesna biografia	226
Honeybit	249